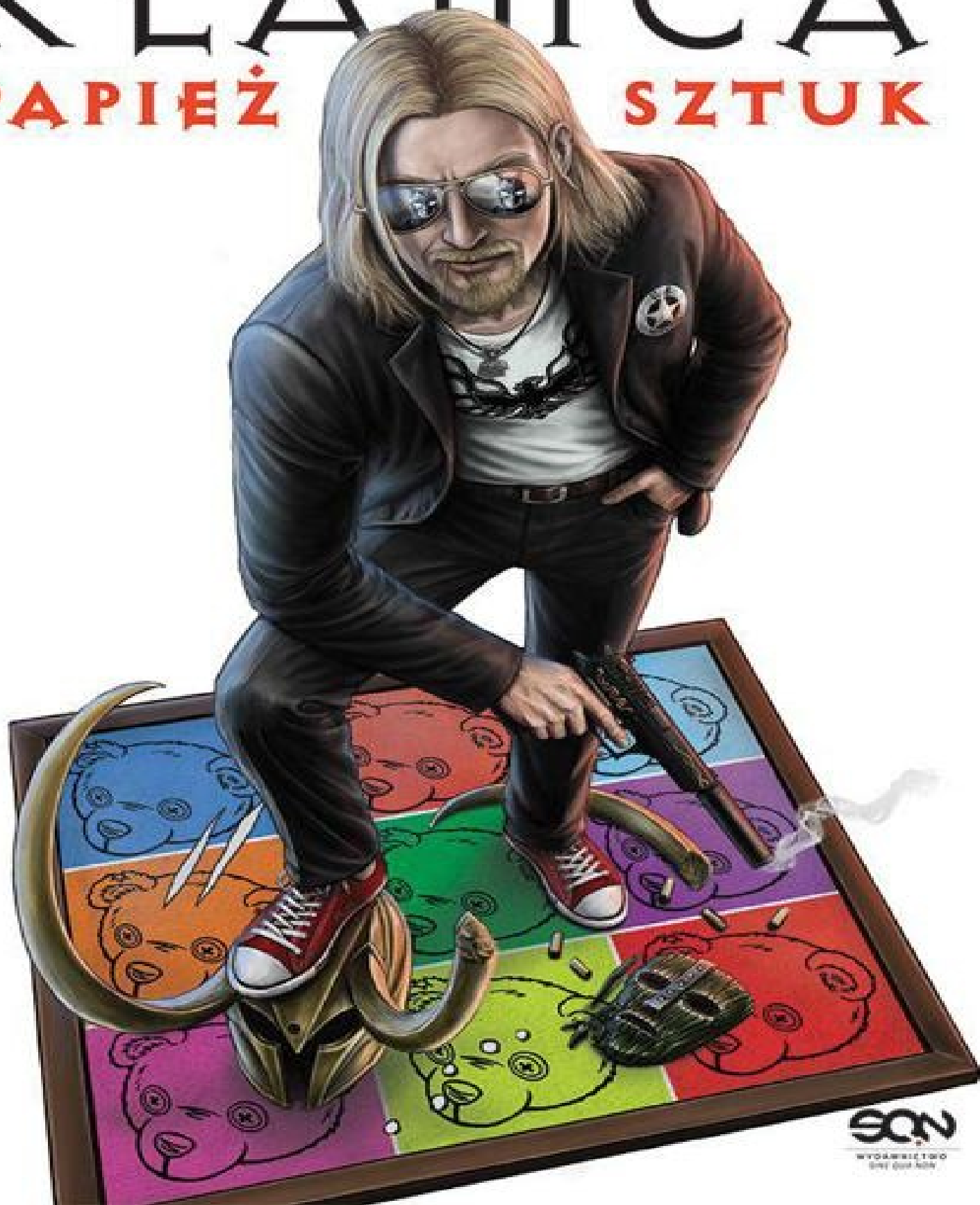


JUBILEUSZ BESTSELLEROWEGO CYKLU

# JAKUB ĆWIEK KŁAŃCZA PAPIEŻ SZTUK



SON  
WYDAWALNIA  
DZIECI I MŁODZIEŻY



JUBILEUSZ BESTSELLEROWEGO CYKLU

JAKUB ĆWIEK  
KŁAMCA  
PAPIEŻ SZTUK

KRAKÓW 2015

# WSTĘP, CZYLI ZASADY GRY

Dobra, siedzicie w karczm... znaczy, jesteście na urodzinach Lokiego i w związku z tym, zanim się wszystko naprawdę rozkręci, kilka uwag.

Książka wytnie Wam po drodze parę numerów, dlatego czytajcie ją uważnie. Jeżeli nie czytaliście wcześniej cyklu o Kłamcy, przydałoby się, żebyście poznali *Kłamcę*, *Kłamcę 2* i *Kłamcę 2,5*, bo do tych części tu i ówdzie nawiązują wydarzenia. O ile bez tej ostatniej nadal możecie się świetnie bawić, o tyle brak znajomości dwóch pierwszych tomów może Wam trochę tej zabawy napsuć.

Wydarzenia, o których zaraz przeczytacie, mają miejsce po *Machinomachii* i *Sługach Metatrona*, gdy nasi bohaterowie są już zżyci jako drużyna. Gdzieś tam niosą się pewne bardzo, bardzo dalekie echa tego, co się dopiero stanie, ale na razie to jeszcze pieśń przyszłości.

Na razie jest fajnie i luźno – z takim nastawieniem siadajcie do lektury. Oraz z założeniem, że wiele się może zdarzyć.

Jak powiedziałem wcześniej, ta książka wytnie Wam kilka numerów, ale tylko jeśli jej na to pozwolicie.

To jak?

# PAPIEŻ SZTUK

Ledwie zamknęły się drzwi, Marcus wstał z fotela i podszedł do okna. Stał bokiem przy samej framudze i dwoma palcami odchylił firankę.

Stali tam, a jakże, wielobarwny tłum napierający na barierki, wymachujący transparentami z hasłami: „Bóg pośród nas”, „Nie zabijesz Boga” czy ostatnim, najpopularniejszym chyba – „Między nas zstąpił i tu zostanie!”. Tak, Marcus musiał przyznać, że to ładne hasło i bardzo się Ekipie udało. Wywołało odpowiednią falę wzruszeń.

Odsunął się od firanki, spojrzął na zegarek. Minęły dwie minuty, zostało pięć. Podszedł do komody, nalał sobie wody z karafki i spojrzął w owalne lustro oprawione w misternie zdobioną mosiężną ramę. Dopiero teraz przyjrzał się jej uważnie. Dostrzegł mityczne motywy, nagie postacie w krwawych bądź miłosnych uściskach z istotami o zwierzęcych atrybutach, artefakty – ozdobną skrzynię, włócznię, kocioł, hełm – a prócz nich oczy, usta, dłonie i warkocze splatające to wszystko razem, dopełniające kompozycji. No proszę, jaki piękny zbieg okoliczności, jeśli lustro było tu na standardowym wyposażeniu. Jeśli nie, Ekipa naprawdę szalała z otoczką.

Wreszcie spojrzął na swoje odbicie. Przeczesał brodę, poprawił grzywkę, poślinionymi kciukami uładził brwi. Mrugnął do siebie i uśmiechnął się półgębkiem. Wyglądał dobrze. Naprawdę dobrze... Skąd więc wrażenie, że czegoś mu brakowało?

Raz jeszcze zerknął na zegarek. Została minuta. W tym właśnie momencie klamka poruszyła się lekko. Marcus odwrócił się w stronę drzwi, posłał uśmiech kędzierzawej głowie i dał znak, że jest gotowy. Wziął napełnioną szklankę i wrócił na swoje miejsce w fotelu. Ledwie to zrobił, drzwi otworzyły się niemal na oścież i do pokoju wszedł łysiejący, krągły grubasek w tanim, zielonkawym garniturze. Kędzierzawy, zamykając drzwi, przypomniał mu na odchodnym, że ma kwadrans. Grubasek nerwowo pokiwał głową.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział.

Serią drobnych kroczków dotuptał do swojego fotela. Marcus w tym czasie wstał, wyszczerzył się w uśmiechu i wyciągnął rękę na powitanie.

– Cześć, fajnie, że pan wpadł – powiedział, zaciskając palce na wilgotnej, pulchnej łapce Grubasa. Miał wrażenie, jakby ścisnął nadmuchaną gumową rękawiczkę. – Marcus Lester.

– Bartolomew Andrew Chus – przedstawił się grubas. – La Figaro.

Marcus uniósł brew.

– Nie masz francuskiego nazwiska. Ani akcentu – zdziwił się.

Grubas się uśmiechnął. Widać było wyraźnie, że słyszy to nie pierwszy raz i na to akurat pytanie ma gotową odpowiedź.

– Żona mojego szefa jest Francuzką i dobrze się jej ten tytuł kojarzy. Jestem z Augusta's La Figaro, w Maine.

Obaj roześmiali się niczym z najlepszego żartu, po czym Marcus, jak przystało na gospodarza, wskazał Chusowi fotel.

– Zaczniemy? Czy może życzy pan sobie wody?

– Bez pan, B.A. – odparł grubas.

Marcus nie był pewien, czy tamten zrobił to odruchowo i z przyzwyczajenia, czy też był to wymyk zachęcający do znacznego skrócenia dystansu, który Lester podobno utrzymywał w rozmowach z dziennikarzami.

To się zaraz powinno okazać, pomyślał. Usiadł i upił łyk wody, przyglądając się z rozbawieniem, jak dziennikarz, dobywszy notesu, gorączkowo szuka w kieszeni czegoś do pisania. Swoją drogą nie pamiętał już, kiedy ostatnio rozmawiał z kimś, kto nie używał do wywiadu dyktafonu. A może, cholera, w ogóle nigdy z nikim takim nie rozmawiał? Może tych z notesami pamiętał już wyłącznie ze starych filmów, gdzie dziennikarze zawsze mieli legitymacje prasowe wepchnięte za wstążkę fedory i zadawali pytania głośno i z kąśliwym, jankeskim akcentem?

Wreszcie Chus znalazł długopis, otworzył kołowy notes i zaznaczył coś na stronie. Dopiero wtedy uniósł głowę, zmrużył oczy i zadał pierwsze pytanie:

– Panie Lester, jak to jest być bogiem?

Marcus poprawił się na fotelu. A więc jednak z tym skracaniem dystansu to był odruch, nie świadome działanie. Dobrze, bo to znaczyło, że nie będzie jakichś specjalnie niewygodnych pytań, brania pod włos i cwaniakowania. To nie jeden z tych przesłuchujących detektyw...

Coś błysnęło mu przed oczami i nagle, przez krótką chwilę miał wrażenie, jakby pokój zmienił się w salę przesłuchań. Ciemne, odrapane ściany, masywne biurko, a na nim lampa ze snopem światła skierowanym w jego stronę. I tylko Chus opierający się tłustymi pośladkami o krawędź blatu wyglądał dokładnie tak samo. Ten sam wyraz twarzy, to samo spojrzenie, ten sam notes. Marcus

potrząsnął głową i wszystko zniknęło.

To zmęczenie, pomyślał i upił wody. Znowu wyszczerzył zęby.

– To wielka moc, B.A. A wiadomo, że z wielką mocą...

Jeśli chciał, by Chus dokończył za niego zdanie, srogo się przeliczył. Grubas bowiem zanotował to, co usłyszał, a potem uniósł głowę, spoglądając pytająco.

– ...przychodzi wielka odpowiedzialność – odpowiedział niechętnie Marcus.

Nie znosił, kiedy zmuszony był tłumaczyć własny dowcip, czuł się wtedy jak ostatni idiota. I znowu pytanie, czy Chus zrobił to specjalnie? Czy jest możliwe, by ktokolwiek na świecie nie znał słów pocziwego wujaszka Bena, opiekuna i mentora przyszłego Spidermana?

On jest z Maine, pomyślał, a to przecież dziwny stan. Są w nim nawet tacy, którzy nie wiedzą, kim jest Stephen King, ich najsłynniejszy krajan. Mimo wszystko coś, dziwne wrażenie – być może to samo, które wywołało niedawną wizję – nie dawało mu spokoju i sprawiało, że nie był w stanie spojrzeć na siedzącego naprzeciw grubaska jak na prowincjonalnego dziennikarzynę. Bo i zaraz, jak to możliwe, że zwykłemu lokalnemu pismakowi udało się wkręcić na wywiad z nim? I to jeszcze teraz, dokładnie przed premierą, gdy Marcus nie mógł być już bardziej hot, exclusive i trendy?! Jakim cudem ten pocieszny tłuścioszek ze swoim notesikiem...

– Wasz serial *Bóg pośród nas* opowiada o mitycznych bogach, którzy żyją na ziemi i udają zwyczajnych ludzi. – Chus wyrwał go z rozmyślań kolejnym pytaniem, tym razem zapowiadającym się na dużo dłuższe. – Są tu bogowie wszystkich religii, jakie kiedykolwiek wymyślił człowiek, a wszystkie te postacie łączy jedno: lęk przed chrześcijańskimi aniołami.

Zrobił pauzę tylko po to, by przewrócić stronę, ale Marcus, przyzwyczajony do dyktafonów, i tak przytaknął, by wypełnić tę krótką chwilę ciszy. B.A. posłał mu w odpowiedzi wymowne spojrzenie. „Nie skończyłem”.

– Nasi czytelnicy z przyjemnością dowiedzą się, skąd w ogóle taki pomysł i czy stoją za nim prawdziwe duchowe rozważania twórców serialu.

Marcus sapnął i upił kolejny łyk wody. Coś było nie tak, czuł to coraz mocniej. We wszystkim, nawet w tym pytaniu, którego pierwszy człon słyszał przecież w takiej czy innej formie tysiące razy, z czego pięć dzisiaj.

No ale właśnie, forma. Sposób, w jaki Chus to ujął, jaką miał minę, jakie spojrzenie – wzrok przesłuchującego detektywa. I jeszcze ta druga część: „Czy stoją za nim prawdziwe duchowe rozważania twórców serialu”. Chryste, to brzmiało jak pytanie zadane przez któregoś z tych oszołomów nawracających uczestników konwentu w San Diego za pomocą krzyży ze sklejki i Biblii

wyglądających jak stara książka telefoniczna.

– O to, skąd pomysł, musiałbyś zapytać twórców serialu, B.A. – powiedział w końcu, siląc się na uśmiech. – Nie było mnie na tym etapie, gdy na początku było słowo, a...

– Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo – dokończył za niego Chus. Tym razem wiedział jak, skurwysyn.

Marcus nieco nerwowo poprawił się w fotelu, przesunął językiem po zębach. Przez głowę przemknęło mu, że gdyby miał teraz coś, co mógłby przygryźć, żdźbło trawy, patyczek od lizaka, wykałaczkę, poczułby się pewniej, poczułby się...

...*jak pieprzony bóg*, powiedział głos w jego głowie. Nie jego głos, ale zupełnie obcy. Cwaniacki, zawadiacki. Głos... jego postaci? Potrząsnął głową.

– Nie chcę też odpowiadać za innych w kwestii ich wiary, ale ja sam wierzę, że każdy mit, każde wierzenie miało jakieś swoje prawdziwe podłoże. Hades, Enki, Quetza... Quezo... no, ten wąż z piórami – wszyscy oni skądś się wzięli, jakoś przybrali takie a nie inne postacie, ich legendy coś zbudowało. Czasem były to plotki, pewnie nawet zazwyczaj, ale wierzę, że pośród tych plotek...

Rozłożył ręce. Nienawidził zwrotu o ziarnku prawdy i tym razem też nie zamierzał się do niego odnosić, ale, no cóż, chodziło chyba o to, że nie wszystko, co tapla się w rzece kłamstwa, od razu musi być nim być.

Tym razem najwyraźniej Chus zrozumiał, bo gdy uniósł głowę znad notesu, nie spojrział wyczekująco, ale od razu przeszedł do następnego pytania.

– Twoja postać nie jest konkretnym, znanym nam bóstwem i została stworzona na potrzeby serialu.

– Tak, Dezyderiusz Crane to postać wymyślona przez...

Chciał powiedzieć „Ekipę”, ale w porę ugryzł się w język. Ekipa była jego określeniem i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że brzmi nieco mafijnie. Jak z filmu Scorsese.

– ...Willa i Stu, i choć jest potomkiem znanych bogów, to sam nigdy nie pojawił się w mitologii.

– Znanych bogów, czyli...? – zachęcił Chus, wciąż notując.

I nie, tym razem z pewnością nie były to przypadek, ignorancja czy naiwność. To była prowokacja, pierwszy cios kontrolny pod sierp następnego pytania. Marcus zerknął na zegarek, ale wskazówki nie zamierzały mu niczego ułatwiać. Grubasowi zostało dziewięć minut.

– Rodzicami Crane’a są Loki i Thor, a on sam jest owocem żartu boga kłamstwa, który przybrał postać kobiety, by uwieść swego przybranego brata,



boga piorunów. I tak, przyznam, że też nie rozumiem poczucia humoru Lokiego, ale jak poczytać mity, czasem lubił się przebrać w damskie fatałaszki. I nie tylko.

Zachichotał nerwowo. Cholera, nie miał pojęcia dlaczego tak to powiedział, dlaczego ujął to właśnie w taki sposób. Od początku, kiedy tylko ich serial wszedł do kablówkowej ramówki, stawiał czoła pytaniom o promowanie transseksualności, walkę z chrześcijańskimi wartościami; raz czy dwa nawet ryzykował życiem, wygłaszając swoje poparcie dla też głoszonych w serialu, a chroniących odmienność. Gdy odbierał Emmy, powiedział: „Aniołowie u nas, ale i w religii, nie są dobrzy ani źli. Są narzędziami służącymi dobru albo złu. Jeżeli robią złe rzeczy, to może trzeba sobie zadać pytanie, czy idee, którym służą, były w ogóle dobre”. Ten tekst kupił mu miejsce na okładce niejednego magazynu. Nazywali go odważnym, bezkompromisowym, szczerym. A teraz to? Damskie fatałaszki? Rany, co jest w tym grubasie takiego, że płacze mu się język, że gąbczeje mózg?

– Wybaczysz jeśli wstanę? – zapytał.

Nie zczekał na odpowiedź, tylko podniósł się i obszedł fotel dziennikarza, by raz jeszcze stanąć przed lustrem. Zupełnie nie bacząc na to, że przy jego siedzeniu na stoliku wciąż znajdowała się prawie pełna szklanka, sięgnął teraz po drugą, napełnił i wypił zawartość jednym haustem. Przyjrzał się sobie w lustrze, a odbicie samo z siebie uśmiechnęło się do niego, choć, mógłby przysiąc, nie on zaczął tę wymianę uprzejmości. Mityczne postacie z ramy również odwróciły swoje głowy w stronę Marcusa, a jedna z nich – krągła, biuściasta dziewczyna z figlarnym grymasem na złotej twarzy – szepnęła: „Zabij go, Dezyderiuszu! Zabij!”. Zamknął oczy.

– Rekordy frekwencyjne, członkowie fanklubów nazywający siebie wyznawcami, niemal kościoły – dobiegło go kolejne pytanie Chusa. – Sam wielki Knox powiedział, że wasza opowieść jest przekonująca, a legenda głosi, że Po-prostu-Teddy, dzieciak miliarder, chce napisać finałowy odcinek którejś serii. Czy przeraża cię niebywały wręcz sukces *Boga wśród nas*?

To pytanie nie brzmiało już tak prowincjonalnie jak poprzednie, nie brzmiało, jakby zadał je lokalny dziennikarzyna o prawicowych poglądach, który cudem wkręcił się na wywiady z gwiazdą. W jakiś sposób było to jeszcze bardziej niepokojące, bo pokazywało, że ten pocieszny grubasek potrafi się zmieniać, że gra, że od początku nie był sobą, a teraz jeszcze...

Marcus wziął głęboki wdech, wciąż nie otwierając oczu. Wiedział, że musi się wziąć w garść, że to wszystko jedynie pojękiwanie zmęczonego umysłu,

paranoja wywołana przemęczeniem. Z tego samego źródła brały się te wszystkie wizje, o których aż do dzisiaj myślał, że ustały, ustąpiły. Podobnie jak ów dziwny głos, który dopiero dzisiaj nabrał ostatecznego brzmienia i stał się głosem Dezyderiusza Crane'a. Głosem jego postaci.

– Czy sądzisz, że ludzie wierzą w to, co im opowiadacie? – podjął Chus, najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi na poprzednie pytanie.

Słowom towarzyszyło skrzypnięcie fotela, a potem kroki. Grubas się zbliżał.

– Czy czujesz ich wiarę, jaka płynie w twych żyłach?

Marcus wciąż stał z zamkniętymi oczami. Oddychał powoli, miarowo, przez usta, próbując uspokoić rozszalałe myśli. Chciał, żeby Chus stąd wyszedł, chciał, żeby dziewczyna z ramy się zamknęła. Nade wszystko jednak marzył, by wytrzymała zaporę, którą budował od dawna, a która teraz trzeszczała pod naporem cudzych myśli. Te wszystkie okrzyki uwielbienia, wyznania miłości, sprośne obietnice i prośby. Miłość, nadzieja i wiara niczym chmura okalająca tłum za oknami, kłęb smogu, ponad którym wznoszą się transparenty z cytatami z *Boga pośród nas*.

Gdy Chus odezwał się po raz kolejny, jego głos dobiegał z bliska, zza pleców Marcusa. Coś dotknęło szyi aktora, coś zimnego i ostrego. Najpierw poczuł szczypiące nacięcie, a potem łaskotanie ściekającej krwi.

– Pozwól, że powtórzę, chłopcze. Jak to jest być bogiem?

Wtedy właśnie Lester otworzył oczy. I spojrzał prosto w twarz Dezyderiusza, który mimo noża przyłożonego do szyi nie przestawał się paskudnie uśmiechać. Tym razem aktor odpowiedział uśmiechem i skinął głową sam z siebie, pogłębiając nacięcie.

– Co... – odezwał się Chus, ale Markus nie dał mu dokończyć.

Błyskawicznym ruchem złapał oburącz za rękę trzymającą ostrze i skrzył w przeciwnych kierunkach, jakby wykręcał ścierkę. Rozległ się cichy trzask, Grubas wrzasnął, a wtedy aktor uderzył go łokciem lewej ręki w brzuch, by zaraz wywinąć się i oburącz pchnąć tłustego dziennikarza na poręcz fotela.

– Jak to jest być bogiem, pytasz? – mruknął.

Skinął palcami w stronę drzwi, przekręcając w nich zamek, na ułamek sekundy, zanim poruszyła się klamka.

– Zabawne, ale do tej chwili nie miałem jeszcze pojęcia. Ale powiem ci: to fantastyczne uczucie.

Postąpił kilka kroków do przodu, aż stanął tuż przed B.A.

– Teraz natomiast zastanawiam się, czego właściwie bogiem jestem. Żartu? Telewizji? A może pytanie brzmi: czyim? Jestem bogiem tych wszystkich

nieszczęśników, którzy grają po piwnicach w gry bez plansz, snują spiskowe teorie wpatrzeni w ekrany komputerów i zapamiętali wałęsę konia pod obrazki komiksowych heroin?

Chus nie odpowiedział. Ścisnął tylko strzaskaną rękę i poruszał ustami jak alkoholik walczący z pokusą. Marcus uznał, że to naprawdę zabawny widok – widzieć kogoś, kto nie docenił twojej siły, i teraz ponosi tego konsekwencje.

– Sekret tkwi w moim imieniu – powiedział wreszcie nowy bóg.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę okna. Z przeciwległej strony pokoju, od wejścia, zaczęły już dobiegać spanikowane krzyki obsługi, gwałtowne szarpanie klamki i pierwsze próby wyważenia drzwi barkiem.

– Dezyderiusz. Upragniony. Jestem tym, czego się pragnie, jestem oczekiwanym. Jestem podażą dla popytu. Jestem...

– Trupem – mruknął Chus. – Złamałeś mi rękę i jesteś pierdolonym trupem!

Marcus Dezyderiusz odwrócił się i dostrzegł, że w dłoni grubasa lśni błyszczący pistolet. Wyszczrzył się na ten widok.

– Jestem nagłym zwrotem akcji – powiedział. – I serio? Chromowane, pedalskie cacko? Co ty, filmów nie oglądasz?

– Mój szef widział ich aż nadto – warknął dziennikarz, a potem, gdy uderzane raz po raz drzwi zatrzeszczały, strzelił.

Marcus dostał w pierś, zatoczył się i spojrzał na wykwitający na jego koszulce krwawy kwiat. Następnie uniósł głowę, rozłożył ręce jakby go krzyżowano i uśmiechnął się, szczerząc zęby. Strzyknął krwią.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, że...

Kolejne pięć strzałów w pierś sprawiło, że poleciał do tyłu, a następne dwa wyrzuciły go przez zamknięte okno. Wyglądało to jak na jakimś filmie i Chus nigdy jeszcze nie widział, żeby w prawdziwym życiu postrzał dawał taki efekt.

Podszedł do okna. Odchylił pistoletem łopoczącą, zakrwawioną firankę i spojrzał na ulicę. Tłum panikował, wrzeszczał i piszczał, a parę osób, gdy tylko go ujrzało, natychmiast wskazało na niego palcami, krzycząc coś groźnie. Nigdzie jednak pomiędzy nimi nie było ciała Marcusa. Tylko krwawy ślad w miejscu, gdzie uderzył o ziemię.

W chwili, gdy to do niego dotarło, drzwi ustąpiły pod naporem barków ochrony i do pokoju wpadło trzech uzbrojonych drabów, a za nimi kędzierzawy agent.

Bartolomew Andrew Chus rzucił broń i podniósł zdrową rękę.



Oczekiwali od niego skruchy i nerwowości, więc dawał im, czego chcieli. Zamiast rozsiąść się wygodnie w fotelu, zajął miejsce na samym jego brzegu, splecione dłonie wcisnął między uda, wygiął się do przodu i zadarł głowę, by szeroko otwartymi oczami pełnymi udanego przestachu wpatrywać się w twarz siedzącego naprzeciw anioła. Co jakiś czas mrugał kompulsywnie, jakby nadawał alfabetem Morse'a sygnał złożony z samych kropek, a potem przez długi czas pozwalał gałkom ocznym schnąć w trwającym minuty wytrzeszczu.

Anioł Selar kupował to przedstawienie w całości. Co więcej, wyraźnie chełpił się ujarzmieniem Lokiego, o którym mówiono, że nie raz, nie dwa zakpił z archaniołów. Teraz, siedząc wygodnie rozparty w fotelu naprzeciw Kłamcy, zastanawiał się, o co właściwie było tyle zachodu. To przestraszone blond stworzonko miało być tajną bronią zastępów? Ten drobny kombinator? Najwyraźniej wiele się zmieniło podczas ostatniej mitycznej misji Selara, i z pewnością nie na lepsze. Choć może to i dobrze, bo dzięki temu szybka seria awansów zdawała się jedynie drobną formalnością...

– No dobrze, Loki – powiedział w końcu anioł, a jego uśmiech zadrgał, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma być w tym momencie triumfalny, czy pogardliwy. – To jeszcze raz, zanim zjawi się archanioł. Jak to się stało, że znalazłeś się na pokładzie tego samolotu?

Kłamca łypnął szeroko otwartymi oczami najpierw w lewo, potem w prawo, jakby upewniał się, czy nieruchome posągi, w jakie przemienili się na ten moment szeregowi żołnierze anielskich zastępów, wciąż tam są. Następnie zamknął oczy, oblizał spierzchnięte wargi. Spróbował coś powiedzieć, odchrząknął i zaczął jeszcze raz:

– Mówiłem już, serafinie, że znalazłem się tam przypadkiem.

Selar, który wcale nie był serafinem – dopiero niedawno dochrapał się piór gwarantujących mu czwarte skrzydło i tytuł cherubina – przejechał dłonią po policzku, jakby sprawdzał jego gładkość, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Tak, Loki, wiem, że to właśnie mówiłeś – powiedział. – Ale ja chciałbym wiedzieć, co to znaczy. Jak można się znaleźć przypadkiem na pokładzie samolotu?

– Zwyczajnie. Potrzebowałem wakacji, wybrałem trasę i kupiłem bilet...

– Do Moskwy?

Loki zamrugał i znowu oblizał wargi.

– A gdzie łatwiej odpocząć od aniołów?

Selar skrzywił się i poruszył na fotelu. To był zdecydowany punkt dla Kłamcy i stanowczo nie powinno być ich więcej. Chodziło wszak o wrażenie, o opinię. O reputację.

Przechylił się przez poręcz i podniósł duży, niebieski segregator.

– Problem w tym, Kłamco, że sprawdziliśmy wszystkich pasażerów. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę twoją umiejętność zmieniania wyglądu czy tworzenia iluzji, nadal byłbyś w tym samolocie nadkompletem. – Zrobił pauzę, podczas której przekartkował powkładane w koszulki dokumenty i raporty. – Zresztą mamy relację od anioła Marazma, stróża niejakiego Heronimusa Grolsha, pasażera siedzącego na miejscu 37E, który zeznał pod przysięgą, że... o, mam to tutaj... dopuścił się haniebnego zaniedbania, jakim było opuszczenie swego podopiecznego na czas lotu, ponieważ zagadał się z tobą w berlińskiej kawiarni. Podobno oferowałeś mu część zarobionych piór w zamian za intymne szczegóły dotyczące córki Grolsha.

Loki wzruszył ramionami, pozwolił też sobie na nerwowy uśmiech:

– Theresa nie wygląda jak Niemka – powiedział, jakby to tłumaczyło wszystko. – Pamiętajmy, że ma turecką matkę.

Selar uniósł wzrok i spojrzał na Kłamcę.

– Czyli potwierdzasz?

– Turecką matkę?

– Że tam byłeś, w kawiarni, z Marazmem.

– Właściwie to całkiem podekscytowany... – Kłamca odczekał moment, po czym westchnął. – Wybacz ten słaby żart, Serafinie.

Selar i teraz go nie poprawił. Zamiast tego odwrócił kolejną stronę w segregatorze.

– Stróż Marazm twierdzi, że siedzieliście w tej kawiarni aż do momentu, kiedy usłyszał gorączkowe modły swego podopiecznego i powiedział, że musi się zbierać, a wtedy, tu cytat: „Loki złapał za torbę, którą miał pod stołem, i poprosił, żebym zabrał go ze sobą, bo ma do wykonania ściśle tajną misję od archaniołów”. Czy to prawda?

Kłamca poruszył się nerwowo, łypnął na strażników i znowu się oblizał.

– Masz może wykałaczkę? – zapytał.

– Zapytałem, czy to prawda, Loki! – Głos anioła nabrał mocy i stanowczości, stał się prawie krzykiem.

– Że miałem misję? No... czasem miewam misje od archaniołów.

Selar położył ręce na oparciach fotela, wstał i zrobił trzy kroki w stronę Kłamcy. Ujął go pod brodę i zadarł głowę Lokiego tak, by spojrzeć mu w oczy.

– Słuchaj no – warknął. – Mam dosyć tych twoich gier. Zjawileś się na pokładzie samolotu pełnego przerażonych ludzi, w dodatku w postaci syna Naszego Pana, i powiedziałeś im, że drogą do ocalenia jest wyzbycie się bogactwa.

Loki przełknął ślinę i mrugnął.

– A to nieprawda? – zapytał. – Wydawało mi się, że Jezus tak właśnie...

– Jezus Chrystus nie kazał ludziom zapisywać pinów na kartach kredytowych i wrzucać ich do worka!

Kłamca spróbował wzruszyć ramionami, ale w tej pozycji było to wyjątkowo trudne.

– Technicznie rzecz biorąc, za jego czasów nie było kart i...

Plasnęło i ból rozlał się żarem po Kłamcowym policzku.

– Przestań robić ze mnie durnia, parszywy mityku! Jesteś pomyłką i powinieneś zdechnąć jak wszyscy twoi pobratymcy! Takie numery tylko udowadniają, jak zadufani w sobie są archaniołowie. I jak głupi, żeby...

Przerwał. Coś zmieniło się w twarzy Kłamcy i nie był to tylko czerwony ślad na policzku. Loki odchylił się teraz do tyłu z uśmiechem, a jego ręka powędrowała za pazuchę. Wydobył pudełko wykałaczek i jedną z nich wsunął do ust, po czym spojrział najpierw na jednego, potem na drugiego strażnika. Obaj wydawali się szczerze rozbawieni.

– Widzicie? – powiedział Kłamca. – Mówiłem, że pęknie. Straciliście po piórku, chłopcy.

– Warto było – powiedział ten po lewej. – Ta jego mina...

– Poza tym – odezwał się drugi – Selar z pewnością wynagrodzi nam to jakoś, kupując nasze milczenie. Wszak teraz, kiedy ma już cztery skrzydła...

Anioł Selar najwyraźniej przejął porzucone przez Lokiego tiki, bo teraz to on mrugał kompulsywnie i oblizywał wargi. Zachowywał się tak, jak się w tym momencie czuł – jak ktoś, kto kompletnie nie ma pojęcia, gdzie się znalazł i jakim cudem tu trafił. Przecież jeszcze przed chwilą to on miał pełną kontrolę, panował nad sytuacją. A teraz...

– Wybacz – powiedział Loki.

Wstał, odsuwając od siebie zdezorientowanego anioła. Następnie delikatnie, po przyjacielsku, poklepał go po twarzy.

– A na przyszłość pamiętaj, stary, że nikt nie lubi zapatrzonych w siebie karierowiczów. Koledzy trochę ci mają za złe to, jak zdobyłeś swoje awanse, a i

archaniołowie nie będą zachwyceni twoimi ambicjami. Myślę, że rzeczywiście powinieneś rozważyć kupienie naszego milczenia.

Selar przełknął ślinę. Z trudem, bo gardło tak mu się zacisnęło, że gdyby musiał oddychać, z pewnością miałby z tym poważny problem.

– Ile? – wycedził wreszcie.

Loki wzruszył ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, spłać za mnie Marazma i będziemy kwita – powiedział. – Może i jestem Kłamcą, ale daleko mi do pazernego skurwiela.

Zmarszczył czoło, a następnie wykonał gest, jakby mierzył odległość między sobą i aniołem.

– Choć w sumie nie. – Wykałaczką powędrowała z jednego kącika ust do drugiego. – W zasadzie to całkiem blisko.



*Marcus Lest... Nie, wróć. Przecież nie ma już Marcusa Lestera. Dezyderiusz Crane wstał, zapiął spodnie i spuścił wodę. Następnie wyszedł z toalety i starannie wymył ręce, unikając patrzenia na swoje odbicie. Nie był pewien, czy przemiana już się dokonała, a nie chciał się oglądać w ludzkiej, pełnej niedoskonałości formie...*

Uśmiechnął się do tej myśli. I nie wiadomo, czy bardziej rozbawiło go to, że rzeczywiście stał się kim innym, czy że myśli tego „innego” układają się w trzecioosobową narrację komentującą to, co właśnie robi.

*Czy tak mają wszyscy bogowie? – pomyślał Crane...*

Tak, wiem jak się nazywam, dziękuję bardzo. Ciekawe, kiedy...

*...stanie się to irytujące, zastanawiał się, susząc dłonie pod strumieniem ciepłego powietrza i spojrzeniem wciąż unikając lustra. Jak długo jeszcze będzie w stanie znosić to dziwactwo z uśmiechem? Jak długo...*

– Dobra, dość! Wystarczy!

...

...

*...powiedział Crane...*

– Kurwa!

Resztkę wilgoci z dłoni wtarł w spodnie. Pchnąwszy drzwi barkiem, wyszedł z łazienki. Przeszedł przez wąski korytarz i zajął miejsce przy stoliku, gdzie czekał na niego kubek z parującym, beżowym płynem – jakąś tam umleczoną

wariacją na temat kawy – oraz otwarty laptop domagający się hasła. Dezyderiusz usiadł przed nim...

*...a jego długie, smukłe palce jęły śmigać po klawiszach z niebywałą prędkością. Zdawać by się mogło, że to grad strzał uderzył z łoskotem w maleńkie, oznaczone literami cegielki...*

– Chryste! – jęknął Dezyderiusz. – Naprawdę to będzie szło w tym kierunku?

Zaraz potem się zreflektował. Nowa zasada, której od dziś zamierzał się trzymać: nie będziesz miał bogów cudzych przed sobą. Uśmiechnął się, musnął touchpad palcem wskazującym lewej ręki, prawą unióś kubek.

Kelner, ten sam chudy Latynos, którego chwilę temu poprosił o przypilnowanie komputera, zjawił się przy stoliku ponownie, by zapytać, czy wszystko na pewno jest w porządku. Przyglądał się przy tym Dezyderiuszowi jakoś tak dziwnie, więc Crane na wszelki wypadek machnął mu przed twarzą ręką i powiedział:

– Kimkolwiek ci się wydaje, że jestem... to nie ja.

*Natychmiast w jego głowie pojawił się, jakże adekwatny w tej sytuacji, cytat z filmu Gwiezdne Wojny. Nowa nadzieja, kiedy to Obi-Wan Kenobi zwrócił się do szturmowców słowami...*

– Ja pierdołę, naprawdę wiem, co powiedział Obi-Wan! Nie musisz mnie uczyć podstaw popkultury, której jestem...

*...bogiem?*

– Proszę pana? – odezwał się zaniepokojony kelner. – Czy coś się stało? Czy potrzebuje pan czegoś? Może wezwać pomoc?

Dezyderiusz pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Chyba mam wszystko, czego mi trzeba.

*...powiedział Dezyderiusz.*

Crane westchnął. Wszystko wskazywało na to, że będzie się musiał przyzwyczaić, dlatego bez słowa wklepał własne imię i nazwisko w Google'a, a w ustawieniach zaawansowanych zaznaczył: z ostatniej godziny. Kiedyś, na początku kariery, robił to całkiem często, wynajdując ku temu tysiące wymówek i usprawiedliwień, aż wreszcie newsów o nim było tak wiele, że sobie darował. Teraz jednak miał przeczucie, że to, co właśnie nastąpiło, może być naprawdę ważne. Przełomowe wręcz. Oczywiście wyłącznie, jeśli poszło w viral. Jeżeli tylko ktoś uchwycił...

*O proszę, jest! – pomyślał Dezyderiusz.*

– Crane, krócej będzie.



...pomyślał Crane.

– Dziękuję.

...powiedział i zaraz, już w myślach, dodał: „Nie ma za co”.

Pierwszym wynikiem, który tak go ucieszył, był odnośnik do filmu na YouTube. Mimo że wrzucony dopiero przed dwoma godzinami, już miał dwa miliony wyświetleń, a przecież była to liczba niebiorąca poprawki na opóźnienia serwisowego zliczania. Ta prawdziwa mogła być, i na pewno była, nawet kilkakrotnie wyższa.

Film nosił wymowny tytuł: *Marcus Lester wypada przez okno i... znika!*, a jego zawartość była w zasadzie lekkim tylko rozwinięciem tego, o czym informował tytuł.

Na pierwszym ujęciu jakieś dwie śliczne dziewczyny pytane przez kolegę, co tu robią, powiedziały, że czekają na swojego przysięłego męża, a gdy chłopak z offu zapytał, jak to możliwe, że Lester będzie mężem ich obu, zapewniły, chichocząc, że jakoś go nawrócą na religię, w której tak można. Potem ktoś krzyknął, że w oknie aktora poruszyła się firanka, i zapanował ogólny jazgot, który uciszyły dopiero strzały, a potem brzęk tłuczonego szkła. Przez okno wyleciało bezwładne ciało i z plaśnięciem wyrznięło o ziemię.

Kamera zakołysała się, rozległy się piski i wrzaski. Ludzie rzucili się w stronę okalającego hotel niskiego żywopłotu, za którym upadło ciało. Ktoś krzyczał, że to Lester, że ktoś go zabił, jakaś dziewczyna powtarzała nabożnym szeptem: „O boże! O boże!”. Ktoś inny szlochał, a obraz – rozszalały, rozkołysany jak podczas sztormu – pokazywał teraz kilku jegomości, którzy wyminąwszy bramki i ochronę, przeskoczyli żywopłot tylko po to, by stanąć jak wryci po drugiej stronie.

– Kurwa, gdzie jest ciało? – zapytał jeden. – Tu go nie ma!

...*Pewnie, że nie ma, zjebie, pomyślał Dezyder... znaczy Crane. Nie ma, bo parę kul i upadek z kilku metrów to za mało, by zabić boga!*

Dezyderiusz się uśmiechnął.

– A wiesz, że dokładnie tak pomyślałem?

...*No mówię przecież, pomyślał Crane, sprawiając wrażenie nieco oburzonego.*

– A wiesz, co jeszcze pomyślałem?

...*Zapytał samego siebie. I choć oczywiście w myślach znał odpowiedź, nie odmówił sobie satysfakcji, by powiedzieć to na głos...*

– A żebyś wiedział! Bo teraz dopiero się zacznie. A gdy już się rozkręci, zajmiemy się tymi skurwielami, którzy byli tak nierozsądni, by postanowić mnie

zabić.

...powiedział bóg Dezyderiusz Crane.

– Za długo.

...powiedział Crane.



Pierwszy łomot Bachus zafundował sobie jeszcze na posterunku prośbą o przysługujący mu telefon. Policjant, szczupły, umięśniony szatyn, najpierw droczył się z nim przez chwilę, każąc sięgnąć po słuchawkę złamaną ręką – spoczywającą teraz na temblaku – a potem bez ostrzeżenia uderzył go pięścią w twarz. Bóg Wina poleciał na prawy bok i jęknął, upadając na uszkodzoną kończynę.

Szatyn obszedł tymczasem biurko i odtrąciwszy przewrócone krzesło, doprawił cios kilkoma solidnymi kopniakami w brzuch, żebra i głowę, aż wreszcie pracujący biurko obok policjant poprosił go, by przestał, bo są granice tego, co może przyjąć raport w rubryce „Uwagi” pod hasłem: „Obrażenia odniesione podczas dokonywania czynności przestępczej”.

Skutek przyniosła jednak dopiero wizyta kapitana, który zajrzał do biura i z właściwym sobie – a znanym wszystkim jego podwładnym – wdziękiem i taktem zapytał, co tu się, do kurwy nędzy i wszystkich jej dziwkarskich córek, wyrabia.

– Oglądaliśmy to z żoną – odparł szatyn. – Pan kapitan wie, *Bóg pośród nas*.

Dowódca skinął głową, po czym spojrzał z obrzydzeniem na leżącego na ziemi grubasa.

– Ale i tak dajcie mu już spokój, Roller. Idźcie do łazienki ochłonać i gównem z butów opłukać, a ty, Stevens, dopisz mu tam w rubryczkę podejrzenie o pedofilię i dopilnuj, by ktoś się w transporcie wygadał.

– Tak jest, kapitanie.

Dowódca pokręcił głową i poklepał się po karku porośniętym srebrzystą szczecinią.

– Taki dobry serial, cholera. Taki dobry – powiedział, wychodząc.

Nie minęła godzina, a obolały Bachus zaliczył łomot numer dwa. Czekał właśnie w przeładowanej celi aresztu, siedząc w kąci i próbując z całych sił być tak czarny, jak blisko połowa aresztantów, albo chociaż brązowy jak reszta. Było nie było Kalifornia pozostawała Południem i skoro trafiłeś do aresztu jako

biały, musiałeś być naprawdę szumowiną, jakiej wstydzą się dumni z koloru skóry koledzy. Tak się złożyło, że grubas, niebędący nawet człowiekiem, był jednocześnie jedynym reprezentantem rasy białej.

To by w zasadzie wystarczyło, żeby oberwał, ale Bachus był na tyle uprzejmy, że dostarczył jeszcze pretekstu sam z siebie. Skomentował swoją sytuację jako czarny humor, a potem tłumaczył się roslemu, wytatuowanemu osiłkowi, że nie chciał obrazić „jemu podobnych”, a zupełnie zapomniał, jak są na tym punkcie przeczuleni.

Wrażliwość osiłka i jego kolegów kosztowała grubasa dwa ruszające się zęby, opuchnięty nos i kolejne pęknięcia żeber.

Można więc powiedzieć, że kiedy poinformowano go, że przyjechali po niego marshale, by zabrać go do innej placówki, jego przeciągły, bolesciwy jęk i przestraszone spojrzenie były w pełni uzasadnione. Uspokoił się dopiero, gdy zobaczył, że postawny wąsacz w mundurze United States Marshals Service żuje wykałaczkę. A gdy zaraz potem dostrzegł jego partnera, przystojnego blondyna w typie młodego Pitta, stojącego teraz w kącie i uśmiechającego się półgębkiem, z ulgą stwierdził, że męczarnie już się dla niego skończyły.

Jak się jednak okazało, uznał tak zdecydowanie przedwcześnie.

– No dobra, panowie. – Wąsacz z wykałaczką podniósł głowę znad dokumentów przypiętych do czarnej podkładki z gwiazdą wpisaną w koło i powiódł wzrokiem po zebranych w pomieszczeniu policjantach. – Z chwilą, gdy podpiszę ten dokument, US Marshals oficjalnie przejmują więźnia i odpowiadają za jego ochronę. Zrobimy wtedy wszystko, by pan – spojrzał w dokument – Chus dotarł bezpiecznie do właściwej placówki penitencjarnej, w której będzie oczekiwał prawomocnego wyroku w sprawie o zabójstwo z premedytacją. Zgodnie z zasadami, jakie nam przyświecają, nie zamierzamy go oceniać, szafować przedwczesnymi wyrokami czy wreszcie dawać mu do zrozumienia, że jest kimś od nas gorszym. Wypełnimy tylko nasz obowiązek, którym jest wspomniany wcześniej transport, jak również odizolowanie pana Chusa od społeczeństwa i społeczeństwa od pana Chusa. Czy to jasne?

Policjanci, w większości młodzi, pełni wigoru mundurowi smętnie pokiwali głowami. Trudno powiedzieć, na co mieli nadzieję, gromadząc się tutaj, ale najwyraźniej cokolwiek to było, właśnie zostało im odebrane. Bachus schylił głowę, by nikt nie dostrzegł, że się uśmiecha.

– Na razie jednak – powiedział wąsacz po krótkiej pauzie – niczego jeszcze nie podpisałem, a na dodatek zmuszony jestem pilnie udać się do toalety, by nie musieć tego robić później, podczas transportu. Jestem przekonany, że mój

kolega również zapomniał o tej prozaicznej czynności. A czyż nie jesteśmy wszyscy tylko ludźmi?

Policjanci przytaknęli skwapliwie, a Bachus, poderwawszy głowę, zdołał tylko wyrzucić z siebie ciche, niemal bezgłośnie:

– Dlaczego?

Miało minąć pięć minut pełnych ciosów i kopnięć, a potem jeszcze godzina bez przytomności, nim usłyszał odpowiedź.



– Zabić nic niepodejrzewającego telewizyjnego aktora w pustym pokoju z odległości metra. Co w tym, do cholery, może być trudnego?! – ryknął wreszcie Loki, przerywając nieznośną ciszę.

Jechali już dobre pół godziny drogą międzystanową. Więźniarka trzęsła niemożliwie, radio pojękiwało głosem wokalisty Rush, a wtórowała mu swym brzęczeniem latająca po szoferce tłusta mucha. Eros siedzący na miejscu pasażera odganiał się od niej podkładką z emblematem US Marshals.

– Jeden koleś! Jeden chrzaniony serialowy wymoczek! – nie przestawał krzyczeć Loki. – Gdybym wiedział, że to takie skomplikowane i trudne, pewnie wysłałbym kogoś o boskich mocach... a nie, kurwa, czekaj! Przecież wysłałem pierdolonego boga!

Nagle skręcił gwałtownie, zjechał na pobliski parking i wysiadł, trzaskając drzwiami. Obszedł więźniarkę i otworzył tylne drzwi, nic sobie nie robiąc z zaniepokojonych spojrzeń rodziny z trójką dzieci biwakującej tam akurat przy stoliczku wyjętym z potężnego, luksusowego kampera.

– Wysiadaj! – warknął do skulonego w ciemności, wciąż obolałego Bachusa.  
– Byle prędko, bo mam zamiar opowiedzieć ci, jak wyglądał mój dzisiejszy dzień.

Tłusty Bóg Wina się zawahał, ale wtedy Loki wydobyl z kabury pistolet.

– Wysiadaj, mówię – wycodził.

Bachus obejrzał się przez ramię, by w niewielkim, zakratowanym okienku dostrzec profil Erosa. Bóg Miłości zdawał się w ogóle nie przejmować zaistniałą sytuacją – patrzył prosto przed siebie i co jakiś czas poruszał gwałtownie ręką uzbrojoną w podkładkę. Zachowywał się jak jakaś lalka albo...

Iluzja? – pomyślał Bachus i poczuł, jak po plecach spływa mu nagle strużka zimnego potu. Czy to możliwe, że Loki był tak wściekły, że zabił Erosa, a teraz,

dla pozoru, zastąpił go iluzją?!

Loki wyceLOWAŁ w stronę wnętrza więźniarki i strzelił. Pocisk zrykoszetował od lewej ściany, potem od tylnej, jakieś dziesięć centymetrów od grubasa, wreszcie od prawej i z impetem wyleciał na zewnątrz.

Od strony kampera dobiegł pisk i dziecięcy płacz, a zaraz potem odgłos upadających na ziemię plastikowych naczyń i składania przenośnego stolika. Loki wychylił się zza więźniarki i pomachał rodzinie pistoletem.

– Proszę się nie przejmować, to tylko szczury – powiedział, po czym znowu spojrział w głąb więźniarki. – Wychodzisz czy tym razem mam...?

– Wychodzę. – Grubas wyłonił się z cienia. – Już wychodzę, nie strzelaj. I naprawdę, Loki, ja...

Kłamca przysunął grzbiet lufy do ust tak blisko, że poczuł na wargach ciepło bijące od rozgrzanej broni.

– Ciii... – polecił. – Najpierw mój dzień. Wyobrażasz sobie, że zaczął się całkiem fajnie? Utałem nosa pewnemu skrzydlatemu dupkowi, wygrałem parę piór w zakładzie, a w dodatku udało mi się wykonać numer, o którym myślałem już od jakiegoś czasu. Numer ryzykowny i taki, który na pewno nie spodoba się skrzydlatym, ale przecież, myślę sobie, hej, wiem, jak odwrócić ich uwagę! Wiem, jak ich udobruchać! Facet, który staje się nowym bogiem, zostaje skasowany, zanim stanie się prawdziwym problemem. Archaniołowie mają wątpliwości? Bum, paczka dowodów sumiennie zbieranych przez grupę nastoletnich hakerów. Wiesz, co musiałem zrobić, by ich do tego zmusić?

Bachus wiedział. Osobiście zdobywał dla Lokiego fotografie seksownych nauczycielek, sklepikarek, pojętnych sąsiadek tych zakompleksionych nerdów. Kłamca przemieniał się potem w każdą z nich i ubrany w damską bieliznę – albo i zupełnie bez niej – robił sobie naprawdę gorące sesje. Wtedy wyglądało, jakby sprawiało mu to perwersyjną przyjemność, ale teraz Bachus wołał o tym nie wspominać. Ograniczył się więc do skinienia głową.

– Wyobraź więc sobie moje zdziwienie – kontynuował Loki – gdy oto po wyjściu z głupawego przesłuchania włączam sobie telewizor, a tam co kanał ta sama wiadomość. Aktor wypada przez okno i znika, tłusty zamachowiec aresztowany. Brakowało jeszcze, by do prasy wyciekło twoje nazwisko! Ale by mieli używanie, gdyby wiedzieli, że jak Chapman, Oswald czy cała reszta pieprzonych zamachowców używasz dwóch imion!

Rozległ się ryk silnika, ale Kłamca nawet się nie obejrzał. Na moment znalazł się w cieniu opuszczającego parking kampera.

– Wiesz, jak bardzo mamy teraz przewalone? – zapytał po chwili.

Bachus w pierwszej chwili chciał skinąć głową, ale postawił na uczciwość i potrząsnął nią gwałtownie. Zbyt gwałtownie, zważywszy na obrażenia, jakich doznał. Jęknął z bólu, ku wyraźnej satysfakcji Kłamcy.

– No więc bardzo – powiedział Loki.

– A właściwie dlaczego? – zapytał nagle Eros, wyłaniając się zza więźniarki.

Najwyraźniej znudziło mu się siedzenie w rozgrzanej szoferce. A może po prostu uznał, że – zważywszy na rykoszetujące pociski – bezpieczniej jest jednak poza samochodem.

Loki odruchowo skierował w niego lufę pistoletu, zaraz ją jednak opuścił.

– He? – mruknął.

– Dlaczego mamy tak bardzo przerażane? – rozwinął Eros. – Bo jakoś nie było dotąd czasu, byś mi to wyjaśnił.

Loki przyglądał się Bogu Miłości przez moment, potem przeniósł wzrok na Bachusa. Podrapał się lufą w skroń, westchnął...

– Daj grubemu ciuchy do przebrania – poleciał w końcu Erosowi. – Do naszego samochodu mamy jeszcze tylko parę kilometrów, a potem zatrzymamy się gdzieś na kawę. Cholera, naprawdę potrzebuję kawy.



Co jeszcze mogę, gdzie kończą się moje możliwości...

*...zastanawiał się Crane, wpatrując się w swoją dłoń uformowaną teraz na kształt pistoletu – mały i serdeczny palec podwinięte, środkowy ze wskazującym wyprostowane, sterczący prostopadle do nich kciuk.*

– Myślę, że każdy wie, jak wygląda pistolet z dłoni – westchnął Crane. – Nie musisz wdawać się w takie detale.

*To powiedziawszy, Crane sięgnął po małą, posrebrzaną łyżeczkę i nabrał nią cukru z niewielkiej, porcelanowej cukiernicy ozdobionej malowanymi wizerunkami kolibrów zbierających pyłki z... – tu Crane musiał się przyjrzeć, bo na pierwszy rzut oka nie rozpoznawał tego kwiatu. Czyżby to była...?*

– Dobra, dobra, już rozumiem, przestań!

*... przyznał się do swej jakże sromotnej porażki Crane.*

Westchnął, zdając sobie sprawę, że trudno być bogiem.

Ale oczywiście musiał też przyznać, że miało to swoje plusy. Niecałe trzy godziny temu wszedł do studia, używając kilku filmowych sztuczek, jak machanie niewłaściwym dokumentem wystarczająco szybko, by nikt nie

zauważył, że to nie legitymacja FBI, a karta biblioteczna. Krzyczenie na strażnika, zmuszanie go do dzwonięcia do przełożonego i gra nerwów, gdy mundurowy szukał w jego oczach śladów blefu. Seria przypadków pozwalająca na prześlizgiwanie się między ochroniarzami i wreszcie niepilnowane stanowisko charakteryzatorskie, gdzie akurat znajdowała się zrobiona przez jego obsadę maska szefa studia.

Tanie filmowe klisze, zagrywki z filmów klasy B, a nawet C, które w normalnym życiu nie miałyby prawa zadziałać. A tu proszę, moc Dezyderiusza Crane'a i czyń swoje klisze, niechaj się staną prawem!

*Crane pomyślał, że ładnie by to wyglądało na jego nagrobku.*

– Wcale tak nie pomyślałem. Bogowie nie umierają!

*Faktycznie. Po zastanowieniu przyznał sam sobie rację.*

Filmik, który Crane nagrał i zaraz potem wypuścił, w świat, miał już cztery miliony wyświetleń. Ułamek w porównaniu z tym, na którym wypada z hotelowego okna i znika, ale młody bóg był pewien, że te liczby w końcu się zrównają – dwa obrazy są wszak jak pytanie i odpowiedź.

Co się stało? – chcieli wiedzieć ludzie po obrazie pierwszym.

Oto co, odpowiedział im obraz drugi. Dużo prostszy, nie tak efektowny, ale jakże silny w przekazie.

Na ekranie Dezyderiusz Crane, kiedyś znany jako Marcus Lester, patrzy z powagą w ekran, w rękę trzymając popołudniowe wydanie powszechnie znanej gazety. Nie sprawia wrażenia rozbawionego, ale ma ten swój dziwaczny półuśmieszek, w którym kochają się fanki serialu na całym świecie. W zębach trzyma źdźbło trawy. Mówi, nie wyjaśniając w zasadzie niczego, ale stawiając pytanie za pytaniem. „Nasz serial, choć rozrywkowy, opierał się na solidnym researchu i wprowadzał do popkultury najnowsze odkrycia w zakresie dawnych religii i wierzeń. Czy to nie dziwne, że zamach na mnie nastąpił akurat wtedy, gdy chcieliśmy powiedzieć wam, że bogowie istnieją?”

*Crane wiedział, że to, co mówi, nie trafi do rozsądnych ludzi, ale... przecież nie do nich, nie do tej garstki mówił. Zwracał się do ludzi z pogranicza, tych, którzy, spotkawszy aktora z serialu o lekarzach, pokażą mu chore kolano i poproszą o tabletki, a oglądając kolejny wydumany, spiskowy pseudodokument o WTC, powiedzą: „Cholera, coś w tym musi być!”. Mówił do ludzi, którzy nie uznawali Jezusa, ale święcie wierzyli w jego prapraprawnuczkę i to, że Dan Brown odkrył, że dybią na nią pospół kościelni asasyjni z Opus Dei i francuska policja.*

– Rany, wiesz, że tylko ja cię słyszę, a ja to wszystko już wiem?! – zapytał

zniecierpliwiony nagle Crane...

*...bo – wierzcie lub nie – on naprawdę tak właśnie myślał. Że te wszystkie myśli, spostrzeżenia i koncepcje nie wychodzą poza jego głowę. Ale one już poszły w świat. W chwili, gdy w filmiku powiedział zdania sakramentalne, które tylko umocniły jego wiarygodność. Zdania, które brzmiały: „To nie jest promocja następnego odcinka czy sezonu, bo już nigdy więcej nie zobaczycie Boga pośród nas. Chyba że rozejrzycie się wokół siebie...*

Crane pokiwał głową. Teraz, siedząc w niemal opustoszałym barze nad drinkiem barwy zdrowego moczu, uniósł pistolet z palców i wycelował w stronę samotnej dziewczyny na drugim końcu kontuaru. Mrugnął do niej, a ta zaraz wstała i podeszła, kręcąc biodrami. Poznała go? Nie, chyba nie, nie zachowywała się jak fanka. Ale i bez tego, nawinąwszy na palec kosmyk włosów, zapytała:

– Postawisz mi drinka, przystojniaku?

*Ech, pomyślał Crane, naprawdę powinienem oglądać w życiu ambitniejsze filmy, z lepiej nakreślonymi postaciami, zwłaszcza kobiecymi. Wystarczy wszak spojrzeć na obrazy twórców naprawdę szanujących kobiety. Na filmy Almodovara, Ozona... Ale nawet w szeroko rozumianej popkulturze – czy taka Sarah Connor dałaby się tak łatwo wyrwać? Porucznik Ripley? Czy...*

– Pierdolenie – mruknął Crane, przerywając narratorowi wywód, a dziewczyna zaśmiała się, jakby był to najlepszy żart na świecie.

– Najpierw drink, kochaniutki – stwierdziła zalotnie. – A potem się zobaczy.

*...i niech skonam, jeśli nie mówiła tego tak, jakby cokolwiek w tej scenie zależało od niej.*



Trzy zjazdy później odbili z międzystanowej, minęli małe miasteczko i zatrzymali się na porośniętym zielskim parkingu opuszczonej stacji benzynowej. Loki wysiadł i ruszył w stronę zaplecza, jednocześnie rozpinając koszulę munduru. Nie decydował się tym razem na iluzję; wbrew pozorom mogłaby się okazać trudniejsza niż zdobycie marshalowych ciuchów. Było ich dwóch i musiałyby utrzymywać złudzenie nie tylko na sobie, lecz także na Erosie, a to zawsze wymaga czuwania i nanoszenia zmian na bieżąco. Plama z wylanej kawy nie robi się sama, trzeba ją nałożyć, refleksy światła czasem nie znikają w porę. A gdy w grę wchodzi policja i sprawa zabójcy, wszyscy są jakoś



wyczuleni na detale. Stąd iluzoryczna twarz owszem, ale mundur czy tym bardziej dwa – już nie.

Kłamca podszedł do budynku i otworzył nową, ale specjalnie postarzoną kłódkę kluczykiem, który wyjął z kieszeni. Szarpnął za skobel, rozwarł skrzydła drzwi. Wszedł, cisnął koszulę w kąt, zdjął buty, rozpiął i zsunął spodnie.

Wszystkiemu temu przyglądał się swymi reflektorowymi ślepiami żółty ubłocony dodge charger. Loki w samych slipach i skarpetkach podszedł do maski i z leżącej na niej sportowej torby wyjął džinsy, T-shirt z George'em Carlinem upozowanym na Che Guevarę i conversy. Ubrał się szybko, wszedł do dodge'a, torbę rzucając na siedzenie pasażera. Wyjechał i zaparkował koło więźniarki, gdzie czekali na niego Eros i Bachus. Grubas, przebrany już w džinsy i flanelową koszulę, ścisnął w rękach perukę, sztuczny nos i brodę.

– Kompletnie nie wiem, jak się to zakłada – wyjaśnił Lokiemu.

– Daj to – polecił Kłamca. – A ty zdejmuj ten mundur, w torbie masz cywile.

Wziął perukę w obie dłonie, wywrócił brzegi na bok, po czym wcisnął ją na głowę Bachusa, poprawił i przyjrzał się krytycznie. Włosy peruki były nieco kręcone, więc teraz, jak jeszcze nigdy wcześniej, Bachus wyglądał niczym postać antyczna. Czy też może jeden z rafaelowskich cherubinków, który, niczym młode hollywoodzkie gwiazdki, zachłysnął się karierą, rozpił, roztył i oto teraz był jedynie pyzată, starą i groteskową wersją siebie z czasu świetności. Broda w tym zestawie mogłaby być już tylko groteskowa, dlatego Loki odrzucił ją, skupiając na nieco garbatym, sztucznym nosie. Zamocował go na sucho, bez kleju, docisnął.

– Trochę trudno mi się oddycha – pożalił się Bóg Wina.

– Dla ciebie już najwyraźniej nie ma łatwych zadań – odparł Loki. – Nie poradzę.

Zamachał coś rękami, przechylił głowę i doprawił wygląd kolegi drobną, prostą iluzją. Powinna się trzymać nawet niekontrolowana. Kłamca pokiwał głową zadowolony.

– Dobra, jedziemy – stwierdził w końcu. – Im szybciej obgadamy co trzeba, tym... sam nie wiem. Kawy.

Siadł za kierownicą, Eros po prawej, Bachus z tyłu. Koła zabuksowały na skruszonym betonie i dodge wyrwał na drogę. Po chwili byli z powrotem na międzystanowej, a pół godziny później w boksie przydrożnego baru. Zamówili po burgerze i kawie, rozsiedli się wygodnie.

– Co wiecie o serialu *Bóg pośród nas*? – zapytał w końcu Loki.

– Do tej pory dwa sezony, dwadzieścia siedem odcinków – odezwał się

Bachus. – Niezwykle popularny, w rekordowym momencie blisko trzydzieści milionów widzów, a w rankingach uzyskał wtedy współczynnik...

– O fabułę pytam – wszedł mu w zdanie Loki. – O czym jest.

Bóg Wina wzruszył ramionami.

– No, o bogach. I aniołach. Ci pierwsi ukrywają się przed drugimi, a Crane to taki trochę...

– No?

Kłamacza zakręcił młynka palcem, ale ten gest zaraz przeszedł w inny. Wyciągnięta przed siebie dłoń z palcami skierowanymi w górę. „Poczekaj”.

Do stolika podeszła kelnerka z kubkami na kawę, szklanym dzbankiem wypełnionym niemal po brzegi czarnym płynem o brunatnym połysku i zestawem dodatków.

– Co tam, chłopcy? Skąd jesteście? – zapytała, stawiając kubek przed każdym z nich, a potem wypełniając wszystkie kawą.

Eros już otwierał usta, ale Loki pokręcił głową. „Nie teraz”.

– Z Kanady – powiedział.

Nancy, bo tak według tabliczki na piersi miała na imię kelnerka, natychmiast straciła ochotę do dalszej rozmowy.

– Aha – mruknęła tylko. – Jakbyście, panowie, czegoś potrzebowali, to...

– Zawołamy – pokiwał głową Loki i uśmiechnął się tak, jak jego zdaniem powinien się uśmiechać funkcjonariusz kanadyjskiej konnej na wymarżonym urlopie w Ameryce.

Odczekał jeszcze moment, aż dziewczyna odejdzie, i spojrzał na Bachusa.

– No, możesz kontynuować.

Bóg Wina upił kawy, po czym, zmrużywszy oczy, doprawił ją sobie magicznie pięćdziesiątką bourbona. Jego ciało regenerowało się szybciej niż ludzkie, ale nadal bolało go niemal każde miejsce, jakie potrafiłby nazwać. Z całą pewnością potrzebował znieczulenia.

– W każdym razie, wracając – powiedział w końcu – Crane to trochę taki... no... ty, szefie. A cały świat przedstawiony jest jakby...

– ...na faktach – wtrącił się Eros. – Chcesz powiedzieć, że ten, kto go wymyślił i napisał, wie, jak się rzeczywiście sprawy mają?

Loki milczał.

– Ale w takim razie to nie aktora, a jego czy też ich powinniśmy załatwić – stwierdził Eros. – A przynajmniej przepytac, skąd wiedzą i w ogóle. To oni stanowią prawdziwe zagrożenie!

Loki upił kawy, po czym sięgnął do pojemniczka z wykałaczkami. Wyjął

jedną, bawił się nią przez chwilę, zanim wreszcie włożył do ust. Przygryzł, wciąż nie mówiąc ani słowa.

Eros i Bachus wymienili spojrzenia. Taka postawa szefa mogła mówić w zasadzie tylko jedno. Nie powiedzieli niczego, na co sam wcześniej by nie wpadł. A skoro wpadł i nie uznał tej drogi za sensowniejszą, to znaczyło, że się z nimi nie zgadza. A to z kolei prowadziło do jednego logicznego wniosku.

– To twój serial, prawda? – zapytał Eros. – To ty go napisałeś?

Wykałaczką przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego.

– Tylko po co właściwie to zrobiłeś? – chciał wiedzieć Bachus.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Bo mogłem? Bo świetnie płacili i szukali nowych pomysłów? Bo miałem, można powiedzieć, praktyki u Knoxa, a kto bardziej miesza ludziom w głowach niż ten skurwiel? No i wreszcie to, co zrobiliśmy w Tokio, ta cała historia z wielkim Zeusem, węzem, aniołami. Widzieliście, co się potem działo w sieci? Ludzie dostali świra na punkcie skrzydlatych i bogów. Mnóstwo gówna padającego po sezonie, jeden całkiem mądry, ale robiony przez Foxa, więc zerznięty w dupę i uwalony po sześciu odcinkach. Nisza panowie, nisza. Więc...

– Napisałeś serial, a on wyrwał się spod kontroli – dokończył Bachus.

– Nie doceniłeś charyzmy aktora – dodał Eros. – Nie doceniłeś scenarzystów i...

Kłamca wzruszył ramionami.

– Cokolwiek spieprzyłem, zorientowałem się za późno – odparł. – Myślałem, że jak zwykle prawda wyda się ludziom zbyt szalona, zbyt wydumana i nierealna. Ale rzeczywiście scenarzyści odwalili kawał dobrej roboty. Podobno ten dzieciak Po-prostu-Teddy bardzo się zapalił jako producent i zachęcał scenarzystów do wplatania w tę opowieść wszystkich religijnych historii spiskowych, jakie siedzą ludziom w głowach. I robienia tego na poważnie, a nie odwalania Xeny czy Buffy.

Bogowie popatrzyli na niego, a Kłamca wzruszył ramionami.

– Zrobiłem research – powiedział, wyciągając z ust wykałaczkę. – Podchodzę poważnie do swojej pracy.

Ostatnie zdanie skierował wyraźnie do Bachusa, ale wyrzut nie zdążył porządnie wybrzmieć, bo zaraz zjawiała się Nancy z burgerami. Jedli je w milczeniu, raz po raz zapijając kawą.

– Na czym dokładnie polega problem? – zapytał w końcu Eros. – W sensie rozumiem, facet staje się kimś na kształt nas, nasycony wiarą swoich telewizyjnych wyznawców, ale to chyba nie jest prawdziwa wiara, nie?

– Padżyysza, nysz... – Loki przerwał, przełknął, zaczął jeszcze raz. – Prawdziwsza, niż myślisz. W przeciwieństwie do osób uważających się za religijne, ci maniacy teorii spiskowych to perfekcyjne połączenie idioty i geniusza. Wyznawca idealny, teolog stuprocentowy. Upierając się przy tej jednej rzeczy, którą przyjął na wiarę, będzie szukał i grzebał, a wszystko, co może potwierdzić jego teorię, uzna za kluczowy dowód. Zwłaszcza teraz, kiedy...

– Serial stał się rzeczywistością – mruknął Bachus. – Dobra, rozumiem, że spieprzyłem, szefie. Naprawdę.

Loki ponownie wgrzył się w burgera.

– Właściwie to spieprzyliśmy obaj – stwierdził w końcu. – Ja nawet podwójnie. Po pierwsze, dałem im ten pomysł na serial, a po drugie, zbyt długo nie orientowałem się, co się święci. Gdy się tam zjawię, nasz telewizyjny Chrystus już dojrzał do tego, by go ukrzyżować. Właściwie wyświadczyliśmy mu przysługę.

– Pytanie teraz, czy z niej skorzysta – zauważył Eros. – Wiesz, może i z boskimi mocami, ale to nadal głupi aktorek.

Loki potrząsnął głową, po czym wskazał na Bachusa.

– Kim są według serialu rodzice Dezyderiusza Crane’a?

– Thor i Lo...

– I ja. – Kłamca wykonał gest, jakby to wszystko wyjaśniało.

Z twarzy rozmówców wywnioskował, że tak się nie stało, więc dopowiedział:

– Wiara to pojebany wynalazek. Z niej wszyscyśmy się zrodzili, ona czyni naszą rzeczywistość prawdziwą. Jeżeli ludzie wierzą, że Crane to mój syn, to tak właśnie jest. W dodatku ma po mnie łeb, a po tatusiu nienawiść do mamusi za żarcik, zdradę, zabójstwo. Taki trochę Hamlet w takt techno-Wagnera. Więc musimy założyć, że Dezyderiusz Crane dość szybko zorientuje się, kim jest i jak niebotycznie wielką ma moc. A także jak niebywałe posiadał narzędzia.

Kłamca odłożył hamburgera, wytarł ręce w serwetkę i odetchnął głęboko. Częściowo za sprawą jalapeño w posiłku, bardziej jednak, by podkreślić dramatyzm tej chwili.

– Chłopaki, nie sądzę, bym przesadził, gdy powiem, że ze wszystkich mitycznych, jacy istnieją, ten jebany skurwysyn może być najpotężniejszy.

Obaj bogowie przez chwilę wpatrywali się w Lokiego z pełnym powagi milczeniem. W końcu Bachus nieśmiało uniósł rękę.

– Loki, nie sądzę, że powinieneś go tak nazywać.

Kłamca uniósł brew.

– Kogo? Jak nazywać?

– No Crane’a – wyjaśnił Bachus. – Nie powinienes nazywać go skurwysynem, bo, technicznie rzecz biorąc, to ty... jesteś jego matką.

Loki pokręcił głową.

– Ty chyba jednak za mało zebrałeś tego wpierdolu – stwierdził.



Dość szybko rozmowa przestała się kleić, ale Crane wiedział, że na domknięcie jej kluczowym pytaniem jest jeszcze za wcześnie. Poza tym to nie on powinien je zadać. Dziewczyna była z tych, które za wszelką cenę chcą, by to była ich decyzja. Znał takie jak ona i nie potrzebował nowych mocy, żeby móc to stwierdzić. Wystarczyło mu dotychczasowe życie przystojnego lekkoducha.

Ach, gdyby tylko był jakiś sposób, by to teraz przyspieszyć...

*...pomyślał Crane i nagle zdał sobie sprawę, że obraz, jaki widział, wzbogacił się o dolny pasek menu z takimi opcjami jak: pauza, przewijanie do przodu i do tyłu, zmiana wersji językowej. Przez moment kusila go ta ostatnia opcja, ale przypomniał sobie, jak kiedyś przestawił swoją starą nokię na chiński i...*

– No już, już, nie musisz mi przypominać... – szepnął w rękaw, udając, że ziewa.

Dziewczynie wyraźnie się to nie spodobało.

– Nudzę cię? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Ależ skąd! Neurony lustrzane dają o sobie znać, bo się przez moment zagapiłem na tamtego kolesia.

Wskazał faceta na drugim krańcu kontuaru rozmawiającego jak on, z jakąś kobietą, dużo jednak brzydszą i starszą niż jego towarzyszka. Dziewczyna obejrzała się, pokiwała głową i uśmiechnęła zalotnie.

– Serio? To już nie masz na kogo patrzeć?

– To trochę jak z patrzeniem na zachodzące słońce. Czasem trzeba odwrócić wzrok – odparł...

*...zgrabnie wyplątując się z zastawionej pułapki.*

Już chciał sobie podziękować za tę uwagę, ale wtedy znowu musiałby udawać ziewanie, więc ostatecznie zbył tę myśl milczeniem.

– No, tylko nie zachodzące, dobra? – zaśmiała się dziewczyna. – Bez gumki

nie ma zabawy, kowboju.

O prośbę, pomyślał. Więc jednak obyło się bez przewijania? Menu zniknęło za niewidoczną dolną krawędzią zasięgu jego wzroku.

– A z gumką jest? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, w zasadzie to nic o tobie nie wiem. A co, jeśli okażesz się...

Menu natychmiast pojawiło się znowu, a on wyimaginowanym kursorem najechał na opcję „przejdź do następnej sceny”. Świat zakołysał się, obraz zamigotał i następnym, co usłyszał Crane, było:

– To gdzie idziemy, kowboju?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, gdy nagle przed jego oczami pojawiła ramka, a w niej trzy możliwe odpowiedzi: „do mnie”, „do ciebie” i „nie mam wystarczająco siły i krwi w nogach, by iść gdzieś daleko”. Każda z opcji, gdy się na niej skupił, zaprezentowała mu krótką zapowiedź tego, jak wszystko potoczy się dalej. To było prawie jak „w następnym odcinku” jakiegoś interaktywnego serialu, w którym był głównym bohaterem. Jak granie na kodzie, który na grę nakłada łatkę podpowiedzi.

Crane nie musiał się długo zastanawiać. Opcja pierwsza odpadała zupełnie, bo nie istniało coś takiego jak „u niego”, nie miał jeszcze nawet hotelu. Trzecia była ryzykowna, bo dziewczyna mogła się obrazić. Gdy to jednak sprawdził, najeżdżając na obraz, zdał sobie sprawę, że jednak nie, przyjmie to chętnie i przez następne dwadzieścia minut każdy, kto będzie chciał się wysikać, będzie musiał skorzystać z damskiej toalety.

Ta opcja mu odpowiadała...

*...choć trochę psuła ją łatwość, z jaką mu to wszystko przyjdzie, brak jakiegokolwiek wyzwania, jakiegokolwiek...*

Pokręcił głową. Nie, po prostu mu odpowiadała i już.

A gdy dwadzieścia minut później zdyszana, mokra od potu dziewczyna wyznała mu pełnym uwielbienia, rozedrganym szeptem: „Jesteś pierdolonym bogiem, kowboju”, uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Pierdolącym, skarbie. Reszta się zgadza.



Wyszedł z baru około północy i przez jakiś czas włóczył się ulicami miasteczka, nie myśląc o niczym konkretnym. Czasem jednak zauważał jakąś prozaiczną

sytuację i wtedy nagle w głowie przeskakiwał mu obrazek – albo filmik czy animacja – jak by to wyglądało w fabule. Jak scena, którą właśnie obserwował, mogłaby przedzierzgnąć się w popkulturową kliszę? Jaka konwencja pasowałaby lepiej do starego pijanego lumpa i młodego japiszona na przystanku autobusowym? Dramat? (Japiszon rozpoznaje w lumpie ojca, który dawno temu go porzucił). Sensacja? (Lump podchodzi do japiszona i mówi mu coś, co narazi życie chłopaka na śmiertelne niebezpieczeństwo). Dreszczowiec z psycholem? (Szczeniak w garniturze rozgląda się, wyjmuje z teczki siekierę i zarąbuje żuła dla dzikiej satysfakcji, a potem rezygnuje z nocnego i idzie poszukać taksówki).

Każda scena dziejąca się wokół miała teraz fabularny potencjał. Każda mogła w jednej chwili przestać być życiem i stać się opowieścią dla mas. Był tylko jeden problem, z którego Crane zaczynał sobie właśnie zdawać sprawę.

To wszystko, co działo się wokół niego, te scenki mniejsze i większe były niczym więcej jak tylko scenkami właśnie. Mniej lub bardziej udanymi, mniej lub bardziej oryginalnymi lub postmodernistycznymi, ale w oderwaniu od większej fabuły zupełnie pozbawionymi znaczenia. Tej natomiast, osi scenariusza, jakoś nie było. Podobnie jak protagonisty, antagoniści i...

*Crane przystanął, zdając sobie sprawę, że to wszystko, co właśnie pomyślał, to nieprawda. Istniał przecież protagonista, i to najlepszy z możliwych. On sam. O antagonistę też nie było trudno, jeżeli potraktować jako otwierającą scenę niedawną rozmowę i zamach w hotelu. Ktokolwiek za tym stał, ktokolwiek chciał go zabić, wiedział sporo o tym, kim Crane się staje, i za wszelką cenę nie chciał do tego dopuścić. A zatem ów ktoś, czy może cała organizacja ktosiów, to właśnie antagonistą. Cel? Mogłoby nim być rozwiązanie zagadki, dlaczego stał się tym, kim jest, ale Dezyderiusza Crane'a mało to teraz obchodziło. Więc może...*

– ...stara, dobra i starannie przemyślana zemsta? – powiedział na głos...

*...i choć brzmiało to całkiem niezłe, to jednak nie aż tak, jak mogłoby zabrzmieć we wnętrzu jego głowy, gdyby się tak łaskawie nie wpierdalał w zdanie swej wewnętrznej narracji.*



Postanowili sklecić naprędce kilkupunktowy plan. Pierwszy i zdecydowanie najważniejszy punkt brzmiał: za wszelką cenę utrzymujemy sprawę w tajemnicy przed skrzydlatymi.

Nie wymagało to dodatkowych wyjaśnień, tłumaczeń i dyskusji, bo cała trójka zdawała sobie sprawę, że nie ma znaczenia, kto spieprzył – poleciliby wszyscy.

Byli po to, by skutecznie likwidować albo wystawiać dawnych bogów, nie po to, by tworzyć nowych. Samo sprzedanie wiedzy o prawdziwej naturze świata również nie działało na ich korzyść, ale z tego akurat, zdaniem Lokiego, mogli się spokojnie wyłgać.

Po pierwsze, sprzedając scenariusz, zachował wszelkie możliwe środki ostrożności, a samo wspomnienie o sprawie zamaskował w swej głowie przed odczytaniem metodą odkrytą niedawno w jakiejś książce.

Po drugie, co Kłamca sprawdził już po wielokroć, aniołowie nie oglądali specjalnie filmów i generalnie guzik wiedzieli o popkulturze. Gdyby jednak sprawa wypłynęła, archaniołowie, a zwłaszcza Michał, mogliby nie dać im drugiej szansy. Zwłaszcza odkąd Loki miał z Jenny ciche tygodnie, tracąc tym samym swą jedyną słabą ochronę przed Ogniem Pana i Wodzem Jego Zastępów.

Reszta punktów planu opierała się na przewidywanym postępowaniu nowego boga i ewentualnych sposobach przeciwdziałania. Z braku innych opcji Loki przyjął taktykę „co ja bym zrobił na jego miejscu”, o tyle niepozobawioną sensu, że na swój dziwaczny sposób byli z Crane’em spokrewnieni.

– W pierwszej kolejności postawiłbym na dwie rzeczy – uznał Kłamca. – Po pierwsze, przetestował zakres swoich mocy, po drugie, starał się je maksymalnie zwiększyć.

Eros zanotował, po czym pstryknął długopisem.

– W jaki sposób byś to zrobił? – zapytał.

– Zwiększył moce? Biorąc pod uwagę to, czego jest potencjalnym bogiem – Loki postukał się palcem w nos – sędzę, że użyłbym wszystkich dostępnych mi mediów, by... Dobra, panowie. Zbieramy się. Potrzebne nam na szybko jakieś centrum handlowe.

Bachus, który właśnie wrócił z toalety i ledwie wcisnął się ze swym brzuchem z powrotem za stół, sapnął głośno.

– Po co nam teraz centrum handlowe, Loki?

– Potrzebujemy damskiej bielizny, bo ciągle sobie z nią nie radzę.



Właśnie ten moment, nie cała wcześniejsza połajanka, był w takich rozmowach



najgorszy. Chwila, gdy ojciec kończył już kazanie, zostawało mu raptem kilka zdań do końca. Wtedy jego słowa zaczynały się plątać, głos cichł, pauzy wydłużały się niczym cienie późnym letnim popołudniem. Wzrok uciekał mu w stronę siedzącej na łóżku matki, a ta wytrzymała owo spojrzenie tylko chwilę, by zaraz zwiesić głowę i wygładzić chyba tylko dla niej widoczne fałdki na kocu.

Zawsze gdy przychodzili z „rozmową”, zajmowali te same pozycje – ona na łóżku, on przy szafie obok drzwi – i nieodmiennie odgrywali te same role, powtarzali te same kwestie, by wreszcie spalić się na finale. Stu czuł ich zażenowanie i pośrednio mu się ono udzielało. Mógł sobie być zbuntowanym trzynastolatkiem, ale przecież kochał swych staruszków. I nie był potworem. Dlatego tym razem, wiedząc doskonale, co się święci, zrobił w odpowiednim momencie żalną minę i wyjęczał:

– Proszę, tylko nie teraz. Nie możecie mi zabrać karty graficznej z komputera, bo bez niej nie będę w stanie...

Przerwał, niby nerwowo wzrokiem w górę i w lewo, nie ostentacyjnie, ale na tyle zauważalnie, by mama, której się ostatnio nudziło w pracy i czytała na tony podręczniki dotyczące mowy ciała, zauważyła to i odebrała jako odwołanie do wyobraźni, a więc kłamstwo.

– ...odrabiać lekcji. Muszę sprawdzać pewne rzeczy w int...

Urwał słowo, mając nadzieję, że powiedział je dość głośno, by tata usłyszał. Ostatnio miał trochę problem ze słuchem, jakiś debil zatrąbił mu prosto w ucho trąbką stadionową i teraz trzeba mu było wszystko powtarzać.

Tego jednak nie.

Nagły błysk w oczach rodzica i nikły uśmiech pod wąsem znaczyły, że oba sygnały dotarły i zagnieździły się w jego głowie jako własne pomysły. A szybka wymiana spojrzeń z matką potwierdziła to ostatecznie. Dobrze, pomyślał Stu. Tym razem nie będzie chwili krępującej ciszy. Teraz tylko nie okazać ulgi, bo to mogłoby wszystko skopać. Utrzymać żalną minę, odpowiednio zareagować, gdy...

– Przykro mi synu, ale kara musi zboleć – stwierdził ojciec. – Wtedy ją zapamiętasz i, być może, następnym razem powstrzymasz się od sprawiania kłopotów innym i sobie, a nam przykrości.

– Ale tato. Czy nie mógłbym...?

– Nie, mój drogi, nie mógłbyś.

Ojciec podszedł do biurka i położył rękę na migającym zielonymi lampkami routerze. Wypiął go dwoma sprawnymi ruchami.

– To po pierwsze. Po drugie – karta. Wypniesz sam czy mam...?

Zrobił groźną minę, za którą zupełnie nic się nie kryło. Stu wiedział o tym, ale nawet gdyby było inaczej, domyśliłby się tego po reakcji matki, która, usłyszawszy ojcowski blef, gwałtownie wstrzymała oddech. Ojciec nie znalazłby karty graficznej w bebeczach komputera nawet i za sto lat. No ale gdyby zmusić go do jej szukania, pewnie znowu zrobiłby tę minę zbitego psa, a w dodatku cała ta szopka przeciągnęłaby się nie wiadomo ile.

Dlatego, pociągając nosem, Stu zwłóknął się z obrotowego krzesła, opadł na kolana, raz jeszcze poprosił i usłyszał odmowę, po czym, wyczerpawszy już wszelkie odwołania do ojcowskiej litości, zdjął pokrywę obudowy i wyjął masywną, obudowaną radiatorami i wentylatorami kartę graficzną. Podał ją ojcu i zacisnął zęby, gdy dostrzegł, jak rodzic ją ściska, nie bacząc na podzespoły. W tym momencie pożałował, że nie oddał jej w pudełku.

– Jak długo? – zapytał jeszcze, co było ostatnim krokiem w stronę dopełnienia rytuału.

– Tak długo, jak będzie trzeba – odparł ojciec i to były sakramentalne słowa, które domykały temat.

Matka podniosła się z łóżka, wygładziła koc i spódnicę, podeszła do drzwi.

– Kolacja będzie za pół godziny. Poczytaj coś do tego czasu – powiedziała i uśmiechnęła się smutno. – I nie bocz się tak. To dla twojego dobra.

– Matka ma rację – powiedział ojciec, również podchodząc do drzwi. – Może teraz widzisz to inaczej, ale robimy to wszystko dla ciebie. Bo cię kochamy.

Stu chciał teraz odpowiedzieć, że też ich kocha, ale nie mógł, bo to by skopało jego przykrywkę. Dlatego tylko mocniej pociągnął nosem i warknął:

– A ja was nienawidzę.

A potem czekał z zamkniętymi oczami, aż zamkną się drzwi.

Wiedział, że zgodnie z podręcznikiem matki powinien teraz dostać czas dla siebie, więc nie obawiał się, że wrócą. Mimo to odczekał jeszcze chwilę, zanim włączył komputer, który automatycznie przełączył się na kartę zintegrowaną. Jutro podrzuci ojcu atrapę, a dziś i tak nie zamierzał w nic grać. Zamiast tego połączył się z wi-fi sąsiadów, wpisując ich beznadziejnie słabe hasło, i sprawdził pocztę. Nic ciekawego, więc szybko przełączył się na skrzynkę, którą zwykł nazywać służbową. Tam czekał na niego mail z załącznikiem.

Na sam widok loginu nadawcy i symbolu spinacza zaczęło go przyjemnie mrowić w dole brzucha, a temat „Zaliczka i szansa na więcej” przyspieszyły bicie serca. Z gwałtownie narastającym podnieceniem najechał kursorem na

wiadomość i kliknął. Miał zamiar najpierw przeczytać tekst, ale wzrok odruchowo omsknął się na miniaturkę czarno-białej fotografii, na której śliczna, półnaga modelka prężyła się i uśmiechała do obiektywu niemal tak samo, jak uśmiechała się czasem do klasy na prowadzonych przez siebie lekcjach matematyki. Od nagłego odpływu krwi z głowy Stu zrobiło się słabo.

*Cześć,*

*nowa sesyjka, tym razem pozowana, bo pani psor ma nowego chłopaka, fotografa.*

Stu zmarszczył czoło, błyskawicznie otworzył drugie okno, wszedł na Facebooka i włamał się na konto matematyczki, by sprawdzić logi czatu. Żadnych nowych rozmówców, żadnych nowych chłopaków. Dziwne. Przerzucił karty i wrócił do listu.

*Facet jest trochę dziwakiem – płyty winylowe, żadnych komórek czy Fejsa – ale na szczęście aparat ma cyfrowy, a zdjęcia robi niezgorsze, czyż nie?*

Tak, Stu musiał to przyznać. Ze wszystkich zdjęć, jakie do tej pory dostał, to było najlepsze technicznie. Może niespecjalnie odważne, ale jakościowo bez zarzutu. Pytanie tylko – zresztą to samo co zwykle, odkąd okazało się, że sprawdzanie maila do niczego nie prowadzi, a innych śladów brak – jak jego rozmówcy udało się wejść w ich posiadanie? I kim w ogóle jest? A także czego chce w zamian?

Przynajmniej na to ostatnie pytanie odpowiedź zawierała się w liście.

*Jeżeli chcesz dostać więcej zdjęć (a nawet jeden krótki, acz treściwy filmik), będziesz musiał coś dla mnie zrobić. I nie martw się, nie będzie to skomplikowane ani specjalnie czasochłonne.*

To już ja ocenię, pomyślał Stu, ale gdy doczytał do końca, stwierdził, że faktycznie: ani trudne, ani skomplikowane. Właściwie gdy tylko rozpuści wici – co powinno mu zająć nie więcej niż kwadrans – robota robi się sama.

Odpisał więc szybko: *ok, już się za to biorę*, po czym wahał się przez chwilę, patrząc to na zdjęcie, to znów na paczkę nawilżanych chusteczek obok monitora, ale wreszcie uznał, że na to będzie jeszcze czas. Po pracy i... z mocniejszą dokumentacją.



Piętnastoletni Manuel wiedział, że to już koniec. Wiedział, gdy z oddali dobiegło ich mruczenie, które po chwili strachu większość wzięła za zapowiedź

nadchodzącej burzy. Zyskał ostateczną pewność, kiedy zza wzgórz, w takt jazgotu teksańskiego *rebel yell* i kawałków Hanka Williamsa odpalonych nagle z olbrzymich głośników, reflektory na kabinach półciężarówek wystrzeliły słupami światła, a jego matka zatrzymała się uwięziona w ich promieniu niczym kojot na drodze.

Niektórzy próbowali się jeszcze chować, biegali, szukając schronienia za gałkami, pagórkami, między wyschniętymi gałęziami pojedynczych krzaków. Manuel zobaczył, jak pan Pablo, piekarz, wpycha córkę i jej dziecko do niewielkiego dołka, a potem kładzie się na nich i rękami zagarnia ziemię pod siebie, jakby płynął. Naiwna wiara pozwalała mu wierzyć, że w tym krótkim momencie, zanim pieprzone teksy schwytyją całą resztę wędrowców zza muru, jemu uda się przysypać bliskich na tyle, by nikt ich nie zauważył.

Huknęły strzelby wielkie jak armaty. Na razie w powietrze, ale nikt nie miał wątpliwości, że jeśli zaraz wszyscy się nie uspokoją, kule powędrują między ludźmi, głosząc prawdę o dobrodziejstwie amerykańskiej drugiej poprawki.

Samochody były już cztery. Jeden terenowy, należący do straży granicznej, i trzy pick-upy samozwańczego patrolu obywatelskiego. Na dachu każdej z półciężarówek zamocowano listwę halogenów i, jakby tego było mało, ogromny ruchomy szperacz zasilany z agregatu na pace. Wszystko po to, by węsaci, długowłosi kowboje, po siedmiu w każdym wozie – trzech w kabinie, czterech na pace – nie musieli strzelać w ciemność.

Prócz broni Manuel zauważył co najmniej dwie kamery, którymi celowano teraz do jego rodziny i bliskich. I choć obiektyw był mimo wszystko lepszy niż lufa, to dopiero na ten widok chłopiec poczuł prawdziwy gniew. Nie wystarczy im, *hijos de puta*, samo polowanie, zastraszanie, strzelanie do ludzi jak do królików czy świstaków. Nie, oni jeszcze musieli to uwiecznić, by potem chwalić się swoim żonom czy siostram. Co podobno w Teksasie często znaczyło jedno i to samo...

Chłopiec zacisnął pięści i ruszył w stronę matki, ale nagły huk, wizg, a potem kamień podskakujący tuż przy jego stopie i obłoczek pyłu w powietrzu skutecznie go zatrzymały. Matka, wciąż w kręgu światła, wstrzymała oddech. Chłopiec wiedział, że boi się teraz bardziej o niego niż o siebie, i to sprawiło, że karnie zwiesił głowę.

Samochody tymczasem ustawiły się półkręgu i zatrzymały. Z wozu straży granicznej wyłonił się postawny jegomość pod pięćdziesiątkę. Nałożył kapelusz, wziął do ręki megafon i poczekał, aż węsaci kowboje ustawią się po jego obu stronach. Dopiero wtedy włączył urządzenie, przyłożył tubę do ust i powiedział

po angielsku z wyraźnym teksańskim akcentem:

– Straż graniczna. Właśnie wtargnęliście na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Jeden z kowbojów zawył niczym kojot, wznosząc głowę do księżyca, kilku jego kolegów ryknęło coś do wtóru. Padł strzał i kolejny.

Manuel złowił spojrzenie przerażonej matki. Miał tylko płochą, nikłą nadzieję, że nie zrobią jej krzywdy. Może w tej ciemności nie zauważą, jaka jest piękna?

– Ej, a co się tam dzieje?! – zawołał nagle jeden z Tekszańców.

Szperacz podążył za wskazaniem jego palca i oświetlił pływającego na piasku piekarza Pabla. Kowboj ruszył w jego stronę.

– Wyłaż stamtąd, pierdolony brudasie! Co, nie rozumiesz po angielsku?

Piekarz przestał ruszać rękami, ale się nie podniósł. Uniósł tylko głowę i wlepił wzrok w nadchodzącego mężczyznę.

– Wstawaj i dołącz do pozostałych – polecił kowboj.

Gdy Pablo nie zareagował, wymierzył i strzelił tuż obok niego. Meksykanin zamknął oczy, ale poza tym ani drgnął. To jeszcze bardziej rozsierdziło Tekszańczyka.

– Wstawaj, fasolarzu! – ryknął, a krzykowi towarzyszył kolejny strzał, znacznie bliżej głowy Pabla. Odpryskujący piasek uderzył piekarza w twarz, wpadł do oka. – Jak się zaraz nie ruszysz, następna kula zrobi ci z mózgu pierdolone burrito, słyszysz?

Manuel zacisnął pięści jeszcze mocniej. Wiedział już, że mężczyzna nie wstanie, że kto wie, może właśnie wymyślił sobie, że jak już go zastrzelą, to nikt nie ruszy trupa i wtedy jego córka i wnuczek ocaleją, potem wygrzebią się spod niego i rozpoczną nowe życie w tej ojczyźnie wolności i szansy dla każdego. Czy to naprawdę było tego warte? Tych pieniędzy, jakie już zapłacili, strachu, upokorzeń, a teraz jeszcze tego? Śmierci od kuli jakiegoś wariata, który nie umiałby przeliterować nazwy ulubionego zespołu? Manuel miał piętnaście lat, urodził się w małej meksykańskiej wiosce, a już teraz lepiej mówił po angielsku niż tamci ze strzelbami. Pewnie lepiej też znał historię i geografię ich kraju. Gdzie tu jest sprawiedliwość?

Wtedy właśnie sprawiedliwość przemówiła.

– Funkcjonariuszu, proszę zostawić tych ludzi – rozległo się nagle gdzieś z lewej.

Głos z pogranicza szeptał, ale mimo wszystko głośny i wyraźnie słyszalny dla wszystkich. Co najdziwniejsze, Manuel nie był w stanie stwierdzić, czy

słowa padły po angielsku, czy po hiszpańsku. Z zaskoczenia i nagłej irytacji Tekszańców oraz z nadziei w oczach schwytych Meksykanów wynikało, że jakimś cudem wypowiedź była zrozumiała dla wszystkich.

Właściciel głosu wszedł w krąg światła i wtedy Manuel go rozpoznał. Choć był ubrany jak Eastwood, nie było wątpliwości, że to aktor z jego ulubionego serialu *Bóg pośród nas*. Ten, który ostatnio... zginął? Jak widać, nie do końca.

A może to wyobraźnia płata ci figła? Meskalina strachu, tequilowa nadzieja i piwne nerwy – halucynogeny drink zwalający z nóg. *Histeria Mekska* – tak mógłby się nazywać. Albo *Rojenia fasolarza*. Pijesz i widzisz aktorów na pustyni.

Wtedy jednak mężczyzna podszedł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się niemal tuż przy chłopcu. Mrugnął do niego i nie było już żadnych wątpliwości. Za kilkudniowym zarostem kryła się twarz Marcusa Lestera. Ubrany był w parciane spodnie obszyte skórą i ciemnobure ponczo, na oczy miał zsunięty kapelusz z szerokim rondem. Pachniał garbowaną skórą, smarem i świeżym potem.

– Chyba wyraziłem się jasno, funkcjonariuszu? – ni to stwierdził, ni zapytał, kładąc ręce na ogromnych rewolwerach zawieszonych na szerokim pasie. – Wskakujcie na swoje ciężarówki i zjeżdżajcie stąd, zanim się zdenerwuję. Zostawcie tylko tego forda po lewej, bo państwo nie będą chodzić więcej po nocy.

Wszystko to powiedział władczym, przepełnionym pewnością głosem, a Manuel mógłby przysiąc, że gdy słowa wylewały się z jego ust, jakiś bezcielesny, nieco schrypnięty głos nucił coś jako ścieżkę dźwiękową, podkład dla tej przemowy. Patetyczną i zadziorną jak kawałki Hansa Zimmera z czasów *Twierdzy*. Manuel uwielbiał ten film, był wielkim fanem Nicholasa Cage’a.

Funkcjonariusz Straży Granicznej zmrużył oczy, by przyjrzeć się nieznanemu, a potem splunął na ziemię i uniósł strzelbę.

– Nie wiem, kim jesteś, chujku, ale zaraz...

I wtedy padł pierwszy strzał. Tak, to Marcus Lester strzelił pierwszy, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Wypalił z ogromnego rewolweru, który nagle zmaterializował się w jego ręce, a funkcjonariusz odleciał do tyłu i walnął o maskę samochodu. A potem, nim ktokolwiek się zorientował, padło kolejnych dziesięć strzałów. Każdy z nich skutkowało spektakularnym, filmowo nienaturalnym upadkiem jednego z Tekszańców. W powietrzu fruwały kapelusze, a jedna ze świszczących kul przeszła przez szybę, zrykoszetowała we wnętrzu samochodu i uderzyła w gałkę radia, uruchamiając lokalną stację.

Rozległy się dźwięki *Ring of Fire* Johnny'ego Casha.

Większość Meksykanów na dźwięk pierwszego strzału padła na ziemię. Manuel jednak stał i patrzył jak urzeczony na to, co się dzieje, na kciuki Lestera z lekkością odciągające kurki potężnych rewolwerów, na płomień wydobywający się z lufy, a potem na wychudłe klatki piersiowe kowbojów zapadające się pod flanelą niczym gliniane dzbanki uderzone młotem. Padali jak muchy, nie zdążywszy nawet unieść broni. Padali, a w gardłach wiązał im ten sam co wcześniej *rebel yell*.

Jednak to był tylko pierwszy szok i chłopiec wiedział o tym doskonale. Jedenaście strzałów, każdy celny i skuteczny, wujaszek Clint byłby dumny – gdzie on, do diaska, nauczył się tak strzelać?! – ale to znaczyło, że w olbrzymich rewolwerach aktora został już tylko jeden pocisk. I to akurat w chwili, gdy pozostali członkowie społecznego patrolu na rzecz czystości granic otrząsali się z zaskoczenia, dopadali osłon, unosili broń. Nie dadzą mu szansy, nie pozwolą przeładować, podziurawią jak sito ze swoich strzelb i karabinów, zwłaszcza że stoi tak w centrum światła, łatwy cel...

Ale Marcus Lester niczym jego serialowe *alter ego* niewiele sobie robił z praw rządzących tym światem. Jego rewolwery mimo pustych bębenków nadal pluły ogniem jak szalone, a każdy pocisk trafiał napastnika, nieważne gdzie ten się ukrywał. A potem, gdy kowbojów zostało może pięciu czy sześciu, Lester / Crane nagle puścił rewolwery na ziemię, dobył noża i rzucił się biegiem w stronę pojazdów.

Ocaleni uznali to za swoją szansę, bo wychylili się zza samochodów i zaserwowali aktorowi prawdziwą kanonadę. Marcus Lester tańczył jednak między kulami, uchylał się, odwracał głowę i wykonywał w powietrzu nierealne akrobacje, unikając korkociągów kul rzeźbiących w powietrzu swe pokręcone tunele. Ciche do tej pory murmurando jego ścieżki dźwiękowej przeszło w mocny, patetyczny motyw i złało się idealnie z kolejnym kawałkiem Casha dochodzącym z radia.

A potem Lester / Crane wskoczył na maskę pick-upa, wybił się mocno z lewej nogi i przeleciał nad kabiną, by wylądować na pace i stamtąd ciąć ukrytych za samochodem napastników. W górę wystrzeliły fontanny krwi, rozległy się też wrzaski przechodzące w zdławiony bulgot. Choć wciąż padały strzały, Manuel wiedział, że nie mają one już żadnego znaczenia. Witaj, Ameryko! Twój bóg, bóg amerykańskiego popu, gwiazda z firmamentu Hollywood, zstąpił, by przeprowadzić swój lud przez pustynię.

Nie wiedział, skąd wzięło mu się w głowie to porównanie, ale tą samą drogą

dotarła do niego myśl brzmiąca jak polecenie: *Weź kamery*. Rozejrzał się i dostrzegł, że obie leżą tak, by filmować scenę z dwóch perspektyw, z obu stron. Manuel, który marzył, że kiedyś zostanie operatorem, a może nawet reżyserem, i opowie prawdę o swoim kraju, nabrał nagle pewności, że oto jego filmowa misja właśnie się zaczęła.

Miał zmontować ewangelię nowego boga. Pierwszą z tysięcy. Świadectwo cudów, jakich dokonał troskliwy bóg Marcus Les...

*Nie!*

Zamarł na moment zaskoczony obcym głosem, ale zaraz pokiwał głową i się poprawił.

...jakich cudów dokonał troskliwy bóg Dezyderiusz Crane w obronie swego ludu wybranego.

Gdzieś tam za samochodem z cichym jękiem umierał ostatni wąsaty członek samozwańczego patrolu.



Stu siedział w Starbucksie i popijając kawę, to zerkał na monitor pożyczonego laptopa, to rozglądał się po wnętrzu kawiarni. Zasilacz komputera był podłączony do gniazdka mimo pełnej baterii, bo chłopak nie chciał niespodzianek. To spotkanie biznesowe i miał zamiar wypaść na nim dobrze. Nieważne, co było przedmiotem handlu. Przecież ci ludzie od zabawnych gadżetów typu wesoły penis na nóżkach też pewnie kiedyś rozmawiali o..., ha, ha, ha, interesach. Śmieszność towaru nie zwalniała ich jednak z profesjonalizmu. Powinni się właściwie prezentować i robić wrażenie, wynajmować salki konferencyjne i stukać wskaźnikiem w tablicę pełną wykresów sprzedaży. A przynajmniej nie przepraszać za ewentualny nagły brak zasilania, bo przeceniło się baterię pożyczonego maca.

Tak właśnie, dobre wrażenie, pomyślał Stu, upijając kolejny łyk kawy. Czarnej, bo prawdziwi faceci piją tylko taką: czarną jak smoła i gorącą jak zawartość hutniczego pieca. Para parzyła mu twarz, ale oczywiście ani myślał o pokrywce; skoro już tak się męczył, to niech ludzie widzą z czym. Na szczęście cukru, którego wsypał cztery torebki, a potem jeszcze pół, nie było widać. Tylko opakowania, ściśnięte w papierową kulkę i wepchnięte w tylną kieszeń, uwierały go po równo w dupę i w sumienie.

Raz jeszcze przejrzał zawartość folderu zebraną w ciągu ostatniego tygodnia,



wszystkie te filmiki zrzucone z YouTube'a i Vimeo, a potem przekonwertowane do AVI, zrzuty ekranu z artykułami, dla wygody skopiowanymi także jako czysty tekst do Worda. Nagrał to wszystko również na *pendrive*'a ze Scoobiem Doo – jedynym, jaki znalazł – ale chciał najpierw omówić to i owo, nim sfinalizują transakcję. Swoją zapłatę też miał zamiar sprawdzić na miejscu, przynajmniej pobieżnie. Tak właśnie robi się dorosłe biznesy i jako bardzo przedsiębiorczy trzynastolatek Stu był tego w pełni świadom.

Powiódł wzrokiem po lokalu. Dostrzegł jakąś parkę w szkolnych mundurkach – ona ciemna spódnica, takiż sweter i biały kołnierzyk wyłożony na zewnątrz, on spodnie w kant i marynarka tej samej barwy z herbem szkoły wyhaftowanym złotem i czerwienią na kieszonce – rozprawiającą nad termicznymi kubkami z logo zielonej syrenki. Nieco na lewo od nich, na skórzanym fotelu pólleżał zblazowany latynos w T-shircie niszowej hipsterskiej imprezy. Bawił się komórką i popijał – mięczak! – latte.

Stu ostentacyjnie łyknął czarnej, przesłodzonej smoły i zerknął w stronę długiej lady znikającej w głębi wąskiego lokalu. Akurat w tym momencie stojąca tam stara pomarszczona Murzynka w czymś przypominającym turban odwracała się, ściskając w obu rękach porcelanowy kubek. Ich spojrzenia się spotkały, a kobieta natychmiast wzięła to za dobry znak. Dotuptała do niego, drobiąc kroczi i postawiwszy kubek na stole, ciężko opadła na kanapę obok chłopca. Poduszka sapnęła głośno; zabrzmiało to, jakby ktoś puszczał gazy.

A może rzeczywiście, zdążył pomyśleć Stu? Cholera, jeszcze tylko tego mu brakowało – starej baby podsłuchującej ich rozmowy i popierdującej w przerwach na oddech. Gdyby tylko mógł się teraz przesiąść. Gdyby miał gdzie...

Wtedy weszli. Było ich dwóch. Pierwszy – elegancki blondyn trochę podobny do Brada Pitta – i drugi – gruby, z ręką na temblaku i niemal całą twarzą skrytą za wielkimi przyciemnianymi okularami. Czy wyglądali jak agenci jednej z agencji o trzyliterowych skrótach? Cóż, zdecydowanie było już za późno, by się nad tym zastanawiać. Stu skinął na nich ręką. Podeszli.

– Stu Redman? – zapytał ten w typie Pitta.

Chłopak pokiwał głową i łyknął na staruszkę, która zupełnie nie zważając na nowo przybyłych, wachlowała się ręką i gapiała na ruchliwą ulicę za oknem.

Blondyn podsunął sobie krzesło od sąsiedniego stolika, usiadł i zerknął do kubka chłopaka.

– O, czarna. Mogę?

Sięgnął, nie czekając na zgodę. Stu, mimo że dopiero trzynastoletni, czytał już wszystkie książki Lee Childa – stąd ta kawa – i natychmiast zdał sobie

sprawę, że jest to jego moment, chwila, która określi ich relacje na przyszłość. Albo wyjdzie na mięczaka, który słodzi czarną, albo...

– Nie możesz, kup se – mruknął hardo. – Przyszedłeś tu ubijać interesy czy opijać dzieciaki?

Grubas stojący za plecami blondyna parsknął.

– To ci smarkacz dojechał – stwierdził.

Stu nie potraktował tych słów jako komplementu.

– A ciebie kto tak potraktował? – zapytał i przechylił głowę jak ptak. – Jeszcze kogoś nazywałeś ostatnio smarkaczem?

Tak! O to chodziło! Znaczą chyba... Wiedział, że przegina, wszak oni byli dorośli, a on był nastolatkiem, w dodatku mieli ubić interes, a nie pyskować do siebie nawzajem. Ale miał zrobić wrażenie i zrobił, nie? A nikt przecież nie precyzował, czy ma być dobre, czy złe. Byle niezatarte.

Grubas wahał się przez chwilę, czy odpowiedzieć, w końcu burknął coś pod nosem, odwrócił się na pięcie i poszedł po kawę. Zostali przy stoliku we trójkę: Stu, blondyn i stara Murzynka.

– Przepraszam panią – powiedział do staruszki blondyn, a w oczach błysnęły mu takie jakby srebrzyste iskierki. – Czy byłyby pani tak cudownie uprzejma i zrobiła nam trosz...

Nie skończył, bo Murzynka przyładowała mu w twarz kantem dłoni.

– To ja, debil – mruknęła zdecydowanie męskim głosem – więc zabieraj się ze swoimi sztuczkami. Zresztą mam z jakiegoś sto lat, wstydzilibyś się, zboczeńcu.

Blondyn potarł obolałe policzki.

– Właściwie – zaczął – to masz dużo więcej i...

Nagle przypomniał sobie o obecności dzieciaka. Odwrócił się do niego, uśmiechnął przeproszająco i wyjaśnił:

– Pani jest z nami. Teraz jesteśmy już w zasadzie w komplecie. Co dla nas masz?

Stu przyglądał im się przez chwilę, marszcząc czoło jak ojciec zawsze wtedy, gdy widzi w telewizji jakiś wyjątkowo debilny *talk show* albo kogoś z Partii Herbacianej. W końcu jednak machnął ręką. Jak tam sobie chcą, cholera. Byleby mieli, co mu obiecali. Zapytał o to, a blondyn sięgnął do kieszeni i podał chłopcu *pendrive'a*. Stu sprawdził; zaraz poczuł przypływ gorąca i przyjemne mrowienie w dole brzucha. Dwie sesje zdjęciowe i trzy filmiki, jak się umawiali. Rany, skąd oni je mieli?!

W tym czasie wrócił z kawą ten gruby. Zdziwił się na widok staruszki wciąż okupującej kanapę. Blondyn podchwycił spojrzenie.

– Loki – wyjaśnił.

– Aha. – Grubas wzruszył zdrowym ramieniem, z miejsca całkowicie tracąc zainteresowanie potężną Murzynką.

Również przysunął sobie krzesło i usiadł.

– To co mamy? – spytał.

– Młody właśnie miał zacząć pokaz – wyjaśnił blondyn.

Uczynnie podsunął starej Murzynce kubeczek z wykałaczkami, bo wyraźnie nie mogła sięgnąć.

– No dajesz, małolat.

Stu ustawił komputer tak, by wszyscy mogli widzieć ekran, i odchrząknął.

– No więc tak pokrótce, bo wszystko mam i tak na nośniku – powiedział. – Zebrałem wam dane z ostatnich dni, nieco ponad tydzień. Wszystkie warte uwagi wzmianki o wyczynach Marcusa Lestera od momentu, gdy wypadł z okna w hotelu, do dziś rana. Trochę tego jest, a większość materiałów wideo wygląda jak promocyjne materiały celujące w viral...

Intuicja kazała mu spojrzeć po twarzach swych rozmówców, a zaraz potem dodać:

– Akcja viralowa to taka, która sama się nakręca, bo jest fajna. Ludzie zarażają się nią nawzajem, puszczają sobie dalej i auuu! Se pani nie pozwala! Co to za pstrykanie w ucho?!

Wykałaczka przewędrowała z jednego kącika wielkich, napęczniałych warg do drugiego.

– Dostaniesz znowu, jeśli nie skupisz się na sednie sprawy – wyjaśniła Murzynka. – Czas ucieka. Co jest na tych filmikach?

– Takie totalnie filmowe akcje, ale z udziałem na maksa zaskoczonych ludzi albo naprawdę doskonałych aktorów udających przypadkowych widzów. O tutaj – włączył pierwszy filmik – Marcus Lester ratuje rodzinę meksykańskich nielegalnych emigrantów. Akcje jakby Sergio Leone naoglądał się *Matrixa*. Serio, niezłe gównno... auu! A teraz za co?!

– Wyrażaj się, młody człowieku.

Stu spojrział na Murzynkę spode łba, ale wtedy przypomniał sobie o pendriwie, który spoczywał już w jego kieszeni, ale z którym na pewno nie pozwolą mu wyjść, jeśli nie da im, czego chcą. Dlatego profesjonalnie przełknął dumę i wrócił do omawiania materiału.

– Na tym filmiku też Teksas. Marcus Lester ratuje garstkę studentów przed rodziną kanibali. Tu już Nowy Jork, nagranie z sądu. Lester jako przysięgły prosi o głos i wzrusza wszystkich do łez swoją przemową. Wyrok

uniewinniający. Podobno Lester wyłapał na posiedzeniu ławy wszystkie nieściskości przewodu procesowego. Co zabawne, tego, że to Lester, ludzie domyślili się, dopiero gdy już zniknął. Zmylił wszystkich... okularami i wąsami. Tu Detroit i Lester w raperskim pojedynku, tu pomagający policji w jakimś pościgu. Wszystko kręcone rzekomo przez przypadkowych widzów, bez śladu cięć montażowych. Autentyczne, na ile eksperci Anonymous mogą to ocenić. A wiercie mi, cały DarkNet to teraz analizuje.

Zawahał się, ale uznał, że nie chce kolejny raz zarobić w ucho. Będą chcieli się dowiedzieć, czym jest DarkNet, to sobie wyuglają.

– Tu Lester uwalnia orkę, tu ratuje uciekinierów z Kuby przed rekinami, a tu...

– Wystarczy – przerwał mu Blondyn. – Rozumiem, że w ciągu tygodnia Marcus Lester jest dosłownie wszędzie. Pytanie tylko po co?

Stara Murzynka poskubała się po płaskim nosie.

– Pogadamy o tym później. A co o tym myślą ludzie w sieci? W telewizji? To też masz?

Stu pokiwał głową i upił słodkiej smoły. Przynajmniej trochę już wystygła i można było zamoczyć usta, nie parząc warg.

– Większość myśli, że to jakaś porąbana kampania nowego sezonu, a *dementi* studia traktują jako zwykłą marketingową ściemę. Są jednak sami świadkowie wydarzeń i oni twierdzą, że to się działo na żywo. Ci Kubańczycy na przykład naprawdę wierzą, że uratował im życie. Macie to gdzieś tutaj. Jeden z nich powiedział: *Vamos a rezar a ti*. To znaczy, że będą się za niego modlić.

– Nieprawda.

Stara Murzynka wstała, poprawiła fałdy spódnicy i wyciągnęła rękę w stronę Stu.

– *Pendrive*. Ten dla nas.

Chłopak podał go jej posłusznie.

– Proszę bardzo. Ale co nieprawda? Bo jak trzeba, to ja mogę to zaraz znaleźć i...

– Wierzę, że ktoś powiedział właśnie te słowa – Murzynka wypluła wykałaczkę na rękę i wrzuciła do niemal pełnego porcelanowego kubka. – Po prostu one znaczą coś innego.

– Co takiego? – zapytał milczący dotąd grubas.

– Że będą się modlić, ale nie za, tylko do niego. Dobra, chłopaki, chodźmy stąd. Czasu jest mniej, niż myślałem.



To nie był tak naprawdę wybór, ale z dwóch dostępnych, fatalnych w gruncie rzeczy opcji zstąpienie na Ziemię wydawało się bezpieczniejsze. Kto wie, może jeśli wystarczająco długo będzie odwlekał konfrontację z archaniołami, zdarzy się coś, co pozwoli mu przykryć czynem nieopatrznie rzucone słowa? Zawsze trzeba mieć nadzieję, a jeśli ceną za to będzie minimalny kontakt z ludźmi, to Selar był skłonny ją zapłacić.

Jako formę płatności wybrał jednak raty, z czego pierwsza naprawdę minimalna. Zstąpił na Ziemię, przybrał widoczną postać i wynajął na kilka nocy pokój w przydrożnym motelu.

Recepcjonista – obciążony bladą skórą i porośnięty siwą szczeciną szkielet w niegdyś białym podkoszulku – nawet nie poprosił o dokument, zanim wydał kartę-klucz, ale anioł i tak, dla niepoznaki, wziął ze stoliczka ulotki pizzerii i skserowaną rozpiskę kanałów.

– Taka sama jest w pokoju – powiedział recepcjonista, a w jego głosie pobrzmiwał wyrzut, jakby szkoda mu było tej jednej, krzywej kserówki. – Podobnie jak hasło do sieci.

Anioł pokiwał głową, wcisnął ulotki do kieszeni i wyszedł na podwórze. Wdrapał się po schodach na pierwsze piętro, przeszedł galerią – pomyślał „loggia”, ale skojarzyło mu się z dawnymi czasami, a tu nic przecież nie było jak „dawne czasy” – i zatrzymał przy właściwym numerze. Wsunął kartę do czytnika, otworzył drzwi i stanął w progu.

Uderzył go zapach ludzi, którzy byli tu niedawno, a może po prostu kiedyś. Woń grzechu, nabrzmiałych pragnień, spoconych wyrzutów sumienia spryskanych aerozolem zwierzęcego pożądania. W drugiej kolejności wyczuł smutek, zgorzknienie, samotność, wreszcie beznadzieję, ostatni dech, metaliczność krwi...

– Obrzydliwi – mruknął Selar.

Wachlując się trzymaną w ręku kartą, wszedł jednak do środka. Zamknął drzwi, zasunął żaluzje i uwolniwszy swe cztery skrzydła, owinął się nimi, by w kokonie z piór zalec na łóżku.

Głową uderzył o coś twardego i podłużnego. W jednej chwili czarny prostokąt telewizora zawieszony na ścianie naprzeciw rozbłysnął, by zaraz porazić go feerią barw. Selar uznał, że może to i dobrze, pozory są ważne, gdy

się ukrywasz. A co można robić w motelu, jeśli jesteś sam, nie śpisz i nie zamierzasz się zabić? Telewizja wydawała się w porządku.

Akurat leciał jakiś serial. W przeciwieństwie do większości aniołów tak zwanego wyższego szczebla Selar wiedział, co to, bo swego czasu bywał całkiem często na Ziemi, pośród ludzi. Umiał oddzielić rzeczywistość od filmowej fikcji i odróżnić film od serialu. Był nawet czas, choć dziś pewnie by się do tego nie przyznał, kiedy miał swój ulubiony telewizyjny *show*.

Tego, który akurat się włączył, anioł nie znał, ale pierwszych kilka ujęć skłoniło go, by oglądać dalej.

Po pierwszej przerwie reklamowej oglądał już na siedząco, rozszerzając oczy ze zdumienia. W jego głowie coraz mocniej kołatała się myśl, że owo przekonanie, jakoby bez trudu rozróżniał fikcję od rzeczywistości, było jednak na wyrost. Bo choć postać na ekranie fizycznie nie przypominała Lokiego, a skrzydlaci – prawdziwych aniołów, to jednak bez wątpienia Selar oglądał właśnie epizod z życia Kłamcy.



Dobłą godzinę zajęło, zanim dotarli do bezpiecznej kryjówki. Przez ten cały czas nad głowami Erosa i Bachusa kłębiły się i skrzyły wiązkami wyładowań gęste, bure chmury pytań. Część z nich nie miała nadawcy, większość jednak czekała tylko na moment, kiedy zostaną zadane Kłamcy. I choć wszystkie były ważne, jedno zdecydowanie nurtowało ich bardziej niż pozostałe. W końcu to ono wyrwało się na zewnątrz, gdy jeszcze byli w windzie.

– Czemu stara Murzynka? – zapytał Eros.

Kłamca wzruszył wyschniętymi ramionami barwy mlecznej czekolady.

– Nie chciało mi się przebierać po pracy – odparł, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

Bogu Miłości to jednak nie wystarczyło.

– Jaka praca wymagała od ciebie przemiany w starą, pomarszczoną Murzynkę?

Kłamca musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć Erosowi w oczy, ale nie speszyło go to ani odrobinę. Włożył do ust świeżą wykałaczkę, językiem umiejscowił ją w kąciku ust, po czym odparł tonem kończącym dyskusję:

– Moja.

Wysiedli, a potem dłuższą chwilę stali pod drzwiami, gdy Loki szukał

kluczy w swej wielkiej torebce. W końcu znalazł, otworzył i wpuścił towarzyszy do środka. Sam udał się do łazienki, z której wyszedł po dwóch minutach już w swojej normalnej postaci.

– Mnie też możesz nalać – powiedział do Bachusa, który szukał właśnie czystego szkła, by dać upust swoim boskim talentom.

– Białe, czerwone?

– Dobrze.

Kłamca usiadł na skórzanej kanapie i przez moment gapił się na panoramę za oknem. To, że stanowił ją odrapany blok naprzeciwko, zdawał mu się zupełnie nie przeszkadzać.

Eros usiadł po jego prawej i wyczekująco pochylił się do przodu.

– No dobra, co wiemy? – zapytał.

– A wiemy coś? – Kłamca nawet na niego nie spojrzał.

– Dalej, Loki, sam mówiłeś, że czasu jest coraz mniej. Tym bardziej bez sensu jest marnowanie go na zagadki i gierki, no nie, Bachusie?

Grubas mruknął coś niezrozumiale, a potem rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i niemal równocześnie paskudne przekleństwo.

Loki odwrócił się w jego stronę.

– Czy ty w ogóle potrafisz jeszcze zrobić coś dobrze?

– Trudno tak jedną ręką – odparł niemal płacząco Bachus.

Kłamca wahał się przez chwilę, czy to skomentować, ale w końcu odpuścił.

– Te wszystkie filmiki – powiedział zamiast tego. – Wiecie, co one oznaczają?

– Wiem, co pewnie powiesz – odparł Eros, rozsiadając się wygodnie. – Że to zdobywanie nowych wiernych.

– To właśnie chciałem powiedzieć – zgodził się Kłamca.

Wziął od Bachusa szklanekę po nutelli wypełnioną czerwonym płynem i patrzył na nią przez chwilę.

– Nie było więcej kieliszków – wyjaśnił Bóg Wina. – Ale wino dobre. Nie jakiś tam sikacz, tylko...

– Przecież to idiotyczne! – Eros nie dał mu dokończyć. – Filmik w internecie nie da mu prawdziwych wiernych. Ludzie nie wierzą w to, co widzą na YouTube.

– Ale i tak oglądają, prawda? Podobnie jak filmy, seriale. – Kłamca upił łyk wina i skinął Bachusowi z uznaniem. – Zresztą ludzie mogą uwierzyć we wszystko, już to chyba udowodniliśmy, na przykład w Tokio.

– Tam działało to w drugą stronę, tę właściwą, racjonalizującą – nie dawał za

wygraną Eros. – Naprawdę sądzisz, że mając do wyboru uznać, że te filmiki to błaga albo prawda, ludzie uznają, że...

– Ci, którzy byli na miejscu, część z nich, uwierzą. Reszta nie musi.

Bogowie popatrzyli po sobie, przerzucając między sobą następne pytanie niczym gorącego kartofla. Przegrał Bachus.

– Jak to nie musi? – zapytał. – Przecież bez wiary nie ma boga.

Kłamca wstał. Przeszedł się przez pokój tam i z powrotem. Kopnął nogą koronkowy stanik, ten sam, który miał na sobie wczoraj, gdy robili zdjęcia dla małolata. Upił kolejny łyk wina i odwrócił się w stronę stołu.

– On jest inny – powiedział. – Jest bogiem, widać to po jego mocach, ale też obowiązują go nieco inne zasady niż całą resztę. Bo jest też tworem popkultury. Ona nie potrzebuje wiary, tylko...

– ...zawieszenia jej przeciwieństwa – domyślił się Eros.

– Właśnie! Gdy oglądasz film, nie musisz wierzyć w Jamesa Bonda. Wystarczy ci, że na chwilę założysz, że na potrzeby rozrywki on jest i robi swoje. A potem te wszystkie przedmioty, które łączą światy twój i jego, są jak...

– Gadżety! – zawołał Bachus, zazdroszcząc Erosowi lotności myśli.

Oczywiście zazdrościł słusznie, bo sam nie miał jej za grosz. Mówiła to wyraźnie zdeglustowana mina Kłamcy.

– ...relikwie – dokończył Loki po chwili pauzy. – Ilekroć patrzysz na astona martina, pijesz martini wstrząśnięte niemieszane czy widzisz na wystawie zegarek Omega, wspominasz postać, która żyje tylko dlatego, że kiedyś tam zawiesiłeś niewiarę. Oczywiście tłumaczysz sobie, że to dla zabawy, że tak naprawdę w to nie wierzysz, ale to tak nie działa. Fikcja splotła się już z rzeczywistością. Teraz wystarczy ją tylko wzmocnić prawdziwą wiarą garstki i *voilà!* Nowy bóg się rodzi!

Przez moment trwali w milczeniu, przerażeni perspektywą czekającej ich walki.

Atmosfera gęstniała z każdą kolejną wizją, każdym wariantem i opcją tego, jak to wszystko może się teraz potoczyć. Chwilę potem można było odnieść wrażenie, że chmury ich myśli zsynchronizowały się z zachodzącym Słońcem, bo nagle pokój zalał całkowity mrok.

Ale wtedy Bachus czknął dwa razy i włączył światło.

– Dobra, panowie – stwierdził bełkotliwie. – Chujowo jest i to już wiemy. Pytanie na ten moment to chyba: co teraz?

– Teraz czas na puzzle – stwierdził Loki, wyciągając z kieszeni *pendrive'a* od Stu i rozglądając się za komputerem. – Oglądamy, co mamy, i patrzymy,



czego brakuje.

– To znaczy?

– Filmowe sceny – Kłamca wzruszył ramionami. – Klisze. Popkultura to też pułapka, więzienie z klisz. Musimy się więc zorientować, które motywy już zrealizował, a których jeszcze nie. To nam pomoże założyć, gdzie pojawi się niebawem, by jeszcze trochę podładować silniki.

Eros podrapał się po nosie.

– A jeśli go nie znajdziemy? – zapytał.

Kłamca nie wahał się ani chwili z odpowiedzią na to pytanie.

– Jeżeli nie, to w końcu naładuje się na tyle, by zacząć szukać nas. Ale wtedy chyba nie chcielibyśmy go już spotkać.



*Crane stał oparty o barierkę. Nie próbując nawet kryć zblazowania...*

– Ej, wcale nie – mruknął Crane z wyrzutem, ale głos w jego głowie niewiele sobie z tego zrobił.

*...nie próbując nawet kryć zblazowania, wpatrywał się w chudego jegomościa o rozwichrzonej fryzurze. Facet miał na sobie sztruksową marynarkę – z obowiązkowymi skórzanymi łatami na łokciach – na nosie powyginane lenonki, a wokół szyi zawinięty gruby szalik z kolorowej wełny, który sięgał swobodnym końcem niemal do biodra.*

*Pod pachą miał ów jegomość gazetę, świeżutkie wydanie „New York Timesa”, w którą zawinął trzy róże – białą, niebieską i czerwoną. Spoconą dłoń drugiej ręki zaciskał mocno w pięść, dlatego nie dało się dojrzeć, co w niej trzymał. Crane jednak wiedział, że to monety do lunety. Nie umawiasz się z europejską miłością swojego życia na szczycie Empire State Building, nie mając drobnych na lunetę, bo co jej wtedy pokażesz?*

*Poprzednia grupa turystów zjechała już chwilę temu, więc teraz tylko czekać, aż drzwi windy się otworzą i zjawi się ona, petit Francuzeczka w bereciku z antenką, wyglądająca swojego nieśmiałego Amerykanina, który skradł jej serce komentarzami na jej florystyczno-kulinarno-lifestyle’owym blogu.*

– Musisz być złośliwy? – zapytał Crane...

*...i zaraz odpowiedział sobie, że musi, bo przecież rozumiał, że owszem, popkultura, że klisze, ale czy naprawdę trzeba się zniżać do tych najbardziej wytartych, ławo-słodkich pierdów? Spotkanie kochanków na Empire State*

*Building? Co w tym widowiskowego? Jak to pomaga w realizacji jego wybitnego planu? Klisza dla samej kliszy? Romans dla romansu?*

Crane ziewnął.

– To mój plan, ty masz go tylko opowiedzieć, przedstawić światu, a nie komentować w taki sposób – stwierdził wyjątkowo niegrzecznie i złośliwie, ewidentnie próbując uniknąć odpowiedzi na ważną przecież, dopiero co poruszoną kwestię: *czy tak się teraz będzie bawić? Czy przeniesie do realnego życia każdą jedną kliszę tylko dlatego, że może i że...*

– Oj, zamknij się! – warknął coraz bardziej zniecierpliwiony Crane.

Tak się złożyło, że trafił tym akurat w ucho przechodzącej obok wąsatej Włoszki pokrzykującej na swoją liczną rodzinę. Zmieniło to tyle, że kobieta przestała krzyczeć na rodzinę, a zaczęła na niego, bombardując go drobinkami śliny i wymachując przed nosem rękami. Crane usiłował ją przeprosić, wyjaśnić, że to nieporozumienie, ale nie dawała mu dojść do słowa. Westchnął więc tylko i postanowił poczekać, aż skończy.

W tym czasie wjechała winda i kolejna grupa wlała się na taras widokowy. Gość z szalikiem wyprostował się jak struna, próbował pięścią najpierw poprawić okulary zsuwające się na czubek nosa, a potem przeczesać zmierzwione włosy. Ani jedno ani drugie nie udało się specjalnie, ale przynajmniej nie upuścił monet.

*I wtedy właśnie, gdy rozstąpiło się morze turystycznego motłochu, gdy multinarodowe, wielojęzyczne fale zrobiły szpaler dla prawdziwej miłości...*

– Ej, ja cię ciągle słyszę! – mruknął Crane, ale tak cicho, by już bardziej nie prowokować włoskiej matrony.

*...z windy wyłoniła się ona. Dostrzegł ją. Ona dostrzegła jego. Oboje się dostrzegli i było to... Ach, było to...*

– Co, słów ci nagle brakło?

*Crane nie krył złośliwej satysfakcji, ale wypowiedź, jakiej sam sobie udzielił, starła mu z twarzy ten wredny uśmieszek. Otóż próbuję tylko znaleźć odpowiednio słabą metaforę. Crane, przecież ta klisza nudzi już nawet Meg Ryan!*

– No dobra, niech ci będzie – mruknął Crane, ocierając twarz z kropelek śliny.

Włoszka skończyła swoją tyradę i odwróciła się na pięcie, więc nareszcie ten zabieg miał jakiś sens.

– To co proponujesz? Bo ja właśnie zamierzałem do nich podejść, oboje mnie znają jako dobrego ducha tego związku...

*Pfff, związku, zadrwił w myślach sam z siebie.*

– No dobrze, tej relacji. Teraz, gdy zobaczą, że udało mi się do tego doprowadzić, gdy uda mi się powiedzieć kilka słów budującej, wzruszającej przemowy o przeciwnościach losu...

*Przerwał.*

– Wcale nie!

*Przerwał! I zastanowił się przez moment, co powinien zrobić mądry bóg takiej dziedziny jak popkultura, demokratycznej do szczytu, właściwie stworzonej, by oddać głos ludowi, odbiorcom w tym i innych światach. Czy jako bóg nie powinien wyrwać się z oków rzeczywistości i wejść na poziom wyżej? Czy nie powinien rozbijać ścian z nadzieją, że oto ktoś za nimi będzie? Ktoś, kto się przygląda, kto uczyni go jeszcze bardziej boskim?*

– Chyba nie rozumiem – powiedział Crane, ale myśl w jego głowie już kiełkowała. Już wyobrażał sobie, że przecież mógłby, jeśli by tylko chciał, stworzyć teraz wybór i oddać go istotom, o których istnieniu nie ma pojęcia, bo może wcale ich nie ma, ale jeśli są, jeśli istnieje owo tajemnicze Audytorium, to czytają tę – jakże fantastycznie wyważoną, jakże cudnie ubraną w słowa! – narrację jego życia i tylko czekają chwili, gdy będą mogli podjąć decyzję. Ot, chociażby spójrz tam. Widzisz ten samolot? Ten tam w oddali? To teraz wyobraź sobie, że oddajesz swój boski wybór i rzucamy w międzywymiarową przestrzeń takie oto wyzwanie:

**Jeżeli chcesz, o tajemniczy przyszły członku Audytorium z tej czy innej rzeczywistości, by Crane wygłosił swój łzawy monolog, a potem byśmy wszyscy byli świadkami nudnej, trwającej w nieskończoność sceny pocałunku, która będzie dla nas wszystkich niczym kadr filmu na stopklatce, filmu, który oglądamy wszyscy, ale to gospodarz ma pilota i właśnie zachciało mu się siku, więc wychodzi, a my mamy przymusową pauzę... No więc jeśli tego właśnie chcesz, o istoto, to przenieśmy się właśnie tam, na [stronę 91](#) naszej opowieści, by zobaczyć, czy to wszystko będzie aż tak nudne, jak zakładam ja, narracja wszechwiedząca.**

**Z drugiej strony, jeżeli ciekawi cię, jak poradziliby sobie wszyscy ci ludzie, gdyby właśnie w tym momencie, na chwilę przed pocałunkiem, powtórzyły się wypadki z pewnego tragicznego wrześniowego dnia, przenieśmy się tam, do tego właśnie momentu ukrytego teraz na [231 stronie](#) naszej historii.**

**To jak? Jesteś tam i podejmiesz wyzwanie Crane'a?**



*No dobra, niech będzie, pomyślał Crane, choć w głębi ducha trochę żałował podjętej tak pochopnie decyzji. Swojej, bo przecież żadne sensowne, inteligentne Audytorium nie dokonałoby takiego wyboru. Był jednak uparty, uparty jak osioł i zmiana zdania przychodziła mu z największym trudem.*

*– Wcale nie.*

*A najgorsze było oczywiście to, że nie umiał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. No ale trudno. Skoro tak zdecydował bóg, któż mógłby się z nim kłócić?*

*Crane westchnął i odwrócił się, by spojrzeć na parę. Pierwsze spotkanie mieli już za sobą. Już się przywitali, on dał jej kwiaty, coś sobie powiedzieli...*

*...ale sęk w tym, że chyba niewłaściwe słowa, bo ani mina jej, ani jego nie wskazywały na to, że zaraz dojdzie do pocałunku. A przecież bez niego to wszystko nie miało najmniejszego sensu. Nie było kliszą, nie dawało nadziei prostemu ludowi, nie dostarczało mu wzruszeń. Czyli para w gwizdek.*

*Dlatego właśnie Crane odbił się od barierki i przepychając między ludźmi, podszedł do pary. W ciągu tych kilku krótkich chwil zdążyli już przejść od jednego niewłaściwego słowa do kolejnych, nieporozumienia eskalowały i czuło się w tym zapaskudzonym spalinami, nieco rozrzedzonym na tej wysokości nowojorskim powietrzu, że zaraz wybuchnie awantura. Taka, która wszystko pogrzebie. Taka, która powinna się pojawić w połowie filmu, ale pod jego koniec na pewno nie, bo nikt się już z niej nie wygrzebie. Gościa w szaliku i dziewczynę w berecie dzieliły już od niej tylko zdania, słowa, wreszcie...*

*– Colette? Robert? Wy się znacie! – bardziej stwierdził niż zapytał Crane, który nagle wyrósł pomiędzy nimi zupełnie znikąd.*

*Spojrzeli na niego jednocześnie, w zdumieniu zapominając na chwilę o gniewie.*

*– Jacques? – zapytała ona.*

*– Jimmy? – w tym samym momencie zapytał on.*

*Crane roześmiał się, jakby usłyszał właśnie najzabawniejszy dowcip świata.*

*– Tak i tak – powiedział. – Choć właściwie to nie i nie, ponieważ nie nazywam się ani Jacques, ani Jimmy. Mam na imię Dezyderiusz, Dezyderiusz Crane, i chcę wam powiedzieć, że jesteście sobie przeznaczeni.*

*Przez chwilę wpatrywali się w niego w milczeniu i było tak, jakby stali na*

tym tarasie tylko we trójkę, a nie z masą innych osób, pokrzykujących, przepychających się to w jedną, to w drugą stronę, śmierzących każdy po swojemu i odliczających mokre od potu drobne.

W końcu Robert wsypał zawartość pięści do kieszeni spodni, poprawił okulary na nosie i odchrząknął.

– Crane? Jak ten gość z serialu? – zapytał i zaraz zmarszczył czoło. – W sumie to nawet wyglądasz trochę jak on. Gdyby się przyjrzeć...

– A przyglądaj się do woli. – Crane klepnął go po przyjacielsku w ramię. – Ale później. Bo na razie nie na mnie powinienes patrzeć, a w te przepiękne oczy. Te dwa zwierciadła znad Loary, które wchłonęły w siebie dość światła z dzieł genialnych impresjonistów, by teraz mienić się blaskiem w nich uwięzionym.

Odsunął się lekko i uniósł na paręnaście centymetrów w górę, wznosząc rękę w prawdziwie teatralnym geście.

– Ludzie, posłuchajcie mnie! – zawołał...

*...a że dość łatwo zwrócić na siebie uwagę tłumu, gdy opanowało się sztukę z lewitowaniem, cała ta multikulturowa gawiedź z nowojorskiej wieży Babel umilkła – no, prawie cała, potrzeba jednak dużo więcej do uciszenia Włochów – by wysłuchać, co ma do powiedzenia facet do złudzenia przypominający aktora z telewizji.*

*A może to rzeczywiście jest telewizja?, myśleli. Może właśnie występują w jakimś filmie, a ten gość owinięty szalikiem to tak naprawdę odchudzony do roli Tom Hanks? Przecież wiadomo, że potrafił się odchudzać, pokazał to już w tym filmie o pedziach z Philly, a poza tym dzisiejsza charakteryzacja... A kto tam jest z nim? Ten berecik, krótkie włoski... Czyżby Natalie Portman? Jezu, ale czad, kręcą dwójkę Leona Zawodowca! Z Hanksem! I my tu jesteśmy!!! Jak to cudownie, jak to fantastycznie, że nasze marne, bezsensowne żywoty...*

– Zamknij się wreszcie – warknął lewitujący Crane, a jedyna wciąż mówiąca osoba, włoska matrona, spojrzała na niego wyzywająco.

*Tacy nie boją się Boga, pomyślał Crane. Jednego już ukrzyżowali.*

– Bardzo śmieszne – powiedział Crane...

*...choć przecież pomyślał to śmiertelnie poważnie.*

*Odchrząknął.*

– Znacie to uczucie, które rozlewa się ciepłem po całym ciele. To, które sprawia, że serce zaczyna bić szybciej, w ustach robi się sucho, ale kark perli się potem i wystarczy lekki powiew wiatru, by wprawić was w drzenie. Dziwne uczucie słabości w nogach, łaskotanie w brzuchu i skurcz mięśni twarzy wywołujący permanentny uśmiech. Znacie je. Nazywacie je innymi słowami,

każdy w swoim języku, ale to to samo uczucie.

Przerwał, zaczerpnął tchu i zdryfował paręnaście centymetrów w stronę siatki zamontowanej nad barierką niczym balonik niesiony wiatrem. Wzbił się jeszcze wyżej i stopą zahaczył o lunetę. Wyglądało to, jakby na niej stał. Albo jakby tylko ona powstrzymywała go przed wzleceniem w górę, pod samo niebo.

– Tych dwoje – wskazał na Colette i Roberta – pokochało się, zanim zdążyli się w sobie zakochać. A gdy mówię „pokochali”, mam na myśli to, że bez nawet jednego prawdziwego spotkania zdołali się polubić, zaufać sobie, zaprzyjaźnić się, aż wreszcie uznać, że może i potrafią wyobrazić sobie świat bez siebie nawzajem, ale nie chcą tego robić. Mógłbym długo opowiadać wam o przeciwnościach losu, jakie napotkała ta para, by się tu znaleźć. Dość powiedzieć, że Robert jechał tu aż czterdziestoma środkami transportu, po tym jak skradziono mu samochód, a pieniądze na wjazd tutaj ofiarowali mu ludzie w kolejce, gdy zaczął dla nich wykonywać piosenki Sinatry, których nie śpiewał od tragicznej śmierci ojca. Swoją drogą, masz świetny głos, Robercie.

Chudy okularnik spieszył się nieco i kolejny raz poprawił nerwowo okulary. Crane mrugnął do niego, po czym przeniósł wzrok na dziewczynę.

– A Colette? Trauma po poprzednim, wyjątkowo nieudanym związku, która powróciła nagle, zakrywając całunem ten maleńki promyczek nadziei odkryty w komentarzach Roberta do jej wpisów. Do tego kłopoty w pracy, fałszywa przyjaciółka i szef czyniący jej niewybredne awanse. Jakby tego było mało, biedaczka boi się latać samolotami, więc przyplłynęła tu statkiem, który nieomal nie został zawrócony, bo zabrał na pokład kubańskich uchodźców!

*Crane przerwał, gdyż był to dobry moment, by umysły gapiów sięgnęły po łopaty i przyklepały tę otrzymaną właśnie warstwę nawozu pod ziarno puenty. I ludzie rzeczywiście zachowywali się, jakby wierzyli w każde usłyszane słowo. A zażenowane, uciekające na boki spojrzenia komentowanej tak szczegółowo pary zdawały się ową historyjkę potwierdzać. Teraz, dawaj, pomyślał Crane. Już!*

– Tyle przeciwności... – powiedział wreszcie Crane, odbijając się od lunety i powoli dryfując w stronę Roberta i Colette. A gdy sunął ku nim, powoli opadał tak, by znalazłszy się między nimi, stać już na posadzce. – A jednak jesteście tu i chwilę temu czuliście to wszystko, o czym wspomniałem na początku. Symptomy zakochania, będącego zawsze loterią. Losem, który może oznaczać miłość albo przynieść puste rozczarowanie. Ale wy już mieliście tę miłość, a teraz, zakochując się w sobie, tylko ją potwierdziliście. Więc daję wam słowo. Ja, Dezyderiusz Crane! Daję wam uroczyście słowo honoru, że jeśli spieprzycie to teraz jakimś głupim nieporozumieniem, to polecicie na dół jedno po drugim i

żadna siatka mnie nie powstrzyma! No już, pocałować mi się tutaj!

*Kątem oka dostrzegł dzieciaka, który nagrywał całe to wydarzenie swoim iPhone'em. Mrugnął do niego, a chłopiec się uśmiechnął. Pewnie pomyślał o liczbie dzisiejszych wejść na jego kanał na YouTube.*

*Crane zdjął ręce z ramion zakochanych i odsunął się o krok, a potem powiedział sam do siebie...*

*– Chcesz zobaczyć sztuczkę?*

*Tak właśnie! I oczywiście chciał. Zamknął więc oczy i spojrzał za kulisy świata, spojrzał nie tylko zza drugiej strony kamery, ale wręcz z jej wnętrza.*

*Świat zwolnił, gdy klatki zaczęły przeskakiwać coraz wolniej i wolniej, by wreszcie zwizualizować się gdzieś przed czyimiś oczami w tym jednym, najważniejszym kadrze.*









Podzielili się zadaniami po równo i tym razem nie było mowy, by Kłamca wykorzystywał swoją pozycję. Z wykałaczką w zębach, wierząc Kłamczuchowi dziurę w brzuchu kciukiem, przechadzał się od jednego komputera do drugiego, od Bachusa do Erosa, i co chwila odnotowywał coś na ścianie służącej im za tablicę.

Niestety nie mogli specjalnie liczyć na niczyją pomoc. Stu Redman i jego koledzy nie byli zainteresowani kolejnymi filmikami czy zdjęciami, bo – jak powiedział mały haker – nie zdążyli się nacieszyć tym, co mają, a pazerność to grzech głupców. Aniołów z przyczyn dość oczywistych mieszać w to nie mogli, a zresztą nawet gdyby chcieli, to skrzydlaci, jeżeli tylko nie byli Stróżami, średnio się znali na popkulturze. Z kolei Stróże oczywiście byli zajęci jak szlag, bo który by się przyznał, że nie. Zostali więc tylko oni i Jenny, która miała dołączyć do nich później, ale pewnie nie dołączy, bo jest obrażona.

Zadanie zaliczało się do prostych, acz niełatwych. Chodziło o to, by znaleźć w pamięci – swojej czy internetu – jak najwięcej głośnych, znanych, a wciąż jeszcze niewykorzystanych przez Crane'a motywów filmowych, a jednocześnie wyszukać najciekawsze wydarzenia w nadchodzących dniach niosące potencjał pod kolejny viral. Jeżeli wtedy połączą jedno z drugim, jest cień szansy, że uda im się znaleźć wydarzenie, które stanie się następnym celem szalonego neoboga. A w nowej, odkształcającej się rzeczywistości cień musiał im wystarczyć.

– Może coś z kina wojennego? – zaproponował Eros, drapiąc się po głowie.  
– Jakaś specjalna akcja w Afganistanie czy gdzieś, wsparcie komandosów, pobicie rekordów snajperskich Kyle'a, uratowanie rebeliantów, założenie rozgłośni radiowej donoszącej żołnierzom, co się dzieje?

Wykałaczką w ustach Lokiego uniosła się, opadła i znowu uniosła, jakby zgadzała się z pomysłem. Sam Kłamca jednak po chwili namysłu pokręcił głową.

– Mimo wszystko nie sądzę. Myślę, że raczej będzie chciał być tu, wśród ludzi – powiedział. – Dla społeczeństwa Afganistan to taka sama fikcja jak Śródziemie, z tą różnicą, że tam Ameryka nie wysyła jeszcze swoich wojsk. A tu fikcja musi się zderzać z czymś, co ludzie znają.

– Mieszkańcy Winston, Arkansas stawili zbrojny opór kosmitom – przeczytał Bachus.

– O, to może być to! – Kłamca przestał maltretować trzymanego w rękę pluszaka i podszedł do stanowiska Boga Wina. – Widzisz, czasem możesz się jeszcze na coś przydać.

Przeczytał na szybko, mamrocząc frazy, które uważał za najważniejsze: „uzbrojeni w strzelby”, „migające światła w krzakach”, „dziwne dźwięki”, „ostrzał”. Eros również podszedł do nich, zaraz jednak prychnął z pogardą.

– Przecież to brukowiec – mruknął.

– No i? – zdziwił się Kłamca. – Ani my, ani Crane nie szukamy prawdy, a jedynie tego, w co ludzie wierzą bądź chcą wierzyć. Ale niech będzie. Bachusie, poszukaj jakiegoś drugiego źródła dla tej rewelacji, co?

Loki wyprostował się, raz jeszcze powtórzył sobie nazwę miasta i podszedł do tablicy, by ją zapisać w odpowiedniej rubryce, a potem oznaczyć na mapce. Ledwie to zrobił, gruby bóg odwołał alarm.

– Według kroniki policyjnej z tym UFO to lipa. Trzech facetów się urżnęło i zobaczyło między drzewami ambulans na sygnale. Zaczęli strzelać, przestrzeli silnik, koguta, ranili sanitariusza i niechcący dobili pacjenta, który miał drugi tego dnia zawał. Przykro mi.

Kłamca sięgnął po gąbkę.

– A może coś muzycznego? – zaproponował znowu Eros.

– Było już.

– Katastroficzne?

– Chyba z pięć.

– O, wiem! Porno żadnego nie widziałem! – zawołał Bóg Miłości, ale wtedy natychmiast Bachus otworzył okienko czatu i przesłał przyjacielowi stosowny link.

– O! – powiedział Eros, otwierając filmik.

– Ooo! – dodał zaraz potem. Ten Crane był naprawdę niezły, nieważne, za co się zabierał.

W końcu Kłamca uznał, że musi się iść przewietrzyć. Nie zatrzymywali go specjalnie, bo z każdą chwilą robił się coraz bardziej nerwowo, a to nie pomagało w poszukiwaniach. Poza tym obaj, Eros i Bachus, ślęczeli nad tą robotą już kawał czasu i też mieli ochotę na chwilę wytchnienia, a wiedzieli, że przy Lokim nawet nie ma co myśleć o przerwie.

Dlatego gdy Kłamca wyszedł, a kroki na schodach ucichły, odprężyli się... na krótki moment, bo zaraz Eros zaklął.

– Co? – zapytał Bachus.

– Zostawił cerbera – Eros wskazał na wpatrującego się w nich pluszaka.

I choć ani jeden, ani drugi nie wiedział, co w tym wypchanym pluszem gnojku naprawdę siedziało, to pewne było jedno – o żadnej przerwie nie mogło być mowy.



Szedł chodnikiem wzdłuż stłoczonych jeden na drugim maleńkich sklepików z całym asortymentem, jakiego potrzebować mogą mieszkańcy uboższych dzielnic, którym za daleko było do chociażby oddalonego o dwie lub trzy mile 7-Eleven: owoce, alkohol, spożywczy miszmasz. Gdzieś tam wcisnął się niewielki salon fryzjerski, gdzieś sklep z używaną elektroniką, a nawet antykwariat, ale to były ledwie odpryski na gładkiej ścianie monotonii tutejszego życia.

Szedł pod prąd leniwego strumyczka ludzi, bliżej sklepowych witryn, by przynajmniej trochę skryć się w cieniu rozwiniętych, wypłowiałych markiz. Idący z przeciwka czy wychodzący ze sklepów uskakiwali przed nim lub zawczasu schodzili mu z drogi. Robili to mimowolnie, wiedzeni jakimś podświadomym impulsem, bo gdy tylko pojmowali, co się właśnie stało, odwracali się i krzyczeli za nim, często klnąc przy tym paskudnie i obrażając jego matkę.

Kłamca nic sobie z tego nie robił. Myślał. Zastanawiał się. Knuł.

Po przeciwnej stronie dwóch gości wytoczyło się właśnie z baru. Zrobili to na tyle barwnie i hałaśliwie, że Loki aż przystanął i spojrzał w tamtą stronę.

Jeden z nich zrzygał się przez momentem na pomalowany na zielono krawężnik, ale od razu chciał wracać do środka i „dojechać tym skurwysynom”. Jego towarzysz bardzo usilnie próbował mu to wybić z głowy. Dokonywał przy tym heroicznych wysiłków, by jednocześnie podnieść sporo od siebie większego kolegę, nie pozwolić mu się wczłgać do środka i jeszcze do tego zamówić im obu taksówkę. Wyglądało to tak cudownie nieporadnie, że Loki postanowił postać tu jeszcze chwilę i się poprzyglądać. Sięgnął do kieszeni po wykałaczki.

– Puśśśsszcz mnie – syczał ten pijany. – Puśśśćć. Pokażę im, gdzie oni wszyssc...

Słowa przeszły w kolejny bełt, który trysnął na buty dzielnego opiekuna. Jak w każdych porządnym wymiocinach, tak i w tych identyfikowalne były tylko kukurydza i marchewka. Zwłaszcza ta druga, co już dawno temu zauważył Kłamca, pojawiała się w rzygach zawsze, niezależnie od tego, co delikwent wcześniej jadł.

Opiekun nie odskoczył, ale uniósł oczy ku niebu, jakby tam szukał pomocy, a gdy opuszczał je z powrotem, dostrzegł stojącego naprzeciw Kłamcę. Uniósł brew.

– Loki? – zapytał głośno. – Czy to ty?

Wykałaczką w ustach Kłamcy poruszyła się, a jego dłoń powędrowała za plecy, do spluwy zamocowanej na pasku i ukrytej pod rozpiętą koszulą.

– A kto pyta?

Opiekun już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale wtedy nagle rzygacz szarpnął się i wyprostował. Z całej siły odepchnąwszy kompana, ruszył w stronę lokalu.

– Załatwię skurwysynów! – powiedział jeszcze i pchnął drzwi, by zniknąć w skąpanym w półmroku wnętrzu.

Opiekun w pierwszej chwili skoczył za nim, ale zawahał się i zerknął w stronę Kłamcy.

– Chcesz trzy pióra? – zapytał.

Loki niespiesznie ruszył przez ulicę.

– Cztery, jak się pospieszysz – powiedział Opiekun.

Loki przyspieszył i po chwili był już po drugiej stronie.

– Z góry – powiedział.

Dopiero teraz przyjrzał się rozmówcy. Krótko przycięte jasne włosy, idealnie prosty, wąski nos na delikatnej, niemal kobiecej twarzy, jasnoblękitne oczy. Tak, nie było wątpliwości, że to anioł i że raczej powinien mieć czym zapłacić. No ale strzeżonego... i tak dalej.

Opiekun bez wahania sięgnął za siebie i po chwili pokazał Kłamcy trzy długie, białe pióra.

– Ten, którego przed chwilą widziałeś, to mój podopieczny Kayle Day – powiedział, gdy Loki wziął od niego pióra i muśnięciem kciuka sprawdził autentyczność. – Jutro on i jego brat, którym również się opiekuję, mają bardzo ważny dzień. Nic z niego nie wyjdzie, jeśli Kayle wyląduje w więzieniu lub szpitalu. A to nieuniknione, jeżeli zostanie tam choć minutę...

Z wnętrza dobiegły ich krzyki, a potem huk, plaśnięcie i dźwięk tłukącego się szkła. Opiekun rzucił się w tamtą stronę, ale Kłamca złapał go za ramię.

– Kto tam jest? Z kim zadarł?

– Grupa SEALsów. Świątowali właśnie powrót ze zmiany i jeden z nich zorientował się, że Kayle to gość, który podkradł mu dziewczynę. To znaczy to nie do końca tak, ale...

– Do rzeczy – przerwał mu Loki. – Jakiś znak szczególny tego gościa?

– Jako jedyny ma tylko wąsy, bez brody.

Kłamca skinął głową, po czym odpiął z paska kaburę z pistoletem i podał ją aniołowi.

– Nie chcesz broni?

– A jak Kayle wylądaje w kostnicy od zbłąkanej kuli, to mogę zachować pióra?

– Nie.

– No właśnie. – Loki pchnął drzwi i wszedł w półmrok.

Lokal w środku wydawał się przestronniejszy. Wzdłuż wyłożonych boazerią ścian ciągnęły się boksy z kanapami obitymi popękana czerwoną skórą, pośrodku stały ze cztery okrągłe stoliki, a za nimi bar z szerokim kontuarem, za którym znajdował się barman i ściana butelek, w większości piwa.

W głębi, po prawej od kontuaru Loki dostrzegł wejście do drugiej sali. Z miejsca, gdzie stał, widać było krawędź stołu bilardowego i oświetlone małym neonem drzwi do toalet.

Ludzi nie było wiele, a większość z nich ze wszystkich sił starała się zniknąć, a to kryjąc się w boksach, a to przywierając do ścian. Powodem tego przestachu był zapewne gość leżący na połamanych resztkach stolika w kałuży krwi i piwa, u stóp kilku kanciastych, napakowanych facetów ubranych w dzinsy i obcisłe oliwkowe koszulki. Było ich pięciu i, tak jak powiedział anioł, tylko jeden miał wąsy.

To właśnie on spojrzął w stronę Kłamcy, ledwie ten wszedł i wyszczerzył się do niego w głupawym uśmiechu.

– Spokojnie, tobie nic nie zrobimy, stary. O ile nie jesteś mudzą.

– Albo pedałem – dodał drugi, gładko ogolony i z centymetrowym, szerokim irokezem na głowie. Po jego obu stronach znajdowały się nic nieznaczące tatuaże.

Loki bez słowa ruszył do baru, swoją pewną postawą dając do zrozumienia, że nie jest żadnym z wymienionych wyjątków. Gdzieś na wysokości drugiego rzędu stolików SEALsi stracili nim zupełnie zainteresowanie, wracając do zniechania się nad właśnie podnoszącym się na czworaka Kayle'em Dayem.

– Co podać? – zapytał barman udający najwyraźniej, że nie widzi, co dzieje się obok.

Ale Loki nie odpowiedział, tylko gdy znalazł się tuż przy barze, skręcił nagle, wsunął ręce pod pachy wąsatego komandosa, szarpnął się do tyłu i zwałił go na siebie. Stęknął i sapnął, gdy potężna góra mięśni wydusiła z niego resztkę powietrza, a potem pchnął na bok, zrzucając żołnierza z siebie, by zaraz

spróbować z całej siły uderzyć go łokciem w nos.

Na to jednak nie starczyło mu przewagi wynikającej z zaskoczenia. Komandos oburącz złapał go za przedramię i szarpnął, jednocześnie przewracając się na bok, tak by przerzucić przez siebie i wepchnąć pod stoliki.

– Ty pieprzony gnoju – warknął. – Nawet nie wiesz, z kim zadarłeś.

– Ale my wiemy – odezwał się nagle ten z irokezem.

Przykucnął przy Wąsaczu i ku jego pełnemu zaskoczeniu wyrznął mu pięścią w twarz tak mocno, że komandosowi zrobiło się ciemno przed oczami. Następny braterski cios, jeszcze silniejszy niż poprzedni, złamał mu nos i pozbawił przytomności.

Loki tymczasem wygrzebał się spod stołu, pocierając obolały łokieć. Zerknął na leżącego na ziemi samego siebie, teraz z rozkwaszoną gębą, spojrzał na swój biceps ozdobiony chwilowo Tridentem, znakiem elitarnych komandosów Marynarki Wojennej USA, i musnął palcami teksaskiego wąsa.

– To chyba nie jest mój dzień – mruknął.

– No, ni chuja, Buffalo – stwierdził brodaty SEALs, najbardziej krągły z całej piątki. – Tak się dać podejść?

– Co z nim? – zapytał ten z irokezem. – I co z tamtym?

Loki wzruszył ramionami, z kubeczka z pobliskiego stołu wziął wykałaczkę, wsunął ją do ust i podszedł do zmaltretowanego siebie, po czym z całej siły kopnął się w genitalia. Sprawilo mu to nieomal fizyczny ból, więc przestał na tym jednym trafieniu. Dopiero wtedy przeniósł wzrok na dyszącego wściekłością Kayle'a.

– A co do tego, to... kurwa, chyba trochę przegiąłem. W sumie jeżeli jest z nim szczęśliwa... Bez urazy stary, co?

Wyciągnął rękę w stronę wciąż klęczącego Kayle'a, ale ten odtrącił podaną dłoń, wstał i otarł usta z lepkich nitek krwi i śliny.

– Pierdol się – powiedział.

Zataczając się, ruszył w stronę wyjścia. Jeden z żołnierzy próbował go powstrzymać, ale Loki pokręcił głową.

– Odsuść mu. Tego se kopnij.

Komandos podrapał się po nosie, aż w końcu westchnął i przyładował nieprzytomnemu kopniaka w żebra.

Loki skrzywił się i zacisnął zęby tak, że przegryzł wykałaczkę.



Wyszedł oknem w toalecie, po czym raz dwa zmienił postać i wrócił na główną ulicę, gdzie odebrał pistolet od stróża.

– Gdzie się teraz podziewa ten twój nieszczęsny przygłup? – zapytał, równocześnie mocując kaburę na pasku.

– Poszedł coś zjeść dwa sklepy dalej. Słuchaj, Kłamco, naprawdę dzięki...

Loki machnął ręką.

– Nie ma problemu, potrzebowałem chwili oderwania od swoich spraw – wyjaśnił. – No i zapłaciłeś. A przy okazji, co to takiego ważnego mają jutro twoi klienci?

Anioł westchnął i uciekł wzrokiem na bok, jakby zaraz miał się przyznać do czegoś wyjątkowo wstydliwego. W końcu jednak wydusił to z siebie cicho, prawie szeptem:

– Biją rekord w najdłuższym skoku samochodem nad przepaścią.



Z rosnącym zdumieniem obejrzał dwa odcinki – wyemitowane jeden po drugim – a potem, gdy już upewnił się, że nie będzie kolejnych, zszedł do recepcji zapytać o najbliższy sklep RTV. Był blisko, ledwie dwie przecznice i przestronny parking dalej znajdował się BestBuy, gdzie, jak zapewnił go recepcjonista, na pewno znajdzie, czego szuka.

– Choć jeśli szuka pan takich filmów, to mamy zniżkę na specjalny program.

Selarowi chwilę zajęło, zanim zrozumiał, co znaczą „takie filmy”. Gdy wreszcie to do niego dotarło, ucieszył się, że nie poszedł na skróty i nie wyczytał tego wprost z głowy mężczyzny. Smrodu brudnych myśli nie sposób zmyć z siebie za pomocą mydła i gąbki.

– Nie interesują mnie ludzkie bezceństwa – odparł z pogardą.

Recepcjonista przyglądał mu się przez chwilę z wielce nieciekawą miną, aż wreszcie ostrożnie i zachowawczo powiedział:

– Takich ze zwierzętami to pan i w BestBuyu nie znajdzie – stwierdził. – Bo wie pan, to nielegalne.

„I chore, pierdolony zbrojeńcu!”, dopowiadały jego oczy; język jednak,



całkowicie na kapitalistycznej smyczy, kazał mężczyźnie szanować klienta, kimkolwiek był.

– W czymś jeszcze mogę pomóc?

Selar pokręcił głową i wyszedł.

Ruszył szerokim chodnikiem składającym się wyłącznie z połamanych płytek, pomiędzy których tu i ówdzie wyzierała zielona fuga mchu. Foliowe torebki tańczyły na wietrze ku uciechu zużytych kondomów i pustych opakowań po czipsach, a małe papierowe stateczki oparte burtą o kratkę ściekową w krawężniku stawiały coraz słabszy opór zielonożółtej cieczy płynącej rynsztokiem.

Przejeżdżająca obok anioła ciężarówka marki Mac nie wiedzieć czemu zatrzymała nagle niczym okręt wchodzący do portu, ktoś wyszedł z pobliskiego Dunkin' Donuts, trzaskając drzwiami. Z podwórka za płotem dobiegły dźwięki jakiejś skocznej piosenki, które po chwili szumów przeszły w muzykę klasyczną.

Selar szedł. Światem dokoła siebie interesował się tylko na tyle, by w porę zareagować, gdyby świat zainteresował się nagle nim. Nie spuścił głowy, szedł wyprostowany, ale unikał kontaktu wzrokowego, nie reagował na nagłe bodźce to z jednej, to z drugiej strony. Stopniowo wprowadzał w życie to wszystko, czego nauczył się o zwyczajnej, niezwracającej na siebie uwagi ludzkiej postawie.

Jednocześnie myślał. Dumał bardzo intensywnie nad tym, co powinien teraz zrobić. Nie miał wątpliwości, że ten serial był znakiem. Selar należał do dość licznej grupy aniołów wierzących głęboko, że Bóg nie zostawił ich ot tak, z garścią niejasnych wskazówek i wiążących skrzydła ograniczeń. Że w swojej mądrości i wielkości, a także wszechwiedzy połączonej z panowaniem nad czasem poutykał tu i tam znaki, symbole i sygnały dla swoich wiernych sług, by w razie czego wesprzeć ich lub wyciągnąć z kłopotów. Selar miał się właśnie za takiego sługę i teraz ewidentnie potrzebował wsparcia.

No więc serial. Oczywiście było, że Kłamca maczał w nim swe brudne paluchy. Od dawna nie pojawił się prawdziwy prorok, a przecież nawet ich nie dopuszczało się do takich tajemnic i szczegółów modelu funkcjonowania świata jak ten ukazany w serialu. Podobnie było z mitologicznymi. Aniołowie, nawet ci najgłupszy, nie odważyliby się na takie złamanie reguł, a archaniołowie sami te zasady o tajemnicy ustanowili. Zostawał więc albo Zły, który gdzieś z pewnością był, czaił się i miał swoich szpiegów wszędzie... albo Kłamca właśnie. Dla Selara Loki równie dobrze mógł być piekielnym agentem, bo i niby

czemu nie?

Tak czy owak nadarzała się wyśmienita okazja, by odegrać się za ostatnią zniewagę, a być może odzyskać też twarz, zanim naprawdę ją straci. Tylko jak powiedzieć to wszystko archaniołom? Jak z podejrzeń, które Kłamca z pewnością jakoś sprytnie odeprze, zrobić porządny akt oskarżenia, którego obalić się nie da?

Anioł wiedział, że przynajmniej częściowa odpowiedź na to pytanie kryła się w pozostałych odcinkach *Boga pośród nas*, dlatego teraz przeciął niemal pusty parking, wyminął dwóch śmierzących, przepitych weteranów i wszedł do klimatyzowanego sklepu.

– Potrzebuję odtwarzacza DVD – powiedział cicho do pierwszego napotkanego sprzedawcy.

W jego założeniu miał to zabrzmieć złowieszczo, ale pracownik sklepu, poczciwy grubasek o prezencji pokolorowanego bałwanka z książeczki dla dzieci, wskazał tylko ręką za siebie.

– Trzecia alejka w prawo. A jakby pan szukał do tego płyt, to dział porno jest czwarty od ściany.

Selar zmarszczył brwi. O co im wszystkim chodziło?!

Po raz kolejny zadał sobie to pytanie, gdy blisko pół godziny później wrócił do motelu z reklamówką, w której widać było wystające pudełko odtwarzacza i odcisnięte prostokąty płyt, a recepcjonista mrugnął do niego znacząco. Wtedy też cherubin Selar postanowił, że jeśli ta sprawa pozwoli mu awansować wystarczająco wysoko, wróci w te okolice i spali to siedlisko plugawych myśli deszczem siarki.



Eros wstał, przeciągnął się i dopił resztkę zimnej herbaty z kubka w kucyki Pony w wersji gangsta. Wykonał kilka ćwiczeń rozciągających, po czym, przejrawszy się w lustrze, starł palcem osad z zębów.

W tym czasie pochylony nad monitorem Bachus nawet nie drgnął. Pulchna ręka – ta zdrowa – dociskała ogromne słuchawki, gałki oczne drgały w rytm zmieniających się na ekranie obrazów. Eros obszedł stolik, by na nie spojrzeć.

– Ty draniu! – zawołał, ściągając grubasowi słuchawki z uszu. – Miałeś zobaczyć tylko scenę ze schodami, a nie oglądać od początku całych *Nietykalnych!*

Bóg Wina skubnął tłusty podbródek, robiąc coś, co Loki nazywał minidupą.

– No co ci poradzę, że mnie ten film rozczuła. Uwielbiam opowieści o prohibicji. I to, jak zabawnie pokazują w nich zawsze biednego Ala.

Eros już miał odpowiedzieć, ale wtedy otworzyły się drzwi i do środka wtoczyli się Loki z aniołem dźwigający wciąż pijanego jak bela Kayle’a Daya.

– To Matareus – Loki przedstawił anioła. – A to jego podopieczny Kayle Day. To są Eros i Bachus. W tych krótkich chwilach przebłysków, gdy im się chce, pomagają mi w pracy.

Anioł skinął głową w odpowiedzi i rozejrzał się po mieszkaniu jak ochroniarz sprawdzający bezpieczeństwo miejsca. Widać przekonały go trochę przechodzone, ale w gruncie rzeczy eleganckie meble, filmowe plakaty w antyramach, zestaw stereo i kawalerski bałagan z obowiązkowym stosikiem pustych pudełek po pizzy, bo skończywszy te pobieżne oględziny, zwrócił się do Lokiego:

– Prowadź.

Zanieśli Kayle’a do sypialni, gdzie zwalili go na ogromne, dwuosobowe łóżko. Gdy anioł zajął się zdejmowaniem butów swemu podopiecznemu, Kłamca wyszedł z pomieszczenia i dyskretnie skinął na Bachusa.

– Za jakąś chwilę zrobisz ten swój trik z wytrzeźwiająką, dobra? – powiedział szeptem. – Ale to zaraz, bo najpierw musimy pogadać ze skrzydlatym, który chyba będzie mógł nam posłużyć pomocą. Wolałbym, żeby nasz kolega nie ocknął się wtedy nagle, rozumiesz?

Bachus oczywiście zrozumiał. Skupiwszy się odrobinę, dokonał cudownej przemiany w żyłach pana Daya, wynikiem czego znikąd pojawił się tam dodatkowy promil alkoholu.

– Wystarczy? – upewnił się Kłamca.

– Kolejne pół promila dołożę tylko po zobaczeniu rosyjskiego lub polskiego paszportu. No, ale Loki...

– Co?

– Nie sypnie?

Loki wsunął do ust wykałaczkę. Uśmiechnął się półgębkiem.

– A byłby tu, gdyby istniał na to choć cień szansy?

Podszedł do łóżka i położył rękę na ramieniu anioła.

– No dobra, Matareusie. Czas to pieniądz. Powiedz chłopakom to, co powiedziałeś mnie.

Po chwili siedzieli już we czterech na zestawie wypoczynkowym w salonie, a anioł stróż przedstawił im całą historię, której finał miał nastąpić jutro.

– Bracia Day to synowie niegdyś znakomitego pilota oblatywacza, który po zobaczeniu okropieństw wojny osiadł na granicy kanadyjskiej i zaciągnął się do straży pożarnej. Zginął podczas pełnienia obowiązków w powietrzu. Gasił pożar nad lasem, nastąpiła awaria silnika, samolot runął na drzewa. Dokonał wtedy czegoś naprawdę niezwykłego, ale niestety pomiędzy drzewami w części lasu, który gasił tak gorliwie, że jako jedyny odważył się tam polecieć, znajdowały się cztery magazyny przemytników. Oczywiście uznano, że tylko bronił interesu, w którym był umoczone. Matka chłopców nie wytrzymała presji, powiesiła się, a nimi dwoma, Kayle'em i Rickiem, zajęła się ciotka z Kalifornii. Zabrała ich do siebie, a jej mąż nauczył ich wszystkiego, co wiedzą o samochodach i silnikach w ogóle. Pewnego dnia na przykład...

– Nie. – Kłamca pokręcił głową. – Żadnych przykładów. Do puenty.

– No dobra, Kayle został mechanikiem, wziętym, porządnym, Rick natomiast zszedł na złą drogę – podziemne wyścigi, hazard, narkotyki, recydywa. W międzyczasie nadszedł kryzys, warsztat wujka chłopców podupadł i grozi mu utrata dorobku życia. No więc jakiś czas temu Rick zjawił się u Kayle'a i przedstawił mu pomysł na uratowanie wujka. Chodzi o podjęcie zakładu z pewnym szalonym milionerem i skok nad jednym z tych przeklętych kanionów za pomocą ukochanego samochodu ich wujka...

– Niech zgadnę: impali? – zapytał Eros.

– Dodge'a challenger SRT, takiego, jak miał Kowalski...

– ...w *Znikającym punkcie*, no tak. – Bachus pokiwał głową.

Matareus upił łyk potwornie kwaśnej lemoniady, skrzywił się i przetarł usta.

– Obecny rekord to jakieś sto kilka metrów – powiedział po chwili. – Ale to z udziałem specjalnej rampy finansowanej przez tę firmę od resoraków. Chłopaki mają tego dokonać ze zwyczajnej skoczni. Jeśli się nie uda, Rick jako kierowca zginie, wujek straci wszystko, a Kayle sobie nie daruje. Koniec.

Przez chwilę siedzieli tak, patrząc tylko na siebie, aż wreszcie Eros wstał, założył ręce za plecy i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Czekaaj, bo coś mi się tu nie zgadza.

Kłamca uśmiechnął się tylko.

– No, dawaj – zachęcił. – Zobaczymy, na ile jesteś przewidywalny, chłoptasiu.

Eros skrzywił się tylko i zadał pierwsze pytanie:

– Nie przeraża cię to, że twoi podopieczni najprawdopodobniej jutro zginą?

Anioł pokręcił głową. Rozszczepione światło słoneczne na moment otoczyło jego głowę uroczym żenującym wiankiem tęcz.

– Gdyby nie Loki, Kayle zginąłby już dzisiaj. Rick codziennie wpada na tak durne pomysły, że nie umiem ich nawet przewidzieć, a co dopiero im zapobiegać. Ten skok to jedno, do czego mogłem się przygotować, a w dodatku kilka dni temu ktoś zaoferował chłopakom pomoc i...

– Czekaj, pomoc? – Bachus spojrział na Kłamcę. – Czy ja dobrze myślę?

Loki skinął głową i przyłożył palec do ust. „Cicho, daj mu mówić”.

– Widziałem próbę – powiedział anioł. – To nie ma się prawa nie udać.

– Tak to lepiej nie mów – poradził Kłamca. – To złe moje.

Matareus zrobił minę wyrażającą całą jego pogardę dla podobnych zabobonów, ale głośno nie skomentował.

– Dobra, drugie pytanie – mruknął Eros. – Skoro jednak zależy ci na tym skoku, to jakim cudem ten cały Kayle tak się dzisiaj zrobił? Jak mogłeś na to pozwolić?

Anioł westchnął.

– Jest ich dwóch i zajmować się muszę obydwoma, bo są wierzący i – mimo wybryków – dobrzy. A z tego duetu większych kłopotów spodziewałem się jednak po Ricku, zwłaszcza że Kayle miał randkę. Skąd mogłem wiedzieć, że pójdzie aż tak źle?

– Rzuciła go? – zaniepokoił się Eros.

– Nie, wyszło, że go zdradziła i...

– Czy to naprawdę teraz ważne?! Ej!

Loki wstał, minął biurko i podniósł Kłamczucha z blatu. Przez chwilę wpatrywał się w paciorkowe oczy pluszaka.

– Istotne jest to, że mamy naszą kliszę i naszego nowego boga. Musimy się przygotować.

– No i to jest właśnie moje trzecie pytanie – powiedział Eros. – Skąd pewność, że ten dobroczyńca to nasz gość?

Loki wysunął wykałaczkę językiem, po czym obrócił ją w ustach, na moment szeroko je otwierając.

– Instynkt macierzyński.



*Crane wysiadł z wypożyczonego chryslera i postawił na dachu papierowy kubek z kawą. Przeciągnął się, wyjął telefon, zerknął na wyświetlacz. Nic, żadnych wiadomości, tak jak się spodziewał. Trudno, tumanie, pomyślał, by ktoś do ciebie*

*pisał na numer, który chwilę temu dostałeś w pobliskim salonie AT&T wraz z aparatem, nieograniczoną liczbą minut przez miesiąc i darmowymi kilkunastoma gigabajtami danych. Numer, którego jeszcze nikomu nie dałeś.*

*– To dla zbudowania pozorów – szepnął sam sobie. I pewnie z tego samego powodu poprawił przekrzywioną odznakę detektywa departamentu policji w Los Angeles przypiętą do paska spodni.*

*– O, faktycznie, dzięki.*

*Rozbawiły go te słowa. Czy dziękowanie sobie samemu to nie jest aby objaw szaleństwa?*

*W dole wzgórza, na którym się zatrzymał, panował już solidny rozgardiasz. Po lewej na piaszczystym, w miarę płaskim terenie zbudowano prowizoryczny parking. Do tej pory był on już w połowie wypełniony, a między stuningowanymi, kolorowymi wozami wszelkich marek siedzieli opaleni surferzy, wytatuowani i obwieszani łańcuchami członkowie latynoskich gangów oraz czarni, którzy mieli gdzieś to wszystko, co działo się wokoło, bo już dawno temu napisali o tym solidny hip hop. Między nimi prężyły się i polewały wodą dziewczyny ubrane jedynie w góry od kostiumów kąpielowych i króciutkie szorty odsłaniające dolne krągłości pośladków.*

*Nieco dalej, bliżej przepaści, kilku latynoskich osiłków pilnowało zasłoniętej plandeką rampy zarówno przed gromadzącymi się coraz liczniej gapiami, jak i przed mundurowym patrolem, który najpewniej chciał zaspokoić ciekawość, ale nie miał ku temu sensownych podstaw ani nakazów.*

*Powietrze nad doliną falowało. Białe słońce szczytowało właśnie...*

*– He he, szczytowało – zarżał Crane jak zupełny szczeniak, jakby nie wiedział, że szczytować to nade wszystko zdobyć szczyt, a nie tylko...*

*– No już, już. Prawdziwe znaczenie słowa kryje się w sercu odbiorcy – rzucił sentencjonalnie. Ostatnio coraz częściej miał skłonność do takich banalnych kretynizmów, zupełnie jakby w samolotach, którymi latał, udostępniano jedynie ekranizacje Coehlo i Jedz, módl się, kochaj.*

*– Nie latam samolotami. I zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.*

*Ale nie zamierzał sam sobie niczego tłumaczyć, bo to przecież strasznie słabe.*

*– No już, nie obrażaj się. Mamy robotę.*

*Rzeczywiście mieli. Co prawda większość pracy była już za nimi. Znalezienie tych braci z odpowiednią historyjką życiową, rzucenie im wyzwania, zadbanie uprzednio o to, by przedstawiona propozycja była nie do odrzucenia i pozostawała podszyta kwestią osobistą. Wreszcie ogłoszenie tego wszystkiego*

*odpowiednio, poinformowanie policji, by przyczaiła się tutaj i w odpowiednim momencie zainterweniowała, aresztując chłopaków dokonujących przecież czynu nielegalnego. Tłum będzie przeciwko tym cholernym mundurowym miśkom rodem z Konwoju powstrzymującym Gumowego Kaczora, tym świniom ścigającym Kowalskiego w jego challengerze. I wtedy zjawi się on, Crane, który wywiedzie wszystkich w pole.*

*– Mogę wiedzieć, komu właściwie ty to wszystko streszczasz? – zapytał Crane, dając tym samym dowód, że od dawna nie słuchał już samego siebie. A szkoda, bo to podobno podstawa, by rozumieć swoje potrzeby i potem skutecznie realizować się na wszystkich płaszczyznach...*

*– Serio?*

*Przecież gdyby tylko sięgnął pamięcią do wydarzeń na tarasie widokowym Empire State Building, natychmiast by skojarzył wywód o istotach z być może innego wymiaru, innej rzeczywistości, obserwatorach, a może tylko ciekawskich gapiach. Audytorium. Dotarłoby do niego, że popkultura jako religia musi mieć zarówno boga twórcę, jak i bogów widzów, i nie są nimi zwykli ludzie, którymi łatwo manipulować.*

*– Aa, to. Faktycznie, pamiętam.*

*No właśnie. W każdym razie, choć wiele z tego, co było do zrobienia, mieli już za sobą, nadal pozostawały kwestie do dopięcia. Część wymagała tylko cierpliwości i wiary, w żaden inny bowiem sposób nie zależały od niego. Pozostałe wymagały zabezpieczenia na wszelki wypadek. Ot, chociażby tacy zabójcy, z pewnością wciąż na tropie.*

*– Faktycznie, ostatnio zupełnie o nich nie myślałem – przyznał Crane, choć tak naprawdę myślał i planował, gdzieś w głębi własnego umysłu. Zastanawiał się, kim są napastnicy i co zrobiliby na ich miejscu. Wreszcie wymyślił plan, który załatwi problem w odpowiedni sposób, gdyby tym draniom przyszło do głowy zjawić się akurat dzisiaj na tym rozgrzanym kawałku kalifornijskiej pustyni.*

*Upił kawy, zamknął samochód i rozsiadł się na rozgrzanej masce.*

*– Serio? Mam plan? – zapytał sam siebie i zaraz w głębi ducha odpowiedział sobie: oczywiście, tępoto! Bogiem nie zostaje się za ładne oczy... Choć nie, w sumie to właśnie za to. Ładne, duże oczy mamusi, te rozumiane dosłownie i w przenośni, były najczęstszą przyczyną powstawania bogów.*

*– To znowu było strasznie słabe, wiesz? – za wszelką cenę postanowił skomentować Crane, tracąc tym samym bezpowrotnie okazję usłyszenia zawczasu swojego planu.*

*– Kutas nie narracja.*

*Jaki bóg...*



Loki zniknął gdzieś z samego rana, wrócił koło jedenastej, radiowozem. Wziął z bocznego siedzenia dużą sportową torbę, raz jeszcze przejrzał się w lusterku – dobrze mu było w mundurze, zwłaszcza z tymi wielkimi okularami przeciwsłonecznymi i wykałaczką w zębach – i wysiadł. Wbiegł po schodach, wpadł do mieszkania, rzucił torbę na jeden z foteli i dopiero wtedy powoli pozbył się iluzji. Stopniowo, niczym wosk w świecy albo plastikowy żołnierz w mikrofalówce, topniał i spływał z niego policyjny mundur, ustępując dzinsom i T-shirtowi z Blues Brothers. Blond włosy wydłużyły się, okulary zmieniły kształt. Tylko wykałaczka została niezmieniona – nadgryziona, z odchodzącymi od niej włoskowatymi włóknami.

Pochylony nad komputerem Eros uniósł głowę, by spojrzeć na szefa. Na prześlicznej, posągowej twarzy młodego Pitta malowały się bladość i zmęczenie, ale w sposób charakterystyczny dla make-upu w hollywoodzkich produkcjach, gdzie bruzdy i wory pod oczami dodają ci szlachetności, urodę i wdzięk pozostawiając w spokoju tam, gdzie były.

– Nie powinniśmy się zbierać? – zapytał.

– Zaraz.

Loki wziął ze stołu butelkę wody cieplej jak wiosenna deszczówka i wypił do dna duszkiem.

– Gdzie pijus?

– Tak jak chciałeś, upił anioła, gdy tylko ten pomógł mu z jego ręką i innymi obrażeniami, a potem pojechał odwieźć mechanika zadymiarza. Chwilę temu dzwonił i mówił, że właśnie go wytargał na chodnik, otrzeźwił i zostawił śpiącego. Trochę nie rozumiał, dlaczego musi to zrobić właśnie tak.

– On wielu rzeczy ostatnio nie rozumie.

– Ja też nie za bardzo łapię – przyznał Eros. – W sensie doceniam, że masz plany, i naprawdę cieszy mnie, że zwykle wypalają, ale jako ich część...

– Przebieraj się. – Loki kopnął w jego stronę czarną torbę. – Dla grubasa też mam, jego był łatwiejszy do załatwienia.

Eros wstał, przeciągnął się, potarł oczy i ruszył w stronę łazienki.

– A co to w ogóle jest? – zapytał już stamtąd, pochylony nad umywalką.

– Policyjne mundury – odparł Kłamca. – Na dole macie radiowóz, a jak



przyjedzie Bachus, będziemy mieli też adres braci. Pojedziemy tam, żeby dokonać aresztowania.

Eros spojrział na niego, a jego lewa brew uniosła się komicznie.

– Ale czy my aby nie chcieliśmy, żeby ta cała akcja ze skokiem doszła do skutku?

Wykałaczką przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego.

– Ależ dojdzie, zapewniam cię.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do mieszkania wpadł zaspany Bachus.

– Kurwa – mruknął. – Następnym razem niech se pierdolony nordycki oprawca sam zasuwa w taki upał. I jeszcze...

– Ekhem – chrząknął ostrzegawczo Eros.

Bachus wychylił głowę z przedpokoju i natychmiast jego twarz przybrała barwę Château Pontet-Canet z dziewięćdziesiątego czwartego.

– O, cześć, szefie.

– Pierdolony nordycki oprawca? – Kłamca uśmiechnął się półgębkiem. – To chyba najlepszy twój tekst, jaki słyszałem. Powinieneś kazać to sobie wytatuować pod motylkiem.

– Jakim motylkiem?!

Kłamca wzruszył ramionami.

– No tym, który masz na krzyżu oczywiście. Pod nim jest jeszcze sporo miejsca na zabawne teksty.

Bachus mimo zadyszki błyskawicznie pognał do łazienki, odepchnął stojącego przy umywalce Erosa, przechylił lustro, podciągnął koszulkę i poluzował spodnie. I wtedy go zobaczył. Ślicznego pazia królowej, który, przysiadłszy mu nieco powyżej podstawy kręgosłupa, z dumą rozpostarł kolorowe skrzydełka. Bóg Wina jęknął.

– Błagam, powiedz, że to iluzja.

Loki podrapał się po głowie.

– Mogę to powiedzieć, jeśli chcesz, ale cóż są warte słowa Kłamcy?

Eros, choć wyraźnie starał się ukryć rozbawienie, parsknął. Bachus spojrział na niego jak na zdrajcę, po czym znowu przeniósł wzrok na Kłamcę.

– Kiedy? – zapytał.

– Niedługo po Tokio mieliśmy tę akcję z trollami, pamiętasz? Duński zespół metalowy, most... Żartowałeś wtedy w ich autobusie na temat mnie i Kłamczucha. Kojarzysz? A potem była zadyma i spędziłeś tydzień w szpitalu. Akurat jedna z tamtejszych pielęgniarek była również tatuażystką. A że bardzo

się polubiliśmy...

– Tyle czasu?!

Bachus pokręcił głową. Był coraz bardziej podłamany. Sekundę wcześniej próbował jeszcze zetrzeć motyla poślinionym palcem, ale teraz już wiedział, że to na nic.

– Jakim cudem nie widziałem tego wcześniej?

– A to akurat była iluzja. Czasem go chowałem, gdy wiedziałem, że możesz przypadkiem zobaczyć. No już, przebierajcie się w mundury. Jak dobrze wsadzisz koszulę w spodnie, nie będzie nic widać. I pomyśl o tym napisie. Jakby co, dam ci namiary na Noomi...

– Odwał się już od mojej dupy! – warknął Bachus.

– O, to też świetny tekst – przyznał Kłamca. – Zwłaszcza w tamtym miejscu.



Gdyby anioł Selar lepiej rozumiał pojęcie ironii losu, czy w ogóle ironii, z pewnością łatwiej by się odnalazł w swojej sytuacji. Ponieważ jednak był niemal całkowicie pozbawiony poczucia humoru, ironia Archanioła Gabriela zdążyła przerodzić się w sarkazm, który spadał na niego gradem, ilekroć tylko powiedział coś nierozważnego. Czyli co chwila.

Ironia losu polegała natomiast na tym, że sam się w to wszystko władował. Miał wybór, z kim podzielić się swoim niezwykłym odkryciem, i zdecydował, że w swojej obecnej sytuacji i po zaliczonej wpadce woli rozmawiać z Gabrielem niż Michałem. Wódz Zastępów napawał go prawdziwym lękiem i cherubin wiedział, że ci, którzy zaszli mu za skórę, nigdy nie kończyli dobrze. Nie wiedział jednak – a być może po prostu zapomniał – że Michał zdecydowanie nie był skłonny do żywienia takich drobnych uraz.

Co innego Skrzydlaty Posłaniec, który na dodatek spędzał dużo czasu z Kłamcą i wiele się nauczył zarówno o wyzwiskach i złośliwostkach, jak i o szybkim, okrutnym odcinaniu się za nie. Teraz od dłuższej chwili dawał tego popis:

– Zatem jeszcze raz, cherubinie. Czy też tak przyzwyczyłeś się już do nazywania cię serafinem, że wprawiam cię teraz w konsternację?

Gabriel stał tyłem do niego, przy oknie, otulony trzema parami skrzydeł jak płaszczem. Wpatrywał się w rozświetlone punkciki miasta osadzonego na zboczu góry. Wiatr rozwiewał mu kruczoczarne włosy, smagał nimi idealną

twarz, wdzierał się do oczu i nosa niesfornymi kosmykami.

Archanioł się odwrócił.

– Wprawiam?

Selar pokręcił głową. W przeciwieństwie do Gabriela siedział, ale nie był to bynajmniej przywilej. Miał wrażenie, że krępują go własne skrzydła, że ręce same wyginają się, sięgają za wysokie oparcie, pragnąc, by je skuto.

– Nie, archaniele – odparł na wypadek, gdyby sam gest nie wystarczył. – Nie wprawiasz.

– To dobrze. Bo bardzo nie chciałbym, byś odniósł wrażenie, że jestem zadufany w sobie i nie słucham, co się do mnie mówi.

Gabriel podszedł do stojącego w rogu stołu, przejechał palcem po przyniesionych przez Selara płytach i uważnie przyjrzał się swojemu palcowi. Skrzywił się i wytarł go z obrzydzeniem, co dotknęło cherubina jeszcze bardziej. Poczuł się w jednej chwili jak jeden z tych osobników, których nie poznał, ale którzy zamieszkiwali przed nim jego hotelowy pokój. Poczuł się jak mały robak – owadzia Kasandra – obserwowany przez lupę i zastanawiający się, kiedy to wielkie, ciekawskie oko zamieni się w skupioną wiązkę promieni słonecznych. Czuł, że za wszelką cenę musi pozbyć się tego wrażenia, musi pokazać, że nie jest robakiem, że jest coś wart.

Tak bardzo chciał udowodnić, że jest użyteczny, że on – skromne narzędzie Pana, anioł pracujący w pocie czoła na każde zdobyte pióro – może im pomóc. Słowa jednak, w które ubrał swe gorące pragnienie, słowa ludzkie i po ludzku oddające sens doskonale, bynajmniej okazały się najfortunnieszymi:

– Ukarz mnie, Panie, jeśli zechcesz – powiedział tak gorliwie, jak umiał – bo zgrzeszyłem pychą, ale wraz ze mną ukarż barana, który tak bardzo nie dopilnował Kłamcy.

Po twarzy Gabriela przemknął cień uśmiechu. Obecność samego cienia bez tego, który go rzuca, była ostatnimi czasy jedną z ulubionych sztuczek archanioła.

– Och, dobrze powiedziane, niemal-serafinie Selarze – odparł Boski Poślaniec. – I w dodatku to wyjątkowo proste zadanie, bo do tego, by znaleźć sprawcę tego zaniedbania, nie muszę nawet opuszczać tego pokoju.

Zaległa cisza. Czy też raczej... cisza zaległa. Nisko, przy samej ziemi; przestraszona próbowała udawać dywan.

– No i co, Selarze? Nic nie powiesz? Nie zatriumfujesz spojrzeniem? Nie pochylisz głowy z wyniosłością nad niefrasobliwością archanioła? Czekam.

Cherubin próbował wzruszyć ramionami, ale w połowie gestu przerwał,

gdyż uznał, że archanioł może to odebrać jako lekceważenie. Został tak więc z ramionami przy uszach, wyglądając jeszcze głupiej niż zazwyczaj.

Gabriel ze swego kąta przy stole i cisza z wysokości podłogi przyglądali mu się przez chwilę, po czym najwyraźniej uznali zgodnie, że trwaniem w tej pozycji anioł osiągnął już odpowiedni poziom upodlenia. A przynajmniej odpowiedni na razie.

– No dobra – powiedział w końcu Skrzydlaty Posłaniec. – Co z tymi płytami? Mówiłeś coś o jakimś serialu i o tym, że Loki...

– ...postanowił zdradzić największe tajemnice świata ludziom.

Selar zorientował się, że właśnie dano mu szansę – a może tylko na moment odpuszczono szykany, wszystko jedno. Natychmiast się wyprostował i spróbował wyglądać godnie. No, godniej.

Gabriel oparł się o blat biurka i założył ręce na piersi.

– Jakie tajemnice?

– No, że aniołowie, że nie ma Pana Naszego i że po świecie pałętają się mityczni, a wy maci... znaczy my mamy wsparcie w postaci takiego jednego szubrawca. Tylko że tam, w tej opowieści, to nie jest Loki, a jakieś jego dziecko, które ma z sodomicznego związku ze swoim bratem!

Oburzenie, jakie zabrzmiało w jego głosie, szczerze rozbawiło archanioła.

– Oburza cię, że rodzeństwo, czy że obaj to mężczyźni?

– I to, i to, oczywiście! – odparł Selar błyskawicznie i z niepodważalną pewnością.

– Niewiele wiesz o mitycznych, co? – Gabriel musnął palcami czubek nosa.

– No i znając Kłamcę, pewnie podczas zalotów nie był w ciele mężczyzny, czyż nie?

Selar uniósł brew.

– Widziałeś to, Panie?

– Nie, ale jak mówię, znam Kłamcę. Nie byłby sobą, gdyby nie dołożył do tego choć odrobiny podstępny, by poniżyć samca, za jakiego miał się bóg piorunów. A to mógł zrobić tylko podstępem – jako kobieta.

– Czyli zgadzasz się, Panie?

Selar poderwał się z krzesła, splatając ręce w dziękczynnym geście. Jego źrenice stały się teraz kosmicznymi czarnymi dziurami gotowymi wchłonąć każde słowo aprobaty, każdą pochwałę.

– Też uważasz, że to sprawka tego zdradzieckiego szelmy?

Archanioł wyciągnął przed siebie rękę w uspokajającym geście.

– Na razie potwierdzam tylko, że ktokolwiek stoi za tą historią, rzeczywiście

zna parę sekretów, tak naszych, jak i Kłamcy – powiedział. – To jeszcze nie znaczy, że to on. Kierowanie się takimi poszlakami byłoby przejawem zadufania.

Selar cofnął się, jakby właśnie wymierzono mu policzek. Zwiesił głowę i zupełnie bezwiednie skupił wzrok na kawałku podłogi zajęтым przez ciszę. Ta, czując na sobie spojrzenie, poczuła się wywołana i natychmiast posłusznie zdominowała pomieszczenie.

– Tak czy owak powinienem to skonsultować z Michałem – stwierdził po dłuższej chwili Gabriel. – A ten pewnie zaraz zmaterializuje się u Lokiego z żądaniem wyjaśnień... Co to za zaskoczona mina, cherubinie? Nie wiedziałeś, że możemy odnaleźć Kłamcę w każdym miejscu na świecie? Masz nas za głupich?

Niezależnie od tego, co w tym momencie naprawdę uważał, cherubin śledczy Selar, wciąż nie podnosząc wzroku, powiedział tylko cicho:

– Nie, Panie. Przepraszam, Panie.

A potem, stuknąwszy obcasami, ruszył w stronę wyjścia. Liczył, że jeżeli zareaguje wystarczająco szybko, upiecze mu się i ominie go konfrontacja z Michałem.

Stanowcze archanielskie „stój!” pozbawiło go nadziei.



Eros przyjrzał się Kłamcy w lusterku i pokręcił głową.

– Nie chcę narzekać, szefie, ale to nie jest twoja najlepsza robota.

Siedzący na tylnym siedzeniu Kłamca, teraz odmieniony, z ciemnymi włosami, opaloną skórą i niemal czarnym zarostem, prychnął tylko pogardliwie.

– Ty, Starsky, skup się lepiej, żebyśmy na jakieś czerwone nie wjechali, bo radiowozem to byłby obciach – powiedział. – A moje przebranie jest dokładnie takie, jak powinno być.

– Jak uważasz.

Eros poprawił swe wielkie okulary przeciwsłoneczne i zerknął na siedzącego obok Bachusa. Grubas również wbił się w policyjny mundur, choć wciśnięcie go w niego wymagało gorsetu i mnóstwa sadystycznej złośliwości przy wiązaniu. Teraz, wiedząc, jakim ryzykiem jest każdy oddech, Bóg Wina niczym Tantal wpatrywał się z żalem i smutkiem w leżące przed nim pudełko donutów.

To Loki je tam umieścił, podobno dla uwiarygodnienia przykrywki, ale

wszyscy wiedzieli, że do tego wystarczyłoby puste opakowanie i może kubek kawy. Nie, pokuta Bachusa za niepowodzenie w hotelu wciąż trwała i nie zapowiadało się, by miała się szybko skończyć.

– Pamiętacie swoje role? – upewnił się Kłamca.

Obaj bogowie pokiwali głowami.

– To ważne, by poszło według scenariusza.

Kolejne idealnie równe skinięcie głowami. Eros wiedział, że jeśli zrobią tak jeszcze parę razy w niewielkich odstępach czasu, ludzie na zewnątrz uznają, że kołyszają się w rytm policyjnego radia. Czy doniesienia o włamach, rabunkach i rozbojach mogłyby ich rzeczywiście tak rozbijać?

– No i zasady. Jesteście stanowczy, ale grzeczni. Ręce na kaburach, ale żadnego majtania bronią na dzień dobry. Dopiero potem...

Eros znowu łypnął w lusterko.

– Naprawdę, Loki. Wiemy, co mamy robić. I jeśli nie zamierzasz zmieniać nic więcej, to chociaż pozbądź się zarostu na policzkach. On ma zupełnie inaczej wyprofilowaną brodę.

– Kto? – zdziwił się Loki.

– No, młody Day – doprecyzował Bóg Miłości.

– A skąd pomysł, że nim właśnie jestem?

Eros otworzył usta, ale zaraz je zamknął, a chwilę później skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał samochód przy krawężniku obok podniszczonego, białego domu. Tego samego, pod którym Bachus niewiele wcześniej otrzeźwił starszego brata Daya. On właśnie, mechanik Kayle w brudnych ogrodniczkach, otworzył drzwi i przyglądał się im teraz zza siatki przeciw owadom. Kilka sekund później jego młodszy brat wyłonił się z wnętrza otwartego garażu.

– No to jazda, panowie – powiedział Kłamca. – Czas na *show*.

Dwaj bogowie wysiedli, każdy z nich sięgnął po swoją tonfę i umieścił ją w odpowiednim miejscu na pasie. Eros obszedł samochód, dołączył do Bachusa i razem ruszyli w górę podjazdu domu Dayów.

Gdy byli w połowie drogi, Kayle wyszedł na ganek. Założył ręce na piersi i czekał.

– Richard Day? – zapytał Eros, gdy już znalazł się w punkcie, z którego nie musiał krzyczeć.

– To ja – odpowiedział młodszy z braci.

Teraz, gdy już całkowicie wyłonił się z cienia, można było stwierdzić, że wygląda jak mniejsza, żyłasta i wychudzona, ale mimo wszystko przystojniejsza wersja brata. Zupełnie jakby obu Dayów przygotowano jako pokazowe modele

dla każdego typu kobiet. Chcesz misiowatego mięśniaka? Bierzesz starszego. Drobny, zadziorny wrażliwiec? Młodszy jest właśnie dla ciebie.

– Co się stało, panie oficerze? – zapytał grzecznie starszy Day, zstępując po trzech nierównych schodkach. – W czym możemy z bratem pomóc?

– Pan w niczym – mruknął obcesowo Bachus.

Tego zdania nie było w scenariuszu, więc Eros posłał mu szybkie spojrzenie zza swych wielkich okularów kierowcy TIR-a. I choć zamiast gniewnych oczu towarzysza Bóg Wina zobaczył tylko własne, opięte gorsetem i mundurem odbicie, zrozumiał reprimendę i następne zdanie wypowiedział już grzeczniej:

– Chodzi nam o pańskiego brata. Mamy do niego kilka pytań.

Młodszy z Dayów postąpił krok do przodu, ale przystanął, gdy brat powstrzymał go gestem otwartej dłoni.

– W jakiej sprawie?

Teraz, gdy Kayle Day stał pół metra od Erosa, górując nad nim jak osiłek nad kujonem w szkolnym korytarzu, grzeczność z miejsca przestała być pozą i częścią scenariusza. Stała się natomiast tarczą przed pobiciem.

– Nie ma powodów, by się denerwować, panie Day. Rutynowa sprawa i w ciągu godziny odwieziemy pańskiego brata...

Powinni się tego spodziewać. Właściwie to Loki nie tylko opisał im tę minę, ale także pokazał bardzo podobną z wykorzystaniem iluzji oblicza mechanika. Ale choć obaj bogowie byli przygotowani, gdy tylko zobaczyli ją na żywo, cofnęli się o krok. W tym grymasie bowiem – w obnażonych górnych zębach, uniesionych policzkach, zmarszczonym czole i brwiach wygiętych w literę V – było tyle wściekłości, że gdyby ją beczkować i tankować nią samochody, to z końcem tygodnia wszyscy naftowi szejkwowie szlifowaliby bruki kolanami, żebrząc o drobne.

– Nigdzie go nie zabierzecie! – warknął Kayle Day. – Nie ma mowy, żeby gdziekolwiek z wami jechał, na pewno nie dzisiaj, gdy...

– Daj spokój, Kayle – po raz kolejny odezwał się młodszy z Dayów, a następnie zwrócił się już do Bachusa: – Przepraszam, panowie oficerowie. Czy mogę się rozmówić z bratem?

Bachus skwapliwie się zgodził. To akurat było w scenariuszu z dopiskiem: „Po prostu się zgodź. Nie mędrkuj!”.

Rick Day zbliżył się do brata, odciągnął go na bok i wspierał się na palce, by szepnąć mu parę słów do ucha. Przez chwilę rozmawiali ścisłymi, ale pełnymi emocji głosami o rzeczach, które trudno było usłyszeć, ale których łatwo było się domyślić. Gestykulowali przy tym zawzięcie, raz po raz zerkając

w stronę policjantów. Wreszcie Kayle machnął ręką z rezygnacją.

– Jak uważasz, Rick. Jak, kurwa, uważasz! – powiedział wyciągając przed siebie dłonie w jednoznaczny geście odcięcia się od sprawy.

Odstąpiwszy o krok i zaplótłszy ręce na piersi, stał tam, łypiąc na Bachusa i Erosa. Jego poza, a zwłaszcza napięte mięśnie, mówiły wyraźnie, że jest gotów do szybkiej reakcji, gdyby jego brat jednak zmądrzał.

Rick jednak, zamiast nagle zaczerpnąć ze źródła mądrości, podszedł do Erosa i wyciągnął przed siebie rękę.

– Proszę się nie wygłupiać, Day – Bóg Miłości uśmiechnął się pogodnie. – Nie jest pan aresztowany. Jak powiedziałem – uniósł głowę, by spojrzeć na mechanika – najdalej za godzinę będzie pan w domu.

– Oby – mruknął Kayle. – Bo inaczej... inaczej nie będzie gdzie i po co wracać, Rick.

Młodszy Day pokiwał głową i ruszył w stronę radiowozu. Bachus szedł tuż za nim, Eros dwa kroki dalej.

– Ty, a co z tym? – zapytał w pewnym momencie Bóg Wina, wskazując na siedzącego na tylnym siedzeniu Lokiego. – Przecież nie możemy ich razem...

– Cholera, faktycznie. – Eros przejechał ręką po twarzy.

– Dobra – uznał po chwili zastanowienia. – Wywalimy go tutaj. Nie jest aż tak ważny.

Podszedł do samochodu, otworzył tylne drzwi.

– Twój szczęśliwy dzień, koleś – powiedział. – Wsiadasz.

Loki wysunął się nieco i zmrużył oczy, gdy spojrzał w światło. Zrobił daszek z dłoni, by się rozejrzeć po okolicy.

– Szczęśliwy? Stary, ja nie wiem, gdzie jestem.

– Na wolności. – Bachus otworzył właśnie drzwi z drugiej strony i pomógł wsiąść Rickowi, chroniąc jego głowę. – I lepiej tu zostań, z łaski swojej.

Loki wysiadł, zamknął drzwi i zsalutował niedbale, a następnie poklepał się po kieszeniach.

– Panowie oficerowie, nie macie może wykałaczki?

Najwyraźniej nie mieli, bo zbyli pytanie milczeniem. Bachus zamknął drzwi z tyłu i wsiadł od strony pasażera, odkładając tonfę między siedzenia. Eros zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik. Ruszył.

Loki patrzył za nimi, aż zniknęli za zakrętem, po czym obejrzał się i skinął głową Kayle'owi Dayowi. Ten po prostu odwrócił się i wszedł na schody ganku.

– Jesteście bracia Day, nie? – zawołał za nim Kłamca. – Jeżeli tak, to nie wierz w to, co ci powiedzieli.



Kayle zatrzymał się. Odwrócił.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Loki wsunął ręce w ciasne kieszenie obcisłych džinsów i ruszył w górę podjazdu, jak wcześniej policjanci.

– Tylko tyle – wyjaśnił – że ten blondyn chwilę temu odebrał komunikat przez radio, że ma bez wzbudzania podejrzeń zwinąć twojego brata, a potem wywieźć do bezpiecznego domu i przetrzymać czterdzieści osiem.

Podszedł już na tyle blisko, że mógł złapać za poręcz wiodącą na ganek. Dostrzegłszy długą, jasną drzazgę, wyrwał ją i wsunął do ust. A potem przechylił głowę, jakby uważnie przyglądał się bielejącej z wściekłości twarzy Kayle'a Daya.

– Czekał, kurwa! – klepnął się w głowę, jakby go nagle oświeciło.

Odskoczył, wskazując na mechanika palcem.

– To wy jesteście Falcon Brothers! Wy macie pobić dzisiaj ten rekord skoku!

– Ciszej, koleś.

Kayle rozejrzał się niepewnie wokoło, jakby się spodziewał, że wszyscy sąsiedzi wylegli nagle na trawniki, by im się przyglądać i podsłuchiwać.

– Chodź – ruchem głowy wskazał drzwi. – Wejdziemy do środka i powiesz mi, co jeszcze słyszałeś.

– Tylko jeśli masz coś zimnego do picia, stary, bo zaraz zdechnę.

Kayle Day skinął głową i wszedł do domu.



– Kurde, ale ten twój brat podobny do mnie! – powiedział Loki.

Przyglądał się rodzinnemu zdjęciu zawieszonemu na ścianie w salonie. Trzymał w ręce drugą już szklankę mrożonej herbaty. Pierwszą wypił duszkiem.

Kayle usiadł na krawędzi skórzanej kanapy i nerwowo wyłamywał palce. Przed nim na niskim stoliku do kawy leżały jakieś plany, wykresy i mnóstwo wyliczeń na kartkach w kratkę. Na ekranie niewielkiego telewizora plazmowego z wolna obracał się model samochodu – białego dodge'a challengera z czarnym pasem pośrodku maski.

– Więc mówisz, że ktoś kazał tym gliniarzom zwinąć mojego brata – powtórzył raz jeszcze gospodarz. – Ale nie powiedzieli dlaczego, jaki zarzut ani nic?

Loki pokręcił głową.

– Ni słówkiem. Tylko że mają go zwinąć bez podejrzeń i ukryć.

– Pamiętasz nazwę tego miejsca? Tej tajnej chaty?

– A co, masz wtyki na policji? – zadrwił Kłamca, a wykałaczką na którą zamienił drzazgę, uniosła się; zaraz jednak potrząsnął głową i upił kolejny łyk herbaty. – Nie, stary, nie mam pojęcia, przykro mi. Wiesz, to w ogóle przypadek, że się tam znalazłem, bo...

Umilkł i zmarszczył czoło, co oczywiście, zgodnie z zamierzeniem, wywołało reakcję mechanika.

– Co? – zapytał Day, prostując się.

Loki powoli pokręcił głową.

– Nie, wiesz, tak tylko myślę... Zwinęli mnie dzisiaj za jakąś totalną pierdołę, która ledwie łapie się na mandat. Tak jak teraz myślę, to moje podobieństwo do twojego brata, to, że jestem kierowcą kaskaderem... Czy to możliwe, że zwinęli mnie dlatego, że szukali jego?

Kayle przyglądał się Lokiemu przez chwilę, jakby nie do końca docierało do niego, co właśnie usłyszał. W końcu wstał, podszedł do stojącego na szafce zdjęcia i przez chwilę przyglądał się swojemu bratu wspartemu o starego cadillaca ich ojca. Samochód, który dopiero miesiąc temu postawili na koła. Byli z tego obaj bardzo dumni.

Mechanik oderwał wreszcie wzrok od zdjęcia i skupił go na Kłamcy.

– Kurde, rzeczywiście jesteście podobni – przyznał. – Trochę inny nos, uszy, no i te blizny.

Musnął palcem policzek Lokiego przecięty dwoma ledwie widocznymi kreskami. Kłamca odchylił się gwałtownie.

– Ej, bez takich – mruknął. – Ta herbata nie zmienia mi orientacji.

– Przepraszam. – Kayle Day cofnął rękę i jeszcze raz porównał Lokiego z bratem na zdjęciu. Pokręcił głową z niedowierzaniem. – I mówisz, że czym się zajmujesz?

Loki uniósł brew, ale zaraz cofnął się jeszcze o dwa kroki, wyciągając przed siebie rękę.

– O nie, chłopie! – powiedział. – Wiem już, co ci łązi po tym łbie, i nie ma mowy! Znaczy, podziwiam wasz pomysł, odwagę i w ogóle, ale słowo „podziwiam” w moim słowniku znaczy zwykle „szacun, bo mnie tak jeszcze nie pojechało”. A tym bardziej teraz, gdy sprawę mieszają się gliny?! Bo to przez to, nie?

Mechanik wzruszył ramionami.

– Tak sędzę – powiedział, odkładając zdjęcie. – Cały ten skok to zakład o

dużą forszę, i to z gościem, który, gdy się tak zastanawiam, może naprawdę wiele.

– Zabić też? – Przestrach na twarzy Lokiego byłby oscarowy, gdyby nie wykałaczką.

– Zabić to akurat mógłby każdy – odparł Day. – Nie, tu chodzi o upokorzenie przede wszystkim. Rzec idzie też o dziewczynę. Znaczy dla Ricka. Bo mnie chodzi o niego... i o kasę. W zasadzie najłatwiejsze pieniądze, jakie mieliśmy zarobić, bo ten skok to betka. Ech...

Nie dało się nie zauważyć tego dyskretnego zerknięcia Daya w stronę Lokiego, sprawdzenia, czy nie złapał przynęty, już teraz podwójnej. Bo kasa to jedno, zwłaszcza łatwa. Ale świadomość, że oto być może dokona czegoś, co uważał za niemożliwe, a jest prostsze, niż myślał? Jak temu nie ulec?

A jeśli dobrze myślę, to ten skok będzie jeszcze prostszy, bo wsparty boską mocą, pomyślał Loki, uśmiechając się w duchu, ale na iluzyjnej twarzy tocząc zawzięty bój emocji. Wreszcie wygrała ta, która miała wygrać, i fałszywe oblicze Kłamcy rozpromieniło się, a wykałaczką przewędrowała do drugiego kącika ust.

– A gdybym jednak uznał, że to, co myślisz, nie jest aż tak popieprzone, to... co to za sztuczka? I o jakich właściwie pieniądzach mówimy?



– A jeśli nie przyjadą? Jeśli gdzieś jednak nacisnąłem za mocno i się przestraszą? Rick to gówniarz i pójdzie w ogień, ale Kayle? Co będzie, jeśli się złamie?

*To wszystko powiedział Crane zupełnie głośno, jakby się bał, że gdyby pozwolił tym myślom wybrzmieć tylko w głowie, coś by się im stało.*

– A bo ja wiem, jak je wypaczysz? Wkurzasz się na mnie już od...

*Przerwał, bo to przecież nie miało znaczenia. Powinien być ponad to, zwłaszcza jeśli miał spędzić z głosem w swojej głowie resztę nieskończoności.*

– To jedyny zauważony do tej pory minus.

*Może z wyjątkiem kogoś, kto chce cię zabić, dopowiedział w myślach i zaraz poczuł przypływ skruchy, że chwilę temu był takim nadętym dupkiem...*

– Wcale nie!

*Zaraz jednak ta myśl uleciała mu z głowy, bo oto spomiędzy porośniętych suchą trawą wzgórz wyłonił się biały dodge challenger. Pędził piaskową drogą,*

wzniecając kurz, ciskał świetlnymi refleksami przy każdym wyboju, jakby słał pozdrowienia i pocałunki rozszalałej publice.

Bo ta rzeczywiście wpadła w euforię. Mężczyźni zaczęli gwizdać, ich dziewczyny piszczały i kołysały się, wymachując baseballówkami lub koszulkami. Ślicznotki siedzące na pace zdezelowanego pick-upa odwróciły się, zsunęły ciasne szorty i zaprezentowały nadjeżdżającym swoje pośladki, na których starannie namalowano twarze braci, nazwę, której używali jako duet – Falcon Brothers – albo hasła typu „po skoku zaparkuj tutaj”. Szanse jednak, by kierowca czy jego pasażer zobaczyli dokładnie, co jest tam napisane bądź narysowane, były bliskie zeru, bo nagle rozbrzmiały dźwięki muzyki i dziewczyny zaserwowały nadjeżdżającym porządną dawkę drgających pośladków.

– To się nazywa twerking.

A to – wpierdalanie się w narrację, dziękuję bardzo! I teraz już nie wiem...  
A, tak!

Najżywiej zareagowała jednak lokalna policja. Funkcjonariusz, który jako pierwszy dostrzegł nadjeżdżający pojazd – wysoki, łysy Murzyn o płaskim nosie i poczciwych oczach spaniela – złapał za radio przypięte nad lewą kieszenią i wrzasnął: „Jadą!”. Natychmiast wszyscy policjanci, czy to mundurowi, czy tajniacy, pognali na swoje stanowiska. Z ukrycia wytoczyło się porsche używane zwykle do pościgów na autostradzie oraz dwa wozy terenowe. Na pagórki właśnie minięte przez dodge’a wtoczyły się dwa pick-upy, a siedzący w nich snajperzy wyskoczyli z już poskładaną bronią, by zająć stanowiska.

Brakowało jeszcze tylko śmigłowca, ale zanim samochód zatrzymał się przed rampą, pojawił się nagle, wznosząc z przepaści i zajmując pozycję dokładnie między rampami. Sytuacja kierowcy dodge’a z miejsca przerodziła się z trudnej w beznadziejną.

Zebrany tłum, widząc, co się dzieje, płynnie przeszedł z okazywania aprobaty do wściekłości. W stronę radiowozów poleciały puste butelki i puszki. Panienki topless siedzące na ramionach swoich osiłkowatych facetów wyzywały funkcjonariuszy od faszystowskich świń, a kilku odważniejszych, a może po prostu wystarczająco wstawionych, ruszyło na policjantów z pałkami i łyżkami do opon. Zaraz jednak wrócili na swoje miejsce przekonani serią strzałów ostrzegawczych, które poniosły się echem po okolicy.

Dodge stał w pozycji startowej, jego silnik pomrukiwał cicho.

– Richardzie Day! Kayle’u Day! – rozległo się nagle przez megafon. – Natychmiast opuście pojazd z rękami w górze!

Krzyczącym był przysadzisty facecik z fryzurą jak źle dobrany tupet, ubrany

w przemoczony teraz od potu szary garnitur. Stał u podnóża rampy, ściskając megafon w obu rękach, tak by nie dało się zauważyć, że drżą.

– Richardzie i Kayle’u Day! – dodał jeszcze. – W przypadku niezastosowania się do polecenia użyjemy siły!

Na to ostrzeżenie tłum zareagował zdwojoną porcją okrzyków i obelg. Ktoś cisnął w facecika niedojedzoną kanapką, która, co prawda, nie spowodowała poważniejszych obrażeń, ale ozdobiła marynarkę policjanta dwuznacznie wyglądającymi plamami majonezu light.

– Teraz? – zapytał sam siebie Crane. I zaraz sam sobie odpowiedział: Tak, teraz.

Ruszył powoli w dół zbocza.



– Kurwa! – Kayle Day walnął pięścią w deskę. – Kurwa! Kurwa! Kurwa!! A tak dobrze szło.

Siedzący za kierownicą Loki obrócił trzymaną w ustach wykałaczkę i poprawił misia przyklejonego taśmą do wywietrzników klimatyzacji.

– Jeszcze pójdzie – powiedział oschłym tonem. – Wsiadaj.

Kayle popatrzył na niego jak na szaleńca. I na wypadek, gdyby samo spojrzenie nie wyraziło jego myśli dość dokładnie, zapytał:

– Pojebało cię do reszty? Widzisz tych gliniarzy? Widzisz helikopter? Stary, życie to nie jest, kurwa, film akcji ani jebane *Need for Speed!*

– Zgadza się – Kłamca uśmiechnął się półgębkiem. – W prawdziwym życiu helikoptery kosztują majątek, a kapitanowie policji odpowiadają przed milionem dupków w krawatach, którzy też nie żyją w filmach i nie są wrzaskliwymi, ale w gruncie rzeczy wyrozumiałymi szefami. Wsiadaj.

Kayle mrugnął raz i drugi, jakby nie dowierzał w to, co właśnie usłyszał. Wreszcie pokręcił głową.

– Nie, stary. Znaczący doceniam, jesteś chojrak, ale nawet jeśli masz rację, to wystarczy, że oni ułamek sekundy za późno zorientują się, że to blef i wtedy...

– Wtedy pierdolnę w ich maszynę i będą fajerwerki, ale już nie na twoje konto – stwierdził Kłamca.

– Samochód jest mój.

– Jeszcze przez kwadrans, potem idzie do zlicytowania, pamiętasz?

Day rozejrzał się wokoło. Dostrzegł wściekły tłum, policjantów

podkradających się powoli do ich samochodu i tego dupka ufajdanego majonezem u podstawy rampy. Tak bardzo chciałby dać im popalić, tak bardzo chciałby, żeby mimo wszystko się udało. Ciekawe, czy była tu ta mała, za którą tak szalał Rick. Czy drży teraz z niepewności, czy trzyma teraz kciuki, zaciska pięści między udami, byle tylko się udało? W końcu potrząsnął głową, parszcząc nerwowym śmiechem.

– Masz jaja, koleś – powiedział wreszcie, łapiąc za klamkę. – Jak ty się w ogóle nazywasz?

– Mówiłem ci.

Kayle uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tak, ale jak się nazywasz naprawdę?

Loki wzruszył ramionami.

– Pierdolić prawdę, gdy właśnie budujemy legendę. Wsiadaj. Możesz im powiedzieć, że sterroryzowałem cię spluwą i...

– Pierdol się – odparł Kayle Day i otworzył drzwi.

W tym samym momencie ktoś złapał go za koszulę i jednym szarpnięciem wyrzucił z pojazdu. Zaraz potem na siedzenie pasażera wskoczył przystojniak o prezencji serialowego aktora. Loki rozpoznał go w jednej chwili. Już nie musiał pytać, jak udało mu się niepostrzeżenie podejść do wozu i skąd miał tyle siły, by z taką lekkością pozbyć się niemałego przecież Kayle'a Daya. Obok niego rozsiadał się właśnie Dezyderiusz Crane.

– Gaz!! – ryknął bóg popkultury nieznośnym sprzeciwu głosem.

Kłamca wcisnął pedał. Zabuksowały koła, wokół wzniósł się obłok pyłu i kurzu, dodge wyrwał do przodu.

– Nie wiem, kim jesteś, koleś – skłamał Loki, przekrzykując ryk silnika – ale masz nasrane!

– Jestem twoim wybawieniem! – odkrzyknął Crane. – Musisz tylko we mnie uwierzyć i będzie dobrze!

Loki zaryzykował krótkie spojrzenie w bok, przez co przegapił uskakującego mu z drogi policjanta z megafonem.

– Ty tak serio? Kaznodzieja?

Crane pokręcił głową.

– Nie, bóg!

*Rozpędzony pojazd wtoczył się już na rampę. Ułamek sekundy wcześniej pilot śmigłowca zorientował się, że to jednak nie błąd. Spróbował obniżyć lot, ale poczuł nagły opór drążka.*

– Stary, ty też słyszysz ten głos? – krzyknął Loki.

Ale nie usłyszał odpowiedzi. Nie dostrzegł też zaskoczonego spojrzenia Crane'a, bo rampa zatrzęsała się i nagły wybuch poderwał ją do góry, zmieniając jej kąt nachylenia. Dodge wystrzelił jak z procy tuż nad siekającym powietrze wirnikiem helikoptera i poszybował w stronę drugiej rampy.



*Jak to możliwe, że on mnie słyszy? – myślał Crane, siedząc na miejscu pasażera w szybującym właśnie dodge'u. Jak to możliwe, że zwykły śmiertelnik słyszy myśli, narrację boga?*

To nie śmiertelnik, pomyślał prawdziwy Crane.

*Ej, nie myśl „powiedział Crane”, a tym bardziej nie dodawaj „prawdziwy”. Obaj jesteśmy Crane'em tak samo i... Kto to w takim razie jest? Czyżby...*

Zabójca.

*Ja miałem to właśnie pomyśleć! I przy okazji zastanowić się, jak to możliwe, że nas tu znalazł, że wytropił i jeszcze zdążył się tak wkomponować. A czasu na tę myśl mam dość, bo boskie moce Crane'a potrafią zwolnić ten moment, uczynić go, prawem zajebistości, prawdziwą chwilą w slow-mo, gdy ułamki sekund stają się minutami, każda myśl rozpędzona jak pociąg zdaje się ledwie sunąć i można zauważyć każdy detal. O, jak tamten orzeł. Albo jak radiowozy, które już czekają na nas po drugiej stronie. Mniej liczne niż przy rampie startowej, ale nadal...*

Skup się.

*Jestem też narracją, muszę mówić, co się dzieje wokół, by cię w tym jakoś osadzić.*

No ale co robimy?!

*Z nim? To zależy od ciebie. Możemy spróbować go zabić, ale jeżeli spróbujemy zrobić to normalnie, to odeprze atak, bo przecież doskonale wie, kim jesteśmy. No i musimy mieć efekt, musimy mieć to, czego oczekują ludzie. Coś spektakularnego, na co każdy powie „WOW”.*

Czyli co?

*Nie wiem! Możemy, jak wtedy na Empire, odwołać się do Audytorium. Pamiętaj, jak miałeś sobie wyobrazić...*

Tak, pamiętam.

*No więc zapytaj ich, czy na przykład masz spróbować skrócić mu teraz kark albo wyskoczyć z nim z pojazdu, no, zrobić coś szalonego, ale wciąż w ramach szeroko rozumianej konwencji...*

Czy?

*Czy całkowicie zmienić zasady.*

*Crane się zawahał. Zerknął w stronę kierowcy, ale wyglądało na to, że uważnie skupia się na trzymaniu kierownicy prosto, wpatrzony w jeden, rosnący powoli obiekt – rampę do lądowania. Nie wyglądał jak zabójca, ale też, gdy się przyjrzeć, nie był to Rick Day. Różnił się od niego drobnymi detalami, ale jednak.*

*Kurwa, co ja robię?, pomyślał Crane, ale uniósł wzrok i oddał się decyzji wymyślonego – a może wcale nie? – Auditorium. Swej publiczności, bez której nie ma żadnego showmana.*

**Po chwili przed oczami pojawiły mu się trzy opcje:**

**1. Działaj zgodnie z konwencją: [strona 153](#)**

**2. Czas na zmianę zasad: [strona 234](#)**

**3. A może być się tak poddał? To nie twoja opowieść: [strona 233](#)**

*Chciał kliknąć jedną z nich wedle uznania, ale okazało się, że nie ma jak. Zwyczajnie nie było takiej możliwości – kursora czy czegokolwiek, co pozwoliłoby mu wybrać.*

*Ułamek sekundy później jedna z opcji podświetliła się i świat na moment rozblęsnął białym światłem. A decyzja nie należała już do niego.*



*Dalsze wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie. Crane poruszył się błyskawicznie, przechylił do przodu, a jego ręce wystrzeliły w stronę karku kierowcy. Wystarczył jeden sprawny chwyt, potem ruch z odpowiednią porcją siły, by złapać za podbródek i szarpnąć do oporu w bok, aż do złamania karku.*

*– Wiem! – wrzasnął Crane, nie tracąc jednak nawet ułamka swej koncentracji. Był szybki i silny, był zdecydowany, był...*

*Ranny? Ale jak?!*

*Dopiero w tym momencie Crane dostrzegł, że jego łokieć przenika przez jedną z rąk trzymających kierownicę, a kierowca zamiast patrzeć przed siebie, wpatruje się prosto w niego z wrednym uśmiechem. Zerknął w dół na własny brzuch, na którym rozkwitała teraz krwawa plama, a potem na dłoń opartą na udzie kierowcy, ściskającą pistolet z tłumikiem. Rozległy się dwa kolejne dźwięki, jakby ktoś wypluł pestkę, i pchnięty nierealnym, znanym tylko z filmów impetem, Crane poleciał na drzwi.*



Samochód zakołysał się w powietrzu, tracąc poziom, więc Loki dla przeciwwagi naparł na swoje drzwi, unosząc jednocześnie broń. Strzelił...

*...ale tym razem chybił o milimetr. Zamiast w głowę pocisk trafił w szybę, rozpryskując ją na drobne kawałeczki. Wiatr z ogłuszającym podmuchem wdarł się do wnętrza dodge'a, czyniąc kolejny strzał w zasadzie niemożliwym. Niemożliwym, cholera! Niemożliwym!!!*

*– Kim jesteś? – zapytał Crane głosem stłumionym, charczącym i – rany, to nie może być prawda, niemożliwe, przecież jest bogiem... ale jednak – tak bardzo śmiertelnym, jakby granica była o krok. O pół kroku. Jakby śmierć zbliżała się do niego teraz równie szybko jak rampa do lądowania.*

*– Jestem twoim ojcem, Crane – zadrwił Kłamca.*

*Tak!!!*

*– Albo matką – zreflektował się, ale było już za późno, bowiem Crane natychmiast wyczuł schemat, popkulturową ikonę, od której mógł się odbić. Wykorzystał szansę, wrzeszcząc...*

*– Neeee!!!*

*...i wymacawszy klamkę, otworzył drzwi, jednocześnie napierając na nie plecami. Mimo że kierowca rzucił się zaraz w jego stronę, kolejny raz chwając niemal już lądującym samochodem, zdołał tylko musnąć jego nogawkę. Crane wyleciał z pojazdu, koziołkując. Wciąż trzymając się za ranny bok, runął w przepaść.*

*Kiedy sytuacja wyglądała już na całkowicie beznadziejną, dostrzegł nagle wystający ze skarpy korzeń...*

*– Za daleko!*

*...który jednak był stanowczo za daleko. Chyba że wylądowałby na wielkim orle bieliku, który właśnie przelatywał...*

*– To za głupie! – pomyślał, jakby nie zdawał sobie sprawy, że sytuacja jest naprawdę dramatyczna. Bo choć czas znowu zwolnił, to jednak po drodze między nim a dnem kanionu było tylko rozgrzane kalifornijskie powietrze.*

*– Zrób coś, nie pierdol!*

*Kiedy próbuję, ale...*

*Wtedy dostrzegł coś, co – czymkolwiek było – wolałoby pozostać ukryte. Na pozór chmura rozgrzanego, falującego powietrza, ale gdy się przyjrzeć, nabierała kształtu podobnego do uskrzydłonego człowieka.*

*– Serio?!*

*...wrzasnął Crane, ale zebrał się w sobie i poszybował w tamtą stronę, by złapać tę skrzydlatą postać, uchwycić się jej i wraz z nią polecieć dalej. Jeżeli*

*tylko zdoła wytracić prędkość, z którą już spadał, zyskać parę metrów, być może uda mu się bez większego szwanku wylądować na drzewach porastających dół kanionu...*

*Doszybował, capnął falujące powietrze, a to wierzgnęło i zakręciło się gwałtownie, próbując zrzucić z siebie intruza. Ale Crane był silny, był zdeterminowany i trzymał się, jakby od tego zależało jego życie.*

*Niewidzialny, skrzydlaty człowiek poleciał koszącym lotem wprost na drzewa.*



– To powinno załatwić sprawę – mruknął Loki.

Wiedział jednak, że to bzdura. Nie widziałeś ciała – bohater przeżył, taka jest zasada i sam nie raz i nie dwa z niej korzystał.

Teraz jednak potrzebował skupić się na lądowaniu, które, co to dużo mówić, nie zapowiadało się najlepiej. Złapał kierownicę oburącz i spróbował wyrównać lot, balansując ciałem, ale każdy kolejny metr uzmysławiał mu, że przede wszystkim brakuje mu wysokości. Nie sięgnie drugiej rampy, być może nie sięgnie nawet krawędzi i rozbije się o skarpe, a samochód wybuchnie, bo taka jest konwencja.

– Ech – westchnął tylko i odkleił Kłamczucha od wywietrznika. – Ty i ja, stary.

Otworzył drzwi by skoczyć... i wtedy samochodem zatrzęsło, a potem poderwał się, jakby niesiony na skrzydłach. Zaskoczony Loki spojrzał w dół i dostrzegł archanioła Gabriela podtrzymującego wóz za koło. Gdy wychylił się bardziej, dostrzegł również Michała, którego twarz płonęła żywym ogniem. Cała. Tak mocno jak chyba jeszcze nigdy.

Wypluł wykałaczkę i spojrzał na Kłamczucha.

– No to, misiek, mamy przejebane.

Pluszak nie odpowiedział, a potem wylądował na siedzeniu obok, gdy Kłamca chwycił ponownie kierownicę i przymierzył się do lądowania. Aniołowie z pewnością byli niewidoczni dla śmiertelników, więc żeby zachować pozór, musiał dać gapiom porządne lądowanie, a potem ucieczkę godną Kowalskiego i prawdziwy znikający punkt.

– Ja wiem, że nadużywam uprzejmości! – krzyknął, gdy przednie koła dotknęły rampy; samochodem szarpnęło, ale utrzymał go w linii. – Ale gdybym

dostał taki słupek ognisty, jak miał Mojżesz...

Dostał jednak jedynie barykadę z policyjnych radiowozów. Rozbił ją bez najmniejszego trudu, nawet nie zwolnił. Przygazował, wznecając chmurę kurzu, a potem pognął piaszczystą drogą w kierunku, gdzie, jego zdaniem, powinno za parę godzin zachodzić krwistoczerwone, westernowe Słońce.



Zatrzymał się, dopiero gdy drogę zastąpili mu aniołowie. Ani myślał im uciekać, bo nawet gdyby wskaźnik paliwa nie machał swym czerwonym jęzorem po rezerwie, i tak nie miał najmniejszych szans z Armią Pana. Mówią, że piekło nie zna takiej furii niż wzgardzona kobieta. Ale piekło pełne jest wzgardzonych kobiet i choćby całą ich furię zebrano razem, byłaby niczym wobec wściekłości burzyciela Sodomy i Gomory, Ognia Pana i Wodza Jego Zastępów. A tak się składało, że Loki nie był pewien, jak blisko był granicy między archanielskim gniewem, z którym już sobie radził, a jego wściekłością. Więc na wszelki wypadek, gdyby istniał choć cień szansy, że jeszcze jej nie przekroczył, nie zamierzał zrobić tego teraz. Karnie więc zatrzymał wóz, oglądając się tylko za siebie, by się upewnić, że zgubił policyjny pościg. Wysiadł, przyjmując swój normalny wygląd – długie blond włosy, krótko przystrzyżona broda – i wyciągając z kieszeni wykałaczkę.

– Co tam, chłopaki? – zapytał. – Wreszcie wzięliście sobie do serca moje porady i wpadliście do Kalifornii złapać trochę słonka?

Żaden z trzech postawnych gwardzistów Michała nie zareagował na zaczepkę. Stali w bezruchu z wzrokiem wlepionym pozornie przed siebie, ale w rzeczywistości uważnie obserwując Kłamcę. Loki sprawdził to wymykiem w jedną i w drugą stronę, niczym turysta w Luwrze uciekający przed wzrokiem Mony Lisy. Wreszcie przyciągnął ręce do piersi, układając dłonie jak proszący pies.

– A moglibyście zrobić tak? Nigdy nie widziałem pieska preriowego, a podobno być na pustyni i...

– Dość! – rozległo się nagle gdzieś z góry i w jednej chwili Kłamcę spowił sześćoskrzydły cień archanioła.

Michał nadlatywał zza pleców Lokiego, ale jeszcze w powietrzu zawrócił tak, by wylądować między nim a swoimi gwardzistami. Jego twarz wciąż płonęła żywym ogniem. Loki ostentacyjnie przełknął ślinę.

– Mów – polecił Michał, kładąc dłoń na głowicy miecza.

Kłamca znał tę pozę, znał ją bardzo dobrze, choć nie zdarzyło się chyba nigdy, by to on znajdował się przed archaniołem, gdy ten stawał w ten sposób. Dla tych, którzy tego doświadczyli, zwykle nie kończyło się to dobrze, za to dość szybko. Ale to nie była jeszcze wściekłość, której Loki się obawiał. W sumie miał wrażenie, poparte dotychczasowym doświadczeniem, że mógłby sobie pozwolić jeszcze na sporo.

Zaraz ta myśl przekorna, która nieraz wpędziła go w kłopoty, rzuciła to przekłete pytanie: co to znaczy sporo? Kłamca westchnął, bo wiedział już, że duch odkrywcy nie pozwoli mu zostawić tego pytania bez odpowiedzi.

– Powiem wszystko – stwierdził więc z właściwą sobie, bezczelną wesołością. – Ale jeżeli nie podasz mi tematu, to trochę nam zajmie, a twoi chłopcy raczej nie użyli kremu z filtrem i...

– *Bóg pośród nas* – warknął archanioł.

Loki zasłonił ręką usta w udanym zdziwieniu.

– Rany, naprawdę wrócił?! I dopiero teraz mówisz?! Stary, zabierz mnie do niego natychmiast! Czy to prawda, że wygląda teraz jak ta piosenkarka, czekaj, jak jej było...

W krótszym niż mgnienie oka ruch miecz archanioła wyskoczył z pochwy i zawirował w ognistym młynku, by wylądować na szyi Kłamcy. Zezując w dół, Loki mógł dokładnie przyjrzeć się językom ognia leniwie liżącym głównię miecza. Być może był to szkodliwy wpływ wszechobecnej pornografii, ale bardziej niż przerażające wydało się to Lokiemu po prostu obsceniczne.

Mimo to uznał, że dość już tych żartów, przynajmniej teraz. Wciąż miał sprawę do załatwienia. Sprawę niezwłoczną, choć z pewnymi zwłokami ściśle związaną.

– Dobra, już.

Loki wypluł wykałaczkę, która momentalnie zajęła się od płomienia, a potem wykonał gest, jakby chciał odsunąć ostrze daleko od swojej szyi. Sztychu jednak nie odważył się dotknąć, a Michał ani myślał go cofnąć.

– *Bóg pośród nas* to serial, który podejrzanie dobrze oddaje prawdziwe realia świata, to znaczy relację Bóg, wy, to znaczy my, i my kontra... khem, reszta mitycznych. Miałem kilka tropów w tej sprawie. Jednym z nich był pewien Bob, na którego ulica mówi Niechący Prorok. Któryś z aniołów zwiastował mu, pewnie niechący albo po pijaku, a wiesz, jak to jest w L.A... Znaczący nie wiesz, kurde, nazwa tego miasta jest cholernie myląca. W każdym razie jak ci coś przyjdzie do łba i nie umiesz tego przerobić na dragi albo scenariusz, to nie

jesteś wart Kalifornii. No tak mówią, serio!

Archanioł nawet nie mrugnął. Za to płomień uniosły się nieco i kilka z nich sięgnęło źle przyciętych włosów na brodzie Kłamcy.

– Dobra, już. Drugi trop to romans pewnego stróża z jego podopieczną. I tu trochę dałem ciała ja, bo ktoś zakosił mi te jaja, co kiedyś wzięłem sobie od Kojota. Wiesz, nikomu już dziś nie można ufać. Jakiś skrzydlaty mógł je wziąć, zaruchać, a potem szepnąć jakiejś lasce słówko czy dwa, by wypełnić niezręczną ciszę. Albo przyszpnować lub zatrzeć złe wrażenie po niespecjalnym pierwszym razie. Cholera, nie wiem, to tylko teoria, ale potem panna mogła... no, rozwinąć to dalej, jak ten prorok.

Loki zrobił pauzę i odważył się na dyskretny krok do tyłu. Ostrze nie podążyło za nim, co uznał za dobry znak. Wziął do ust kolejną wykałaczkę, po czym rozłożył bezradnie ręce.

– Nie mam pojęcia, która z tych teorii jest prawdziwa, bo nagle szambo wybuchło i główny aktor z tej produkcji, ten koleś, który leciał ze mną samochodem, zaczął zdobywać ogromną popularność graniczącą z kultem. A potem został bogie... znaczy bóstwem. I tu właśnie jesteśmy.

Michał jeszcze przez chwilę stał w bezruchu, aż wreszcie opuścił miecz. Płomień na jego twarzy również zaczął przygasać, aż w końcu stał się na powrót tatuażem wokół oka.

– Cherubin Selar trochę inaczej to przedstawia – powiedział wreszcie. – Według niego to ty stoisz za serialem.

Słyszając imię anioła śledczego, Loki nie mógł się nie wyszczerzyć.

– Naprawdę? Mój stary kumpel Selar pomyślał, że to ja? – parsknął. – Cholera, no popatrz. To świetny facet, ale, tak między nami, to nie pierwszy raz myli się w ocenie. O tobie, Rafaelu i Gabrielu mówił na przykład...

– Tak, słyszałem – Michał machnął ręką na znak, że nie chce o tym rozmawiać.

– I mimo to dałeś wiarę jego słowom?!

Kłamcy chwilę zajęło, zanim w wachlarzu min dla tej, ostatnio trochę rzadko używanej, twarzy znaleźć oburzenie. Gdy je jednak przymierzył, pasowało jak ulał.

– A co, powinienem tobie? – Kącik ust archanioła uniosł się lekko. – Aniołowie nie kłamią.

– Im się tylko roi czasem, że mają o czymś pojęcie. Tak, wiem. No dobra, to jak się z nim spotkam, to sobie wyjaśnimy to i owo, a tymczasem...

– Wyjaśnimy to sobie zaraz, bo Selar przyleciał tu z nami. O, właśnie

nadlatuje.

Ale to nie był Selar, a trzech aniołowie, z którymi cherubin patrolował kanion. Gdy byli już na tyle blisko, że można było zobaczyć ich twarze, Kłamca i Michał zorientowali się, że mają jakieś ważne i niekoniecznie dobre wieści.



Życzliwy Selarowi kronikarz mógłby pewnie powiedzieć, że w ostatnich chwilach swego życia anioł walczył dzielnie, że wykazał się siłą i determinacją odrobinę tylko zbyt małą, by przetrwać, ale już wystarczającą w zupełności, by układać o nim pieśni, wiersze oraz napisać modną i pouczającą książkę dla tak zwanych młodych dorosłych.

Niestety jedyna stronicza narracja była w tym przypadku akurat po stronie jego adwersarza, a obiektywnie ostatnie chwile Selara sprowadziły się do koziołkowania w powietrzu, nieudolnych prób zrzucenia napastnika, szarpania za włosy, drapania twarzy i pleców oraz wbijania palców w oczy. Godności było w tym tyle co w klubie go-go z naćpanymi tancerkami. Tylko widownia mniejsza.

A potem, gdy już wpadli na drzewa, wszystko sprowadzało się do szczęścia. Napastnik miał go więcej, więc najpierw tylko trochę się podrapał, a potem rozorał sobie boleśnie bok i nogę, ale ostatecznie przeżył. Selarowi szczęścia zabrakło i nadział się na sterczący konar, który przebił go na wylot. Byłby może jeszcze z tego wyszedł, gdyby ten przekłety napastnik okazał jakąkolwiek wdzięczność – w końcu spadał i gdyby nie Selar, skończyłby jako jedyna mokra plama na tej pustyni. On jednak zawołał na jego widok: „O kurwa, anioł!”, a potem, po chwili kłótni z samym sobą, wlaźł po pniu, by skrócić mu kark. Ugryzienie go w dłoń nie pomogło, ale pozwoliło Selarowi być choć moralnym zwycięzcą. Jego ostatnią myślą było jednak, że to wszystko przez tego cholernego Kłamcę. Z tym właśnie wyrzutem umarł i zawisł bezwładnie na sterczącym mu z piersi konarze.

Tak właśnie znaleźli go aniołowie.



Loki stał pod drzewem. Żując wykałaczkę, z uwagą przyglądał się dwóm aniołom ostrożnie ściągającym z drzewa ciało anioła Selara.

– Zawsze sądziłem, że jest to gość z kijem w środku – zwrócił się do stojącego obok archanioła Michała – ale nigdy nie myślałem, że chodzi o płuca.

Wódz Zastępów nie odpowiedział. Stał w bezruchu, wyprostowany, ze zmrużonymi oczami i mocno ściągniętymi wargami. Odczekał w tej pozie, aż aniołowie sfruną powoli na ziemię z ciałem cherubina i nakryją je jego własnymi skrzydłami. Dopiero wtedy postąpił krok do przodu, rozpalając głownię miecza.

Loki podrapał się po głowie.

– Wiem, że to może nieodpowiedni moment – powiedział – ale załapałeś, że chodziło mi o to, że miał kij w dupie, nie? Wiesz, to ważne, żebyśmy się dobrze roz...

– Mógłbyś przestać chociaż w takiej chwili – rozległo się za jego plecami.

Kłamca bez trudu rozpoznał głos Boskiego Posłańca. Sądząc po nagłym, mocnym podmuchu wiatru, Gabriel nie przybył sam, a w dość sporym towarzystwie. Komitet pożegnalny?

– Och, przecież dobrze wiecie, że to taki mój sposób na radzenie sobie z bólem i stresem – stwierdził Loki, odwracając się i rozkładając ręce w geście całkowitej bezradności. – Kpię, by nie ronić łez. By się całkowicie nie załamać. Bo sami powiedzcie, co się dzieje z tym światem? Najpierw jakiś szalenciec nagina rzeczywistość pod film i mało mnie nie wykańcza, a teraz to, co ten sam szalenciec zrobił z Sela...

Kłamca się zawahał.

Myśl, jakby to nie była normalna rzeczywistość, napomniał się. Jeżeli chcesz dorwać tego skurwysyna Crane'a, jest tylko jedna metoda – grać jego kartami. A jeśli tak, potrzebujesz schematu, kliszy. Potrzebujesz...

– Michale, zaczekaj! – Kłamca podbiegł do ciała. – Jeszcze się nie pożegnałem.

Wódz Zastępów uniósł brew.

– A czemu miałbyś to robić?

Odpowiedzią Lokiego było spojrzenie pełne wyrzutu.

– Ludzkie uczucia. – Kłamca wypluł wykałaczkę i przyłożył usta do zimnego czoła Selara. – Wy, aniołowie, nigdy nie zrozumiecie. Znaczy nie wszyscy, bo on...

Z namaszcczeniem pogładził smukłe palce martwego cherubina.

– ...zawsze rozumiał mnie doskonale.

– Powiedział, że to ty stoisz za tym wszystkim – przypomniał Michał, ale Loki tylko machnął ręką.

– Przyjaźń wybacza, archaniele – stwierdził, po czym nagle wstał i otrzepał ręce. – Ale dla drania, który mu to zrobił, wybaczenia nie znaję.

Sięgnął do kieszeni po pudełeczko wykałaczek i wsunął jedną z nich do ust.



– Teraz to sprawa osobista.

Choć nic się nie wydarzyło, nie nastąpił żaden błysk światła, żadne wibrowanie rzeczywistości czy trzęsienie ziemi, Loki wiedział, czuł podskórnice, że dzięki tej kliszy świat wskoczył na właściwy tor. Tor pościgu. No i była jeszcze ta druga, związana z raną Crane’a. Bo przecież bogowie nie krwawią.

Rozejrzał się wokoło, powiódł po twarzach zebranych aniołów i zatarł ręce.

– Słuchajcie! – zawołał. – Zdarzenie miało miejsce nie dalej jak kwadrans temu. Uciekinier jest jeden, w dodatku ranny. Biorąc pod uwagę jego ziemskie pochodzenie, może się poruszać z prędkością maksymalną około trzech mil na godzinę.

Podniósł z ziemi patyk i narysował na piasku okrąg.

– To mocno zawęży nam obszar poszukiwania i na nim skupimy się przede wszystkim, ale chciałbym też blokad i patroli tu, tu i tu.

Pozoznaczał na okręgu przypadkowe miejsca koślawymi krzyżykami.

– Poszukiwany nazywa się Marcus Lester, ale obecnie znany jest bardziej jako Dezyderiusz Crane. Musimy niestety założyć, że jest ubóstwiony w każdym możliwym znaczeniu. Ubóstwiony i niebezpieczny.

Przerwał i spróbował zrobić minę jak Tommy Lee Jones, ale przypomniał sobie, że tej mieszanki wzburzenia, złości i chłodnego profesjonalizmu nie da się osiągnąć zwykłą mimiką. Dlatego ograniczył się tylko do przepchnięcia wykałaczką z jednego kącika ust do drugiego.

– Do roboty – polecił.

Nikt nawet nie drgnął. Kłamca przejechał ręką po twarzy i odwrócił się powoli.

– Michale, czy mógłbyś łaskawie im powiedzieć, że to pilne?

Wódz Zastępów również nie odpowiedział. Zamiast tego uniósł miecz i pozwolił, by głównia zapłonęła niemal białym ogniem. Potem powoli ją opuścił i dotknął całunu ze skrzydeł otulającego cherubina Selara. Dopiero gdy ciało zajęło się ogniem, archanioł zaszczycił Kłamcę spojrzeniem.

– Jeżeli to człowiek, jakim problemem dla mnie będzie go odnaleźć w jednej chwili?

Loki westchnął.

– Wiedziałem, że całe to „aniele boży, strózu mój” jest chuja warte, bo wy nigdy nie słuchacie – mruknął. – Czego nie zrozumiałeś w „stał się bóstwem, być może najpaskudniejszym z mitycznych, bo na czasie i z nowym arsenałem sztuczek”? Teraz jest ranny, tak po ludzku, zwyczajnie, ale to tylko dlatego, że najwyraźniej potrzebuje jeszcze kilku spektakularnych akcji, by dopełnić swojej

przemiany, by pozbyć się pierwiastka ludzkiego i naładować baterie. Lecz już jest w stanie kontrolować rzeczywistość, wpychać nas ze świata realnego w ten posklejany z filmowych i komiksowych klisz. Zupełnie jakby ktoś wpuścił Andy'ego Warhola do boskiego studia.

– Kogo? – zapytał Gabriel zza pleców Kłamcy.

– Papieża sztuk komercyjnych, piewcę popkultury.

Kłamca zobaczył, że jego słowa odbijają się od twarzy archaniołów i rozplaszczone jak grzybki rykoszetują gdzieś między drzewa. Pokręcił głową.

– Dobra, Warhol to taki facet, co namalował zupeł, w porządku? To nie jest teraz najważniejsze. Ważne, że ten Crane to taki papież sztuk...

– Przed chwilą mówiłeś, że to bóstwo – poprawił Michał. – Z papieżem bez trudu damy sobie radę.

Kłamca zrobił pauzę. Zgiął się w pół, oparł ręce na kolanach, wziął dwa głębokie oddechy.

– No dobra, spróbuj go znaleźć.

Michał zamknął oczy, zamigotał... uniósł powieki.

– Nie mogę – stwierdził.

Wykałaczką w ustach Kłamcy się poruszyła.

– No to skoro już to ustaliliśmy, możemy wrócić do mojego planu? Teraz nasz uciekinier ma aż dwadzieścia pięć minut przewagi. Jeżeli naprawdę nie chcemy kłopotów, potrzebujemy sprawdzić pod każdym kamieniem, w każdej dziurze i nade wszystko w każdym domu.

Obejrzał się.

– Gabrielu?

– Tak?

– Czy możesz mi tu ściągnąć pilnie tych dwóch moich matolek? Najlepiej z jakimś samochodem.



*Crane jęczał jak baba.*

– Spierdalaj, to naprawdę boli.

*Tym, co bolało go rzeczywiście, była jednak jego wkurwiona ambicja. Nie umiał jej w sobie zdusić, nie umiał stłumić.*

– Jak masz tak gadać, to się lepiej w ogóle zamknij. Nie mam... nie mam siły jednocześnie iść i się z tobą przekomarzać.

*Powiedział to tak, jakby spacer kanionem w cieniu skał i drzew był naprawdę czymś strasznym. A przecież ledwie przed chwilą obmył twarz, ręce i ranę w orzeźwiająjącym strumyku, a teraz lekki podmuch wiatru przyjemnie muskał go po spoconych plecach. Paradoksalnie tu, na dnie kanionu, było dziś dużo chłodniej...*

*– Proszę cię, czy możesz się zamknąć?!*

*...*

*...*

*...*

*– Albo powiedzcie, co robimy?*

*To mam się zamknąć czy nie?*

*– Możesz zacząć gadać z sens... No dobra, nie obrażaj się już! Co robimy? I jak to w ogóle możliwe, że wtedy w hotelu strzały nic mi nie zrobiły, a teraz tak mnie sponiewierały?*

*Crane wiedział, dlaczego tak się stało. Wiedział, że to nic innego jak punkt zwrotny, i to najważniejszy w fabule. Punkt bez powrotu. Konfrontacja z największym przeciwnikiem, po której bohater odnosi obrażenia dla większego dramatyizmu przyszłych scen. Wiedział też, co należy teraz zrobić. Chwilę temu zabił anioła i cudem uniknął kolejnego zamachu ze strony zabójcy. Czy to możliwe, że to jednak spisek, a za zamachami od początku stali skrzydlaci?... Ej, zaraz, skąd to słowo?!*

*– Które?*

*No „skrzydlaci”.*

*– Bo mają skrzydła?*

*Tak, pomyślał Crane, mają, ale przecież to nie tak, że jest to określenie używane zamiennie, żeby użyć go tak po prostu. W narracji nie mogą się pojawić ot tak, naturalnie, nowe synonimy bez wyjaśnienia, bez...*

*– Ale przecież są skrzydlaci!*

*Crane nie rozumiał, więc jedyne, co pozostało, to wykpienie się przed nim intuicją. Wewnętrzna prośba, by zaufał swojemu przeczuciu. To słowo nie pochodzi od nas. Pochodzi od...*

*– Proszę p-pana!*

*Głośny, teatralny szept był niczym trzaskająca pod stopą sucha gałązka. Crane podskoczył jak mała dziewczynka...*

*– Ej!*

*...a gdy już się opanował i obejrzał, dostrzegł chłopca kucającego za wielkim kamieniem. W jednej ręce chłopiec trzymał sporych rozmiarów rakiety z zestawu*

*sztucznych ogni, w drugiej – zapalniczkę Zippo.*

– Niech pan się schowa – powiedział, marszcząc czoło. – Za-za-raz będę kasował boboki.

– Co takiego?

*Dzieciak popatrzył na Crane’a jak na idiotę. I słusznie, bo przecież każdy wie, co to są Boboki.*

– Tak? Jak jesteś taki cwany, to powiedz, czym są te, kurwa, boboki.

Chłopiec pokręcił głową.

– N-n-nie kurwaboboki, tylko boboki. To... to takie Hefalumpy i Wuzzle jak z *Ku-ku-kubusia Puchatka*, tylko prawdziwe – wyjaśnił. – Mieszkają z... węzami, ale czasami przychodzą do do do domu, włączają do do do szafy albo pod łó-łóżko, gdzie rzucają ka-kawałki pizzy i papierki po... cukierkach albo zaśmierdzają skarpetki.

*No właśnie. To właśnie są boboki, nieuku, zganiał się w myślach Crane za brak tak elementarnej wiedzy.*

– Dobra, dobra.

– To co, chowa się pan? – zapytał dzieciak. – Ta petarda jest prawdziwa.

*A Crane, nie chcąc ryzykować kolejnych obrażeń...*

– To był sarkazm?

*Nie, stwierdzenie faktu. Przecież nie chcesz, prawda? No właśnie, więc nie chcąc ryzykować, Crane schował się obok dzieciaka.*

– No dobra.

*A gdy już przykucnął... czy też raczej usiadł, sapiąc jak stara baba, przyszło mu nagle do głowy, że być może jest to najwyższa pora, by dokonać wielkiej woty. Czegoś, co całkowicie zmyli ewentualny pościg, czegoś...*

– Mów, o co ci chodzi!

*O to, żebyś wszedł w dzieciaka.*

– Pojebało cię?!!

*Dzieciak odwrócił się, przykładając zippo do ust niczym palec.*

– Ciii, wy-wy-wystraszy pan boboki.

– Przepraszam.

*Zaraz, już po cichu, by chłopiec nie usłyszał, mruknął pod nosem:*

– Już pomijam, że to ohydne, obrzydliwe i paskudne, ale jak pedofilski gwałt ma się do...

*Co?! Rany, dopiero w tym momencie dotarło do niego, jak bardzo plugawy jest jego umysł! W myślach zawstydział się, że w ogóle coś takiego przeszło mu przez głowę, że taka interpretacja...*

– Tak? To jest jakaś inna?

*Ot, chociażby taka, skarcił sam siebie, żebyś go opętał, idioto! I się w nim ukrył przed pościgiem!*

*Zapłonęło zippo, ale Crane położył rękę na ramieniu chłopca i powstrzymał go od podpalenia lontu.*

– Poczekaj jeszcze, chłopcze.

– Mam na imię Billy. Billy Ją-Jąkała. Tak na mnie mó-mówią.

*Crane uśmiechnął się jednym ze swoich najlepszych, telewizyjnych uśmiechów.*

– Dobrze, Billy. Ja jestem Dezyderiusz, ale nie, nawet nie próbuj tego wymawiać! Zamiast tego powiedz mi coś więcej o tych bobokach. Wiesz może, jak wyglądają?

*Chłopiec pokiwał głową.*



Bachus i Eros zjawili się w ciągu pół godziny. Przyjechali radiowozem; Eros zaparkował na zwirowanym poboczu i wysiadł. Zaraz po nim z samochodu wydostał się Bachus.

Wciąż byli w policyjnych mundurach, choć już nie tak regulaminowo dopiętych. Właściwie w przypadku Bachusa, zlizującego z palców resztki donutowego lukru, niedopięty było eufemizmem. Olbrzymi kałdun wylewał mu się bowiem spod poluzowanego gorsetu, a poły mundurowej koszuli łopotały swobodnie na wietrze.

– Jak tam, szefie? – zapytał Eros stojącego na poboczu Kłamcę. – W telewizji trąbią o tym skoku, że się podobno udał, ale...

Loki posłał wykałaczkę w pobliskie chaszczce. Te zagrzechotały z irytacją.

– Crane jest ranny, ale zwiął. Zabił anioła. Michał dowodzi pościgiem ze strony aniołów.

– Uuu, to niedobrze. – Eros zdjął okulary przeciwsłoneczne i przetarł je rąbkami koszuli.

– Zabitym aniołem jest Selar, więc w sumie to akurat nie wyszło aż tak źle – odparł Loki. – Teraz przynajmniej wiem, jak się przez skrzydlatymi wyłgać z serialu. Choć oczywiście nie będzie to miało znaczenia, jeśli nie dorwiemy Crane'a, zanim się pozbiera.

– Mamy na to jakieś szanse?

Kłamca rozłożył ręce.

– Trudno powiedzieć, co wymyśli, ale teraz oficjalnie pomagają nam aniołowie. Gabriel sprawdza sąsiednie stany. Chwilę temu zjawił się też Rafael, pobudował jakieś swoje drogi umysłu i teraz sprawdzają okolicznych ludzi głowa po głowie. Jeśli ktoś Crane’a zobaczy...

– Szefie, szybko! – zawołał Bachus od strony samochodu. – Musi pan tego posłuchać!

– Nie teraz. I co ci mówiłem o tych pączkach, tłuściec...

– Teraz, szefie! – Głos Bachusa przybrał na stanowczości.

I jak się okazało słusznie, bo gdy Bóg Wina pochylił się przez okno do wnętrza samochodu i podkręcił policyjne radio, okazało się, że wiadomość, którą tak się ekscytował, zdecydowanie warta była uwagi. Mieli go!

Lokalna policja właśnie informowała, że chwilę temu jeden z patroli zabrał z pobocza drogi aktora z serialu *Bóg pośród nas*, Marcusa Lestera.



– Gdzie on jest? – zawołał Loki wpadając na posterunek.

Miał na sobie prosty, ciemny garnitur, nie przesadnie elegancki, ale zdecydowanie nie tani. Kupił go po drodze, a potem dopasował i znieświeżył iluzją. W ręce trzymał stworzoną naprędce odznakę FBI.

– Gdzie jest Crane?!

Siedzący za biurkiem wąsaty zastępca wskazał na areszt kciukiem lewej ręki. Prawą podnosił słuchawkę.

– Moment, zadzwonię do szeryfa.

Ale Loki już nie czekał. Minął biurko i ruszył w głąb posterunku. Towarzyszący mu Bachus i Eros – w ponownie pozapinanych mundurach policyjnych – popatrzyli po sobie.

– Szkoda, że tego nie powiedział – stwierdził Bachus.

– Czego?

– Przejmujemy to śledztwo – odparł Bóg Wina. – Lokalni zawsze się po tym śmiesznie wkurzają. Znaczą na filmach.

Eros pokręcił głową.

– Zauważyłeś, co masz na sobie, cwaniaku? Ty sam jesteś teraz lokalny. I to z innego lokalu w dodatku.

– Ano, faktycznie – przyznał Bachus. – To może dobrze, że nie mówił.

Zastępca za biurkiem zamarł tymczasem w bezruchu rozdarty między możliwościami. Nie wiedział, czy powinien pognać za Kłamcą, wybrać wreszcie numer czy odezwać się do stojących przed nim grubasa i blondyna. Zanim zdążył podjąć tę decyzję, Loki wrócił.

– Idziemy – polecił i wyszedł przed posterunek.

Tam, na podjeździe, wsunął w usta nową wykałaczkę, docisnął obie dłonie do skroni, zamknął oczy i zamamrotał coś pod nosem.

– Co się stało? – zapytał Bachus.

– Wróc do środka i zapytaj, gdzie dokładnie go zwinęli. Konkretnie miejsce. Ze współrzędnymi GPS, jeśli się da. Jeśli nie, niech mi natychmiast ściagną ten patrol, który go tu przywiózł. Szybko!

Bachus odwrócił się na pięcie i pchnął przeszklone drzwi. Eros popatrzył za nim w zamyśleniu.

– Iluzja? – zapytał po chwili.

Kłamca pokręcił głową.

– Nie, to on, ale... ale nie on. To jest pusta skorupa. Crane, jego duch, świadomość, gdzieś zwiął.

– Kurwa! – Eros splunął i roztarł ślinę butem. – To on tak może? I co, teraz będziemy ścigać ducha?

– Nie ducha, tylko tego, kogo opętał. Tam musiał ktoś być. Im szybciej się dowiemy, kto to taki, tym większą mamy szansę, by go dorwać. Z jednej strony będzie teraz nieco słabszy, bo wiesz, nowa bryka, nie wszystko jest tak samo. No i na pewno prędzej czy później wróci tu po ciało, bo to jego marka. W tej wersji go znają. Ale z drugiej...

– Z drugiej, choć w realu to jakiś człowiek, to tak naprawdę jednak ścigamy ducha – powiedział Eros. – Kogoś, o kim nie wiemy zupełnie nic. A może mnóstwo ktosiów, jeżeli potrafi przeskakiwać z ciała do ciała jak w tym filmie z Danzelem Washingtonem, gdzie wszyscy śpiewali Stonesów.

Loki obrócił wykałaczkę w ustach.

– Właśnie. I, jasna cholera, *Fallen* to był taki dobry film...

Stali tak przez chwilę w milczeniu, gapiąc się na przejeżdżające samochody. Przed nimi rozciągała się senna panorama małego, kalifornijskiego miasteczka wyglądającego trochę jak uwspółcześniony plan *Zorro*. Te proste, bielone domy z ceglaną klepką, z balkonami porośniętymi winoroślą, otoczone bujnymi ogrodami. Nad nimi pyszniące się wielkie „M” McDonalda i reklama czegoś, co przejęło po Marlboro i Wranglerach rolę ducha Ameryki. Z tej odległości trudno było powiedzieć o owym duchu coś więcej prócz tego, że zdecydowanie miał

cycki.

W końcu drzwi za ich plecami otworzyły się i wychynęła zza nich głowa Bachusa.

– Chodźcie do środka, tu działa klima – zawołał. – A tamten patrol już jedzie.



*Crane rozejrzył się wokoło i jeszcze mocniej objął przemarznięte ciało ramionami.*

– Strasznie tu zimno – błysnął oczywistością.

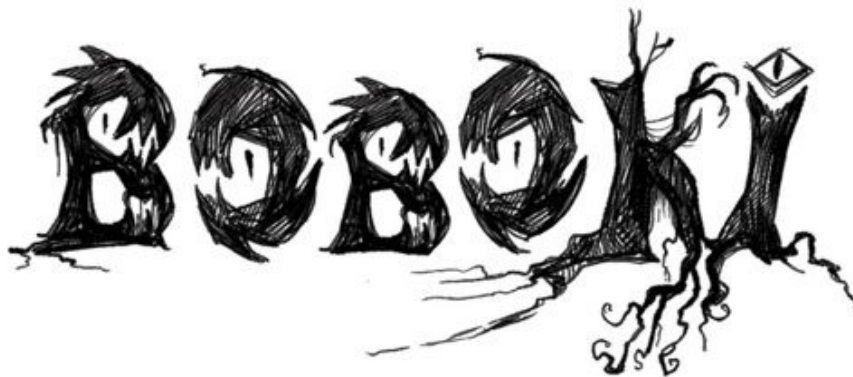
*Rzeczywiście, las, w którym się teraz znajdował, dziki, gęsty i mroczny, nie należał do miejsc najcieplejszych w świecie. Więcej nawet, był tak chłodny, zimny i nieprzyjemny, jak tylko może być dziecięcy koszmar.*

– I jeszcze ta cisza. Myślisz, że coś tu w ogóle mieszka?

*Zadarł głowę, ale dostrzegł jedynie szpony gałęzi czarnych drzew, rozczapierzone tak, by wylapać każdy promień słońca. Nieco niżej maleńkie kłęby mgły niczym mroźne oddechy wydyszane z czarnych otchłani dziupli sunęły powoli niczym niespieszna, ale już wypowiedziana klątwa.*

*Czy ktoś tu mieszka?, powtórzył w myśli pytanie i zaraz odpowiedział sam sobie:*

– Tak.





Dwa radiowozy zatrzymały się na żwirowym poboczu. Z pierwszego wysiadło dwóch lokalnych policjantów, z drugiego Bachus i Eros, a ostatecznie również wypuszczony z tylnego siedzenia Loki. Z pobliskiej kupy kamieni przyglądało im się dwóch aniołów.

Oczywiście widzieli ich tylko bogowie, ale Loki i tak rozejrzał się, zanim do nich podszedł. Stanął przodem do kamienia i rozpiął spodnie.

– Co ty robisz, Kłamco?! – krzyknął oburzony stróż, gdy strumień moczu prawie trafił w jego sandały.

– Jak to co? – nie zrozumiał Loki. – Dbam o zachowanie pozorów. Macie już coś?

– Ze trzy osoby w wyznaczonym obszarze – powiedział drugi anioł. – Trochę zwierząt, ale żadnych anomalii, podwójnych duchów, opętań.

Loki skończył sikać, zapiął spodnie i wytarł ręce o tylne kieszenie dżinsów.

– Nie wiem, czy dokładnie z czymś takim mamy tu do czynienia – stwierdził. – Jakies ślady obozowisk, może opon? Pobliskie parkingi?

Twarze obu aniołów powiedziały mu, że dostał już wszystkie odpowiedzi, jakie mógł od nich uzyskać. Odwrócił się więc na pięcie, włożył do ust wykałaczkę i skierował się w stronę czekających na niego mundurowych.

– Czy są tu jakieś parkingi, miejsca piknikowe czy jakiegokolwiek miejsce, w którym z założenia zatrzymują się samochody? Stacje benzynowe?

– Nie. – Brock, pyzaty policjant z gęstą czarną brodą i czołem tak wysokim, że sięgającym ciemienia, potrząsnął energicznie głową. – To znaczy, nie w odległości, którą można by pokonać pieszo.

Loki nie był pewien, czy go to przekonało, ale w obecnej chwili wiedział, że powinien ustalić jakieś ramy poszukiwań. Zawężenie ich do dystansu, jaki człowiek może pokonać na piechotę, wydawało się właściwe. Dumał przez chwilę wpatrzony w skupioną twarz Erosa, aż w końcu stwierdził:

– Idziemy!

Ruszył ścieżką między skały. W oddali, niemal na horyzoncie, rozciągał się wąwóz, w którym zginął anioł Selar.

Gdy uszli jakieś dwadzieścia jardów, Kłamca obejrzał się, ale nie dostrzegł aniołów na kamieniu ani w jego pobliżu. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie się podzieli, ale wtedy Bachus, który wychwycił jego spojrzenie, wskazał kciukiem niebo. Loki zadarł głowę i dostrzegł całe mnóstwo krążących nad ich głowami skrzydlatych uważnie obserwujących całą okolicę. Chyba po raz pierwszy ucieszył się na ich widok.

Szli dłuższą chwilę w milczeniu, mijając małe samotne wysepki skał, kępy pożółkłej trawy rosnącej uparcie na piasku, a nieco dalej karłowate drzewka schronione w cieniu tych nieco wyższych, za to niemal zupełnie pozbawionych listowia. Jedynymi towarzyszącymi im dźwiękami prócz szumu wiatru i odgłosu własnych kroków były trzaski i urwane słowa dochodzące z ustawionych na nasłuch policyjnych krótkofalówek.

Co jakiś czas zatrzymywali się tylko po to, by stwierdzić, że coś połyskującego między skałami to wewnętrzna, srebrna strona dawno wyblakłej torebki po czipsach, albo by znaleźć ślady po dawno już wygaszonym ognisku. Ponadto Bachus znalazł pudełko po prezerwatywach i oklejony zaschniętym sosem papier po kanapce z Subwaya, a Eros napęczniały od wilgoci i brudny od piasku egzemplarz „Strażnicy”. Dystans dzielący przedmioty wykluczał jednak jakiegokolwiek ich powiązanie.

– A szkoda – powiedział Eros, gdy Loki o tym wspomniał. – Byłby to piękny przykład powrotu do tradycyjnych metod pozyskiwania wiernych.

– Kuszono ich kanapkami? – zdziwił się Bunker, drugi z towarzyszących im policjantów, typ aryjskiego przystojniaka, choć brunet.

Bachus spojrział na niego jak na idiotę, co dla wtajemniczonych było podwójną obelgą.

– Jedzeniem – wyjaśnił. – I seksem. Całkiem niezła tradycja pozyskiwania i utrzymywania wiernych, jakby mnie kto pytał, zanim pewien cwaniak nie wpadł na pomysł, by obrzydzić ludziom jedzenie, mówiąc, że to jego ciało...

– No – zgodził się Eros. – Ja to się nawet włosy w zupie brzydę.

A potem jakby nagle obaj przypomnieli sobie równocześnie, czyje zastępy unoszą się nad ich głowami, bo zaraz, porzuciwszy znaleźiska, zgarbili się i zaczęli gorliwiej szukać kolejnych śladów.

Jednak to, czego szukali, znajdowało się dobre pół mili dalej. Potrzebowali jeszcze przeszło godziny, by zastępca szeryfa Brock mógł podnieść zjawisko z triumfem i zawołać:

– Znalazłem!



Stephen Denbrough skończył właśnie naprawianie obłuzowanego schodka wiodącego na ganek i podniósł się, by rozprostować zmęczone plecy i napić stojącej na stolku lemoniady, gdy dobiegło go skrzypienie skrzydła bramy.

Naoliwienie tego przeklętego zawiasu, pamiętającego jeszcze, podobnie jak i cała brama, czasy wojny secesyjnej, było następne na jego liście rzeczy do zrobienia, zanim jego żona Maggy wróci od rodziców. Czyli, inaczej mówiąc, do końca przyszłego tygodnia.

Wrota zaskrzypiały ponownie i Stephen wychylił się nieco, by zobaczyć, kto idzie. Dostrzegł swojego syna, Billy'ego, prowadzącego rower i mamroczącego coś pod nosem. Denbrough senior uznał, że chłopiec pewnie pracuje nad wymową zgodnie z zaleceniami logopedy, doktora Stevensa, i uśmiechnął się pod nosem. Zaraz jednak spojrzał na swój zegarek zawieszony na poręczy krzesła i spochmurniał. Nie zdawał sobie sprawy, jaka jest pora, i że dzieciak właśnie spóźnił się względem uzgodnionego czasu o dobre półtorej godziny. Stephen Denbrough nie uważał się za surowego rodzica, ale punktualność, wbijana mu do głowy od maleńkości, była dla niego niezwykle ważna. Dlatego teraz dopiął koszulę na zapadniętej klatce piersiowej, podciągnął spodnie i rozpiął pasek. Wyciągnął go ze szlufek jednym mocnym szarpnięciem i złożył w pół. Następnie powoli zszedł po właśnie naprawionych schodkach i ruszył w stronę zbliżającego się chłopca.

– Wiesz, która jest godzina, Billy? – zapytał, gdy był kilka metrów od niego.

Chłopiec jednak nie zareagował. Wciąż szedł z lekko pochyloną głową, wpatrzony w ziemię przed sobą; nadal mamrotał.

Stephen postąpił krok do przodu, chwycił pasek oburącz i trzasnął nim.

– Młody człowieku – zaczął, starając się brzmieć surowo. – Przypominam ci, że twoja matka, która... niech Bóg błogosławi tę cudowną kobietę... czasem folguje twoim złym nawykom, wyjechała i teraz nie będzie żadnej pobłażliwości dla...

Przerwał, gdy spostrzegł, że chłopiec nadal nie reaguje. Czyżby mu się coś stało? Może ktoś go napadł, zrobił krzywdę i przez to... Może to szok?

Opuścił pasek i postąpił krok w stronę chłopca. Byli już tak blisko siebie, że zdołał usłyszeć, iż chłopiec mamrocze:

– T-to nic sss-trasznego, nic sss-trasznego, zzz-upęlnie nic sss-trasznego...

Gdy chwycił syna za ramię, ten nagle uniósł głowę i spojrzał na niego tak obcym, nieobecny wzrokiem, że mężczyzna aż zadrżał.

– Billy, co ci? – zapytał.

– Bbb–oboki – odparł chłopiec, a potem mrugnął.

Wraz z nim mrugnął jakby cały świat. Rzeczywistość pograżyła się w mroku i pojaśniała na nowo; była już jednak dla Stephen Denbrough zupełnie innym miejscem niż przed chwilą.

Mężczyzna zdał sobie bowiem sprawę, że stoi właśnie w środku wielkiego pola kukurydzy.



– Znalazłem! – zawołał Brock, triumfalnie wymachując nieodpalonym fajerwerkiem. – Świeży, nienamokły.

Kłamca podszedł bliżej, przykucnął i z tej perspektywy uważniej przyjrzał się wszystkiemu.

To faktycznie mógł być ich trop, bo oprócz rakiety były tu opakowanie po batoniku wysmarowane nadtopioną czekoladą i zgnieciona puszka z resztką coli w środku. Były też ślady opon roweru, raczej nie pełnowymiarowego. Obrócił w ustach wykałaczkę i spojrzał w stronę Erosa. Ten w mig pojął znaczenie tego spojrzenia.

– Dobra, to teraz ja idę się odpryskać – stwierdził i ruszył w kierunku drzew.

Chwilę potem jeden z aniołów krążących im nad głowami również skierował się w tamtą stronę, obniżając lot.

– Tylko uważaj na grzechotniki! – zawołał za nim Bunker.

Eros machnął ręką, że w porządku.

Tymczasem Kłamca wykonywał teraz wszystkie czynności związane z badaniem miejsca przestępstwa, jakie podpatrzył w serialach i filmach. Uważnie obmacał okoliczne gałązki, papierek po batonie podniósł długopisem i zażądał worka na dowody, wiedząc oczywiście, że nikt go tutaj nie ma i mieć nie może. Potem wyprostował się, poskubał dolną wargę i zmarszczył czoło, jakby się głęboko zastanawiał. W rzeczywistości jednak raz po raz zerkał w stronę Erosa rozmawiającego z aniołem.

– Jeżeli się nie mylę – powiedział Brock, w zasadzie chyba tylko po to, by przerwać ciszę – to szukamy dzieciaka, może małego nastolatka.

Kłamca skinął głową, powstrzymując się od złośliwego komentarza, co zrobił – rzecz jasna – nie z dobroci serca, ale z czystego pragmatyzmu. W każdej chwili mógł potrzebować czegoś, co wiedzą tylko lokalni, na przykład...

– Czy ktoś taki przychodzi wam do głowy? – Bachus uprzedził jego niewypowiedziane pytanie. – W sensie, mieszkający w okolicy?

– W sumie... – Bunker podrapał się po potylicy. – W sumie to nie wiem. Znaczący dzieciak Tylorów ma jedenaście lat, ale trochę tu dla niego daleko. To samo dla młodej Jaaxów, zresztą nie sądzę, by ta mała bawiła się petardami.

– No nie – potwierdził Brock. – To prawdziwa młoda dama. Kiedyś, jak u nich byłem w sprawie wściekłego psa, to musiałem wypić niewidzialną herbatkę z jej czterema lalk...

– Pańskie życie towarzyskie, zastępczo, niespecjalnie mnie teraz interesuje – nie wytrzymał Loki. – Dużo bardziej ciekawi mnie, gdzie jest to dziecko, które, przypominam, mogło się znaleźć teraz w bardzo poważnym niebezpieczeństwie.

– No tak – zgodził się Brock i westchnął. – Cholera, przydałoby się więcej chłopaków ściągnąć, ale wszyscy pojechali obstawiać ten cholerny skok Falcon Brothers. Ludziom to się we łbach przewraca, agencie. A co do dzieciaków, to...

– Chwileczkę. – Loki uniósł rękę, dostrzegłszy, że Eros skończył rozmawiać z aniołem, i powoli ruszył w ich stronę. – Zaraz wrócę.

Spotkali się w pół drogi i szybko wymienili parę słów. Potem Loki został jeszcze przez chwilę w tamtym miejscu, udając, że rozmawia przez telefon. Gdy wrócił, zapytał Brocka:

– Mówi panu coś nazwisko Denbrough? Billy Denbrough.

– A, faktycznie – klepnął się w czoło Bunker. – Jest jeszcze mały Billy Jąkała. Rzeczywiście mieszka w okolicy.

– I faktycznie ma rower – przytaknął Brock. – Dobra, jedźmy tam.

– Zna pan adres? – upewnił się Kłamca.

– Tak, jasne. To pierwszy dom na lewo, jakbyśmy wracali do miasta z miejsca, gdzie stoimy samochodami. Zaraz zresztą zadzwonię do Stephena Denbrough i...

Umilkł w pół słowa zdzielony w kark przez stojącego za nim Bachusa. Niemal w tym samym momencie na ziemię osunął się również ogłuszony przez Erosa Bunker.

Kłamca się uśmiechnął.

– To co chłopaki, czas na Angel Express?

Jak na zawołanie z nieba sfrunęli skrzydlaci, by niechętnie, ale bez najmniejszego słowa sprzeciwu zanieść ich, skrytych pod osłoną niewidzialności, pod wskazany adres.



*Crane rozglądał się teraz tak nerwowo, że gdyby faktycznie miał w tej chwili głowę, a nie tylko jej mentalną projekcję, ani chybi skrzyłby sobie kark.*

*– Dziwisz mi się? Dziwisz się, kurwa?! – popiskiwał jak małe dziecko.*

*Tymczasem las wokół niego, gęsty, ciemny i pełen wpatrzonych w niego zmrużonych oczu...*

– Nie pomagasz!

*...nie był niczym innym jak lękami dziecka. Światem równie nieprawdziwym jak popkulturowe rzeczywistości, które przecież Crane z coraz większą łatwością kreował. Teraz wystarczyło tylko, by stworzył sobie to miejsce podług własnych potrzeb. Przearanżował las i strachy na swoją twierdzę i gwardię gotową chronić go przez zabójcą i aniołami.*

– Ten zabójca jest w jakimś sensie moim ojcem – powiedział zupełnie bez związku z czymkolwiek Crane. I w dodatku nieprecyzyjnie, bo zabójca równie dobrze mógł być kimś związanym ze scenariuszem serialu albo...

– Nie, to jest coś więcej. Czuję, że się zbliża, że jest tuż za nami, i niemal wyczuwam jego myśli. To tak, jakbym miał wgląd do jego głowy, ale tylko przez zadymioną szybę. Widzę, jak rozmawia z kimś, i czuję, że już jest na tropie tego małego. A co, jeśli...

*...nas znajdzie? Crane znał odpowiedź na to pytanie. Wiedział, że to, co ukryte w umyśle dziecka, może zginąć razem z nim, ale wcale nie musi. A jeśli nie umrze, to gdzieś się przeniesie i wtedy już na pewno go nie znajdą. Zabójca pewnie też to wie, skoro myśli tak samo, więc spróbuje wejść tutaj, do tego lasu, spojrzeć w te zagadkowe, przerażające oczy i nas odnaleźć. Dlatego warto...*

– ...być gotowym – powiedział Crane, chyba nareszcie rozumiejąc, o co chodzi.

– Tak, chyba tak. Dobra, to od czego zaczynamy?

*...zapytał, ale tak naprawdę to też wiedział. W głowie kołatało mu się bowiem stare powiedzenie: „Chcesz zmieniać świat, zacznij od samego siebie”.*



Potrzebowali raptem kilku sekund, by znaleźć się przed domem chłopca, ale potem Kłamca przypomniał sobie, że mają przecież rozmawiać z dzieckiem, więc zażyczył sobie zostawionego w radiowozie misia.

Anioł, który przed chwilą niósł Kłamcę, a którego ten wcześniej mało nie osikał, popukał się w czoło.

– Chyba do reszty straciłeś rozum, jeśli myślisz, że anioł pański będzie twoim chłopcem na posyłki – powiedział.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Jeszcze chwilę temu był taksówką – stwierdził. – A teraz z pewnością woli przynieść mi misia, niż tłumaczyć się z odmowy panu płonącej gębie. Mam rację?

Anioł wpatrywał się przez chwilę gniewnie w Lokiego, ale ten zamiast odwrócić wzrok, opuścił okulary przeciwsłoneczne i zaczął zmieniać kolor i kształt tęczy, tak że jego oczy wyglądały przez chwilę jak kręcące się bębny w jednorękim bandycie: wisienka, uśmiezek, gwiazdka, serduszko, dolar, uśmiezek. Wreszcie w jednym oku pojawił się napis BÓG, a w drugim – TAK CHCE.

– No już, szybciotko, bo nie mamy czasu. – Loki odgryzł kawałek trzymanej w zębach wykałaczki i wypluł ją na ziemię. – Misiek albo Michał. Jak będzie?

– Nijak! – warknął anioł, ale zaraz po tym zniknął.

Loki odwrócił się do Bachusa i Erosa.

– Widzicie? A potem się dziwić, że jak z nimi tyle siedzę, to mi spada poziom ripost. Idźcie sprawdzić, czy jest w domu.

– Kto? – upewnił się Bachus.

Kłamca rozłożył ręce.

– Ktokolwiek. Najlepiej dzieciak, ale faktycznie nie wiemy, z jaką łatwością ten dupek może się teraz przenosić. Na wszelki wypadek, jak usłyszycie, że ktoś śpiewa Stonesów...

– ...zdzielić przez łeb – dokończył Eros. – Jasne, szefie.

Obaj bogowie ruszyli w stronę budynku, a Loki powiódł wzrokiem po zebranych wokół niego aniołach. Przyjrzał się ich pozbawionym wyrazu twarzom, pustym oczom, zaciśniętym ustom. Zatarł ręce.

– Dobra, a to znacie? Przychodzi Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch święty do baru...

Nie dokończył, bo nagle tuż obok niego zjawił się, posapując, skrzydlaty z Kłamczuchem w ręce.

– Masz – warknął anioł. – I rób swoje, mityczny pomociu!

Kłamca wziął do ręki pluszaka, obejrzał, po czym przeniósł wzrok na anioła i uśmiechnął się paskudnie.

– Uważaj sobie, stary. Ostatni z was, który mnie wyzywał, skończył z wielkim drągiem w piersi.

Po czym, nie czekając na odpowiedź, również ruszył w stronę domu, podśpiewując głosem Jaggera, że czas jest po jego stronie. Mimo że wcale a wcale tak w tym momencie nie uważał.



Jeżeli do tej pory Kłamca nie miał jeszcze pewności, że jest w dobrym miejscu, to gdy wstąpił na pierwszy ze świeżo wyremontowanych przez Stephena Denbrough schodków, stracił wszelkie wątpliwości. Nagle świat wokół jakby zwolnił, wiatr zaskrzypiał bujanym fotelem, mucha szarpnęła się na żółtej wstążce lepu, a opięte dziurawą siatką drzwi broniące dostępu do ciemnego wnętrza domu łupnęły z impetem o ścianę i tak już zostały.

Kłamca wyjął i odbezpieczył broń. Powoli wszedł do środka, w jednej ręce ściskając spluwę, a w drugiej – pluszaka. W głowie kołatała mu się teraz tylko jedna myśl: a jeśli zakładając chwilowe osłabienie Crane'a, jednak się przeliczył? Co będzie, jeśli to wszystko jest sprytnie obmyśloną pułapką, w którą zwyczajnie dał się wciągnąć?

– Cóż – powiedział na głos, patrząc, jak jego oddech wprawia w drganie drobinki kurzu tańczące w promieniach światła wpadających przez wąskie okienko nad drzwiami. – Wtedy chociaż konwencja będzie po mojej stronie.

Nie był pewien, czy to prawda, ale ta myśl wystarczyła, by wciągnął w płuca powietrze – wraz z zapachem pieczonych jabłek unoszącym się w całym domu. Przystąpił próg salonu. Tam już czekali Bachus i Eros, pochyleni nad fotelem zwróconym tyłem do wejścia.

– Jest tutaj – powiedział Bachus. – Chłopak. Chyba w jakimś transie.

Loki skinął głową i schował broń do kabury. Jeżeli dobrze myślał, tam, dokąd zaraz pójdzie, spluwa nie na wiele mu się przyda. Odłożył Kłamczucha na szafkę obok.

– Byłem już kiedyś w podobnej sytuacji – powiedział. – Tyle że wtedy była to pułapka zastawiona przez Belzebuba. Skłonił mnie, bym wszedł do umysłu własnej żony i...

Nagły powiew ciepłego powietrza i blask, który wypełnił pomieszczenie, sprawiły, że Loki przerwał w pół zdania, a potem odczekał cierpliwie, aż zmaterializowany archanioł Michał przyjmie swoją ulubioną pozę – z mieczem skierowanym ku ziemi, owinięty najniższą parą skrzydeł, z najwyższymi wzniesionymi ku chwale Pana. Tatuaż na twarzy Wodza Zastępów ledwie się tlił, co Kłamca uznał za przyzwolenie do żartów:

– Ledwie wspominam o wchodzeniu we własną żonę, a ty już się zjawiasz, stary zboreźniku.



Michał nie odpowiedział na zaczepkę. Postąpił kilka kroków do przodu i przyjrzał się uważnie dzieciakowi.

– To on? – zapytał, zaciskając mocniej palce na rękojeści miecza.

– *Nope.* – Kłamca pokręcił głową. – Ale jest gdzieś tam w środku. W umyśle tego małego. I nikt nie wie, co tam właściwie namieszał.

Michał westchnął, uniósł miecz i zaczął odmawiać po łacinie słowa modlitwy. Bachus i Eros wymienili spojrzenia, a potem obaj zwrócili się w stronę Lokiego. Ten w spokoju włożył do ust wykałaczkę i podniósł z szafki misia, a potem, zanim miecz archanioła opadł choć milimetr, wsunął się między Wodza Zastępów a chłopca.

– Przemoc nie jest sposobem na wszystko, Michale – powiedział. – Powinieneś pójść na jakąś terapię, stary, serio.

– Zejdź mi z drogi, Loki – wycedził archanioł.

– I co, pozwolić ci go zabić? A jeśli umysł tego dzieciaka jest sprzężony z czymkolwiek innym? Innym wymiarem, innym umysłem, bratnią duszą? A jeśli zabijając smarkacza, po prostu odetniesz sznurek balonika i pozwolisz Crane’owi ulecieć w przestworza, by mógł tam sobie szybować i srać nam na głowy, hę? Co wtedy?

Michał opuścił miecz.

– A co ty chcesz zrobić?

Loki się uśmiechnął.

– O widzisz. Tak lepiej. Odwołajmy się do zawodowca. – Odwrócił się na pięcie. – Bachusie, Erosie, znajdźcie mi wszystkie książeczki dla dzieci, jakie są w domu. Jeżeli chłopiec ma jakieś pamiętniki, zeszyty z notatkami, rysunki, to je również przynieście. To będą nasze czerwone pantofelki, w których wstąpimy na żółtą ścieżkę.

– Pantofelki? – zdziwił się Michał, ale Loki tylko pokręcił głową.

– Nie zrozumiesz.



*Crane przyjrzał się swojej pracy i uznał, że jest dobra.*

– Zbyt patetyczne – stwierdził krytycznie, zapominając chyba, że jest bogiem.

– Nie, nie zapomniałem, tylko uważam, że nie ma co jechać patosem, w dodatku kradzionym. Ale faktycznie, odwaliliśmy tutaj kawał dobrej roboty i mam wrażenie, że jesteśmy gotowi. W takim stopniu, w jakim możemy być

gotowi, bo nie czuję się tu aż tak mocny jak wcześniej.

*To się okaże, pomyślał i szerokim łukiem ominął kałużę, by nie przejrzeć się w jej odbiciu. Było w jego postaci coś dziwnie odrażającego.*

– No ej, sam mówiłeś, że takie być powinno.

*Wiem, ale i tak... fuj.*



– Czy tak? – zapytał Bachus.

Rozstawił kolejną blendę. Jakim cudem omijał przy tym wszystkie leżące teraz na ziemi przewody, chyba tylko on jeden wiedział.

Loki uniósł głowę znad pogniecionego bloku rysunkowego i przez chwilę zastanawiał się, marszcząc czoło. Wreszcie machnął palcem.

– Odrobinę w lewo, nie może zachodzić na ekran. I pokażcie mi to z rzutnikiem.

Któryś z licznych krzątających się teraz po mieszkaniu aniołów wcisnął wtyczkę w listwę i reflektor rozbłysnął najpierw mdłym i słabym, ale z każdą chwilą coraz mocniejszym światłem. Na ekranie pojawił się obraz kontrolny.

Loki postukał się w nos.

– Nie, było dobrze przed chwilą. Jeszcze trochę w prawo. O tak, świetnie. Teraz góra, ale nie za mocne, żeby nam nie osłabiło obrazu. Bachusie, nałóż na to jakieś czerwone filtry.

– Nie ma – odparł Bóg Wina.

– Dlatego zwracam się do ciebie właśnie. Pokryj szybkę jakimś dobrym rocznikiem czerwonego, powinno zadziałać.

– Tak?

Loki wciągnął w płuca zapach czerwonego wina rozgrzanego żarem bijącym z lamp i uśmiechnął się.

– Właśnie, coś takiego. Michale...

Archanioł odwrócił się i spojrzał wyczekująco.

– Zwalniam cię – powiedział Kłamca.

Po krótkiej pauzie trwającej akurat tyle, by wykałaczką przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego, dodał:

– Wybacz, zawsze chciałem to powiedzieć.

Archanioł tylko pokręcił głową.

– Dostaniesz dobrą, Kłamco – powiedział. – Jeżeli po tym czasie nie wrócisz,

to umrzesz tam lub będziesz skazany sam na siebie, bo dzieciak zginie.

– Tak, zrozumiałem za pierwszymi trzydziestoma razami. – Kłamca raz jeszcze zerknął do trzymanego w ręku bloku. – Czy Eros z podfruwajkiem już wrócili z tymi skanami? Bez tego nie możemy zaczynać.

– Jeszcze nie – sapnął Bachus, odkładając na bok bęben z kablem. – Nie wiem, co im tyle zajmuje. Ciężarówka ze sprzętem zdążyła już wszystko przywieźć, a ci guzdrają się, jakby...

– Jakby co? – Eros, który zmaterializował się nagle wraz z trzymającym go w objęciach aniołem, podał Kłamcy płytę CD. – Kolejka była do komputerów, a do tego skaner się zepsuł. No ale już jest wszystko, czego trzeba.

– Świetnie – Kłamca podszedł do komputera, uruchomił płytę, ustawił rzutnik.

Na ekranie tuż przed twarzą chłopca pojawił się ogromny dziecięcy rysunek przedstawiający mroczny las pełen żółtych oczu ukrytych w gęstwinie. Loki wyregulował jeszcze czerwone światła i boczne blendy, kazał poprawić zasłonę w oknie, by nie wpuszczała dodatkowego światła. Następnie skinął na Bachusa, żeby włączył maszynę do dymu.

– Dawajcie mi tu miśka. I kostium.

Któryś z aniołów podał Kłamcy duże kartonowe pudło. Loki rozerwał opinającą je taśmę i zajrzał do środka.

– Co to, kurwa, jest?

Bachus zerknął mu przez ramię.

– No królik, tak jak chciałeś – powiedział.

– To jest królik?! To jest, twoim zdaniem, królik?!

Bachus popatrzył za plecami Kłamcy na Erosa, a ten wzruszył ramionami. „Czepiałeś się mnie o spóźnienie – mówił ten gest – to teraz radź sobie sam”.

Bóg Wina westchnął.

– No bo tak sobie pomyślałem, że jak ma być popkulturowo, to przyniosę ci...

– Oskórowane truchło?

– No nie – wtrącił się Eros. – To z jest *Donniego Darko*. Kojarzysz? Taki film, gdzie pewien nastolatek...

– Tak, znam, kurwa, *Donniego Darko*! – Kłamca przejechał ręką po twarzy, po czym spojrział na wiszący na ścianie zegarek. – Dobra, jebać to, nie ma już czasu.

Pochylił się nad pudłem. Wyjął z niego kostium, który rzeczywiście przypominał trochę wielkiego królika z oskórowaną głową, psychodelicznie

wielkimi, czarnymi oczami i wielkimi zębiskami sterczącymi z rozdziawionej paszczy.

– Dzieciak mnie za to nie polubi, ale przynajmniej jest szansa, że będę straszniejszy niż te jego...

Sprawdził w notatkach.

– ...boboki.

Wsunął nogę w nogawkę kostiumu.

– A właściwie to jak to wszystko ma działać, Loki? – zapytał Eros. – Po co ta cała szopka, te dekoracje? Przecież robiłeś już bardziej skomplikowane iluzje.

– Tak, ale wtedy mogłem je kontrolować cały czas. Zakładam, że tu nie za bardzo będę mógł, nie po tamtej stronie. A dzieciak musi mi cały czas kreować tunel z drogą powrotną. Stąd ta wizja, którą będziecie podtrzymywać.

Przerwał na chwilę, by wciągnąć na siebie resztę kostiumu, założyć maskę i poprawić jej ułożenie. Następnie złapał miśka.

– Zresztą, jeśli dobrze mi się wydaje, to jest szansa, że będziecie widzieć, co się dzieje u mnie na tym obrazku, bo mały zafunduje wam projekcję zwrotną – powiedział. – To znaczy nie wiem, czy tak jest, ale tak podpowiada mi intuicja. A że ta w obecnej chwili może pochodzić od naszego uciekiniera, warto spróbować.

Przechrząpał do lustra i przejrzał się w nim, lekko przechylając groteskowo paskudną, przerażająco fascynującą głowę. Podciągnął bure, pozlepiane futro pokrywające resztę jego ciała i wsunął wykałaczkę między sterczące zęby. Myślał przez chwilę o okularach, ale ostatecznie uznał, że zepsułyby efekt. Wrócił na swoje miejsce obok ekranu.

– Bachusie! – zawołał, a gdy Bóg Wina podszedł, położył mu rękę na ramieniu. – Po pierwsze, sorry za tego motylka i kacuzzkę...

– Jaką kacuzzkę?! – Bachus odskoczył jak oparzony.

– Żartowałem – odparł Kłamca, ale po uśmiechu królika trudno było stwierdzić, co tak naprawdę było żartem. – Po drugie, stary, wiem, że ostatnio trochę mieliśmy spin, ale sądzę, że teraz ty jeden możesz mi pomóc przy tej akcji. Był czas, że patronowałeś teatrowi i wciąż jeszcze umiesz opowiadać historie, nie? No i terminowałeś u Knoxa.

Bachus zamrugał, bojąc się odpowiedzieć. Wyczuwał pułapkę, ale nie miał pojęcia, z której strony padnie cios. Tym razem jednak nie było złośliwości. Kłamca w stroju królika zatupał nerwowo i podrapał się po tyłku.

– Chodzi o to, że ten gość, ten Crane, ma jakby własną narrację, która mu pomaga. Coś tak jakby głos z jego głowy wylał się na zewnątrz i miał wpływ na

otoczenie, rozumiesz?

Bachus pokiwał głową. A zaraz potem nią pokręcił.

– Ni cholery – przyznał.

Za to Eros najwyraźniej załapał, bo zapytał:

– Chcesz, żeby Bachus był twoją narracją, tak? Taką kontrą dla tamtej?

Loki łypnął dyskretnie na Michała, który czekał w pewnym oddaleniu owinięty skrzydłami i na przemian rozpałał, to znów gasił płomień swojej twarzy. Następnie pochylił się lekko do przodu i półgłosem powiedział:

– Tak, potrzebuję zarówno narracji, która pozwoli mi tam przeżyć, jak i – tu spojrzął na Erosa – odpowiednich działań, by płonącej gębie nie odwaliło. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie ma tu Gabriela. Z nim byłoby, cholera, łatwiej.

– No pewnie właśnie dlatego, szefie – westchnął Eros. – Musieli się w końcu połapać, że nim kręcisz. Miśka bierzesz?

Kłamca pokiwał głową.

– Wyglądam jak koszmar, to chociaż miłego ze sobą wezmę. A, no i właśnie. Pamiętaj, Bachusie, że to bajka dla dzieci. Nie za ostro w opisach, wszystko miłe, bajkowe, wczesny Disney. Nikomu nie wpierdalam, tylko...

– ...przyfandzalas?

Kłamca skinął króliczą głową.

– Może być. To co? Zaczynamy?

Ustawił się przed chłopcem, przyjmując króliczą pozę z ugiętymi kolanami, dłońmi przy piersi i wypiętym tyłkiem.

– Pierwszemu, który się zaśmieje... – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Ale Bachus nie dał mu dokończyć. Przyłożył palec do ust, po czym podszedł do małego Billy'ego, z trudem przyklęknął przy nim i przysunął usta do jego ucha, a potem zaczął opowieść:

Dawno, dawno temu, a może wcale nie, może całkiem niedawno. W lesie ukrytym za siedmioma wzgórzami i ośmioma jeziorami, ale tylko jedną rzeką, choć pełną bocznych odnóg, mieszkał sobie mały, brzydki Królik, który całymi dniami skakał jak pojeba... znaczy dużo skakał.

Kiedyś dawno, dawno temu Królik miał przyjaciółkę, Kangurzycę, z którą oddawał się swojemu hobby, ale potem Kangurzyca zaszła w ciążę i przeniosła się na lepszy kontrakt do innej bajki, gdzie oferowa... Auuu! Skakać miałeś, a nie kopać!

Potem przez chwilę był jeszcze Tygrys, który jednak brykał paskudnie, brutalnie i nie nadawał się na kolegę. Zawsze miało być tak, jak on chce, a jak nie, to zaraz żarzyły mu się oczy, a pomarańczowy pysk wyglądał, jakby w każdej chwili miał stanąć w ogniu. Z kimś takim nie da się bawić.

No więc ostatecznie Królik został sam, za jedyne go kumpla mając swojego pluszowego misia, który jednak nie umiał skakać, jak się nim mocno nie rzuciło. Na przykład o skalną ścianę. Albo

o drzewo, albo...

(Streszczaj się).

W każdym razie Królik znalazł sobie jedyne miejsce na świecie, gdzie jego skakanie nie przeszkadzało zupełnie nikomu, bo nikt się tam w zasadzie nie zapuszczał. Na skraju... lasu BOBOKÓW.

Straszne to było miejsce, że ho-ho, a nawet że HO-HO-HO. Paskudnie wykoślawione drzewa wyciągały swe szponiaste gałęzie po biednych wędrowców, pnącza snuły się niczym węże po listowiu śliskim i lepkiem jak smocza łuska, a zza pni i krzewów nieustannie łypały przekrwione, żółtawo-czerwone ślepia.

Najodważniejsi podróżnicy bali się tam zapuszczać, a gdy któryś w końcu wyruszył przed siebie błotnistą ścieżką, nigdy go później nie widziano. Mówiono potem, że stał się jednym z przerażających mieszkańców lasu. I tylko pan Józek, zwany przez niektórych Strachem na Wróble, mówiąc to, miał na myśli wiewiórki.

Czy Królik wiedział to wszystko i po prostu się nie bał? Czy może zwyczajnie nie miał o tym pojęcia lub ostatecznie uznał, że kogoś tak strasznie brzydkiego nikt nie porwie? Trudno powiedzieć, ale pewne jest jedno...



DOBRA, CHYBA WSZEDŁEM.



*Crane poczuł, że rzeczywistość zadrzała. Powietrze zafalowało jak nad ogniskiem, drobne listki i pył pokrywające drogę uniosły się lekko, stare upiorne drzewa zaskrzypiały zniecierpliwione. To mogło oznaczać tylko jedno.*

*– Ktoś wszedł do naszego lasu – zaświergotała trójjaka wrona z jelenim porożem i węzowym ogonem.*

*– Ktoś drepta naszą ścieżynką – dodał niedźwiedź pozbawiony połowy pyska, za to bogatszy o dwie umięśnione ręce i pół wilczego tułowia przyszytego do pośladków.*

*– Ktoś... – zaczęło gnijące truchło wiewiórki, ale Crane nie wytrzymał.*

*Uniósł łapę na znak, że mają się uciszyć, i powiedział, szczerząc się w paskudnym uśmiechu:*

*– Ktoś przyszedł tu po śmierć!*

*Cały dziki bobokowy las zawył z aprobatą. A skowyt ten wzniósł się ku czarnym, osmolonym liściom porastającym korony drzew, ku kratom splecionych ze sobą gałązek powiązanych oślizłymi pnączami. Odbiwszy się od nich, zrykoszetował w dół, ku spulchnionej, użyźnionej rozlicznymi truchłami ściółce i dalej, między pniami, drąc się o krzewy i uschnięte badyle aż dopadł tego, który był tu niepożądanym gościem.*



Kłamca przystanął i nastawił króliczych uszu. W tym miejscu były to również jego uszy, kostium bowiem stał się jego skórą, oczy i uszy – jego oczami i uszami, a to paskudne ryło ze sterczącymi zębiskami...

*– Cholera, mam nadzieję, że uda się to jakoś cofnąć – mruknął i musnął jęzorem wykałaczkę wystającą spomiędzy zębów.*

Echo skowytu niosło się jeszcze po lesie, ale choć nieprzyjemne i drażniące, nie budziło w Lokim przerażenia. Nie takie rzeczy słyszał, nie z takimi paskudztwami dawał już sobie radę. Mimo to rozejrzał się za jakimś patykiem, który w razie potrzeby posłużyłby mu za broń. Spojrzał też na trzymanego w ręce miśka.

*– Mógłbyś chociaż w bajce chodzić na własnych nogach, cholero –*



westchnął. – Ciężki jesteś, zwłaszcza dla królika.

Miś nie odpowiedział. Zamiast tego pluszową łapką wskazywał na coś, czego zdecydowanie nie powinno tam być. Na wielki, ogromny wręcz rewolwer wbity lufą w kamień. Takie coś mógł wymyślić tylko najbardziej pijany narrator bajki, jaki...

Loki wyszczerzył królicze zęby.

– Dzięki, Bachusie.

Echo wraz ze skowyttem poniosło głośne: „Nnnie ma za co!”.



Michał nie lubił określenia „szopka”, kojarzyło mu się z całym tym zamieszaniem wokół narodzin Zbawiciela. Zamieszaniem, jakie on z pewnością rozegrałby zupełnie inaczej. Bo jakże to – Syn Boży, a w stodole, na sianie tak łatwopalnym, że Wódz Zastępów nie mógł być blisko i służyć swym mieczem, nie stanowiąc jednocześnie zagrożenia dla wszystkich zebranych.

Nie, „szopka” zdecydowanie nie było słowem, którego Michał lubił używać. Ale tego, co działo się w tym kalifornijskim domku pełnym aniołów, dawnych, zapomnianych bogów i sprzętu RTV, nie dało się inaczej określić. To znaczy nie dało się, jeśli by się chciało zbudować typowo ludzką metaforę, nie będąc w tym za dobrym i kreatywnym. A archanioł oczywiście nie był.

Teraz patrzył na eterycznego Lokiego, przebranego za paskudnego królika i drepczącego w miejscu przed śpiącym na siedząco dzieckiem, oraz na Bachusa klęczącego przy chłopięcym uchu i szepczącego wymyślaną naprędce bajkę. Czekał, aż zjawi się tu Gabriel. On przynajmniej znał się na szopkach.

On, Michał, załatwiłby to wszystko zupełnie inaczej.



Czy ten wielki, wielki pistolet był Królikowi naprawdę potrzebny? Przecież on tylko chciał skakać spokojnie tu i tam, nie wadząc nikomu. A może i nawet znaleźć w tym ciemnym lesie nowego przyjaciela. Takiego jak Kangurzyca z dawnych dni i zupełnie nie jak ten głupi Tygrys.

Jeżeli jednak było coś, co Królik wiedział o ciemnych lasach, to z pewnością to, że nie wszystko jest w nich tak, jak by chciał, i czasem można się natknąć na niespodzianki. A to kupę ukrytą w liściach, a to nielegalne śmietnisko... Najstraszniejsze były jednak Boboki: nikt nie wiedział, czym są, ale i tak nikt ich nie lubił. A stara bajkowa prawda mówiła, że jak coś zobaczysz i ci się spodoba, to to całujesz i się z tym żenisz. Jak ci się nie spodoba, robisz temu

wymyślną i widowiskową krzywdę. Jeżeli oczywiście masz czym.

Dlatego właśnie Królik położył teraz misia przy kamieniu, włożył na głaz i oburącz chwycił za broń. A potem szarpnął z całej siły i...



Zniecierpliwiony Królik zatupał nerwowo nóżką, po czym zeskoczył z kamienia i przyjrzał mu się uważnie. Dopiero wtedy dostrzegł napis „Tej broni dobędzie tylko Król”. A on przecież nie był królem, a jedynie...

– Zaraz, zaraz – postukał łapką po wystających paskudnych, och jak paskudnych... (znowu przeginasz)

...zębach. A potem przesunął misia i zobaczył, że wcale nie chodziło o króla.



Królik przyjrzał się trzymanemu w łapkach rewolwerowi, myśląc przez chwilę, że jakby teraz strzelił sobie pod nogi, to siła odrzutu wybiłaby go taaak wysoko, że ho-ho!

Ależ to byłby cudowny skok, pomyślał, ale mimo wszystko oparł się pokusie. Rewolwer miał bowiem w bębunku ledwie sześć kul. A kto to wiedział, ile paskudnych niebezpieczeństw czaiło się w tym ciemnym lesie?

No i jak właściwie zabija się Boboki? Czy wystarczy je trafić srebrną kulą jak wilkołaka? Czy trzeba trafić w głowę jak zombie? A może jeszcze jakoś inaczej?

Królik nie wiedział, nie znał się na Bobokach, tylko na skakaniu. Ale ta wiedza wystarczyła mu, by mieć pewność, że teraz, gdy był uzbrojony, miał swojego misia i cel, to nikt nie dałby rady mu... ha-ha... podskoczyć.

(Słaby żart).

...powiedział cwaniak w stroju upiornego królika z półamatorskiej psychodelii, po czym chwycił spluwę oburącz i pokicał w głąb lasu.



*Boboków były setki, jeśli nie tysiące, i wszystkie wyglądały, jakby nieustannie szukały dla siebie części zamiennych. Wielki bury wilk doszył sobie do grzbietu zgrabne kobiece nogi w szpilkach i parę męskich, owłosionych, w skarpetkach. Crane zastanawiał się, skąd zwierzę wzięło te kończyny, i doszedł do wniosku, że nie chce wiedzieć. Może jakaś parka udała się na sekwipnik i miała pecha, może...*

– Ej, przecież sam powiedziałeś, że nie chcę wiedzieć!

*Ale przyznasz, że wygląda jak jakiś pajęczak, nie?*

– No!

*...przyznał Crane. A potem raz jeszcze omiół wzrokiem tę swoją armię, przyjrzał się zrobionym naprędce fortyfikacjom ułożonym z zaschniętych drzew, usypanym z kamieni i uszczelnionych mchem lepkiem od śluzu. Na jednego zabójcę, kimkolwiek był, powinno wystarczyć. Tylko...*

– ...co potem?

*No właśnie, co potem? Jak uda mu się wyrwać z tego wykreowanego w dziecięcej wyobraźni miejsca, tego tymczasowego azylu, i wrócić do swojego*

*ciała? Czy ono będzie już wtedy naprawione? A może wcale go nie będzie, bo przecież dla aniołów zabić ciało to jak splunąć. Co jeśli popełnił błąd...*

*– Popełniliśmy, jeśli już.*

*Jestem tobą, więc popełnił. Ale nieważne, uznał. Co jeśli rzeczywiście się z tym wszystkim przeliczył i nie docenił potęgi przeciwnika? Przecież mogło być tak, że był tylko surferem na wielkiej fali życia, liściem na wietrze, ledwie maleńkim rozbłykiem.*

*– Jestem bogiem! – zawołał Crane, podnosząc się na łapy i zadzierając dumnie głowę. – Bogiem, słyszysz? Słyszycie wszyscy?!*

*Tak, usłyszeli go. Ci zgromadzeni na polanie i siedzący na drzewach. Wynurzający się z ziemi i wijący się wokół pni.*

*– Jesteś BOBOGIEM! – zawołały Boboki, a echo raz jeszcze poniosło ten krzyk.*

*To chyba był najważniejszy moment, by dać im sygnał. Crane wyszczerzył się więc w uśmiechu i zawołał:*

*– Brać go!*

*Potem stał, patrząc na tumult i rwetes, jaki wywołał. Boboki poszły w las!*



Loki szedł powoli, rozglądając się uważnie to w lewo, to w prawo. Czasem w zasięgu jego wzroku następował jakiś ruch, wtedy błyskawicznie odwracał się w tamtą stronę, celując między krzaki z wielkiego rewolweru. Zorientował się ku własnemu zdumieniu, że broń, choć ogromna, jest lekka i bez trudu może ją utrzymać w jednej łapce.

Cóż, widać takie prawo konwencji, pomyślał. Gdzieś na granicy słyszalności dochodziły go echa narracji Boga Wina, której dźwięki splatały się z rzeczywistością niczym nitki DNA, niczym znaki i komendy zmieniające strukturę komputerowego kodu. Teraz zadawał sobie pytania o szanse i proporcje. Czy to, co zrobili, wystarczy, by zmierzyć się z tą drugą narracją, z drugim bogiem, który przecież jest tu dłużej? I czy, cokolwiek planują tu zrobić, mają na to wystarczająco dużo czasu, nim Michał wkurwi się ostatecznie i zabije chłopca swym wielkim ognistym mieczem?

Ale nikt nie mógł dać Kłamcy tych odpowiedzi, bo Kłamczuch ściskany w łapce milczał jak zaklęty, a prócz nich dwóch nie było tu niko...

Wtedy, nagle i do wtóru paskudnego jazgotu, spadł na niego pierwszy

Bobok. Wyleciał spomiędzy drzew – latająca wiewiórka z błoniastymi, nietoperzowymi skrzydłami i kłami wielkimi jak u tygrysa. Drąc się w niebogłosość, pruć przestrzeń niczym pocisk, lecąc prosto na Lokiego. Ten wyczekał do ostatniej chwili i uskoczył na bok, licząc, że stwor nie zdąży już w żaden sposób wyhamować. Rzeczywiście, wiewiórka zaryła przyprawionymi zębami o ziemię, ale zanim to się stało, zanim Kłamca zdążył rzucić z satysfakcją jakiś złośliwy komentarz, spomiędzy drzew, łamiąc je niczym zapałki, wypadł tur z łbem żarłacza tygrysięgo i rogami nosorożca ciągnącymi się wzdłuż grzbietu.

Jego nie dało się już ominąć, dlatego Loki spiął się, z całej siły wyskoczył w górę i już w powietrzu złożył się do strzału. Czy dostanę zwolnienie czasu?, pomyślał. Krótkie, filmowe, a jakże teraz potrzebne?

Nie dostał. Kula wystrzelona w pośpiechu musnęła tylko bok stworu, a sam Loki wylądował na jego grzbiecie, raniąc łapę o jeden z rogów.

Udało mu się jednak utrzymać równowagę na dość długo, by sprężyć się do kolejnego skoku. Poszybował więc w górę, zahaczając głową o gałęzie. Tuż obok niego przeleciała trójjaka wrona, ale nim zdołała sieknąć go szponami, oberwała w swe jelenie poroże misiową łapką i zaplątała się we wszechobecne pnącza.

Loki wylądował na ziemi, syknął i przetoczył się na bok.

Zastrzelił psa na kaczych nogach, co nie było specjalnie trudne, i skrzydlatą kobrę, co z kolei zakrawało niemal na cud. Cokolwiek by jednak robił, wiedział, że kul w bębunku ubywa, a potworów – wręcz przeciwnie. Dlatego, gdy tylko udało mu się na moment przystanąć, złapać oddech i zyskać pewność, że ta sekunda w miejscu nie zostanie opłacona jego króliczą krwią, nabrał powietrza w płuca i wrzasnął z całej siły:





Bóg Wina nie potrzebował teraz wulgarnych ponagleń. Trzeba mu było pomysłu, ale te jak na złość nie przychodziły. Dlatego siedział tylko, z narastającą frustracją wpatrując się w wyświetlony obrazek, gdzie eteryczny Królik Loki walczył z półprzezroczystymi stworami, które mógłby wymyślić tylko krawiec doktora Moreau.

– Może coś z Czerwonego Kapturka? – podpowiedział Eros przechadzający się nerwowo tam i z powrotem z dłońmi splecionymi na pośladkach.

– Tak, jebnie im koszyczkiem! – zadrwił Bachus. – Nie, to musi być coś, co da mu natychmiastową przewagę, co odwróci w jednej chwili równowagę sił. Coś...

– Może coś z Biblii – zaproponował Michał ze swego kąta.

Jego głos brzmiał jak jedna z tych sugestii powiedzianych uprzejmie, ale wspartych wycelowaną w ciebie lufą. Bóg Wina najwyraźniej jednak tego nie zauważył, bo tylko machnął ręką.

– To musi być coś dla dzieci – powiedział.

– Ale przecież jest Biblia dla dzieci – rzucił któryś z aniołów, chcący najwyraźniej podlizać się Wodzowi. – Taka z obrazkami, gdzie Sodoma i Gomora mają takie zabawne pastelowe ognie i jak poruszyć takim papierowym czymś, to najpierw pada deszcz siarki, a potem...

– Mam! – zawołał nagle Bachus.

Zrobił to tak głośno, że mały Billy Jąkała aż podskoczył, a obraz na ekranie zafalował i przez chwilę śnieżył, jakby z odbiornika wypadła antena.

Eros odwrócił się gwałtownie i przyjął wyczekującą pozę.

– No? – ponaglił.

– Cały czas miałem to pod nosem. – Bóg Wina zatarł ręce. – Cały czas w taki czy inny sposób nawiązuję do Kubusia Puchatka, a zupełnie zapomniałem o Hefalumpach!

– O czym?

– Hefalumpach. – Bachus podrapał się po głowie. – W książce to były bestie, których tak naprawdę nie było, ale już w kreskówce, a ten dzieciak na pewno zna kreskówkę i wesprze mnie swoją wyobraźnią, to były bestie, które okazały się...

Zrobił pauzę i wziął kilka głębokich oddechów. Na moment też przymknął



oczy. Przyglądający się temu Bóg Miłości zakręcił młynka palcem.

– No jakie? – zapytał.

Ale Bachus już go nie słuchał. Wrócił do narracji.



Bobolaki napierały. Biegły, sunęły, pełzły bądź nadlatywały z każdej możliwej strony, aż biedny Królik zdał sobie sprawę, że nie da im wszystkim rady. Że niemożliwym jest pokonać te wszystkie stwory, w których oczach...

Zaraz. Królik zmarszczył czoło. Czy to możliwe? Zamrugał gwałtownie raz i drugi, po czym spojrzął raz jeszcze.

Faktycznie, wzrok go nie mylił! W oczach nadbiegającego stwora dostrzegł... smutek i żal.

Obejrzał się i przyjrzał innym zmierzającym ku niemu bestiom. I... zaraz, czy to w ogóle możliwe? Tak! We wszystkich oczach zobaczył to samo.

Natychmiast opuścił swój wielki pistolet, a zamiast tego uniósł misia i zawołał:

– Hej, ja też jestem brzydki!

(Co?!)

A gdy stwory zatrzymały się nagle, dokrzyczał, ile sił w króliczych płucach:

– Też jestem brzydki i dla niektórych straszny jak wy! Ale przyszedłem poszukać w tym lesie przyjaciół, a nie strasznych wrogów! Chcecie się zaprzyjaźnić?

(No chyba ocipiałeś do reszty, jeśli myślisz, że to... Ej, zaraz! To działa! To...)

Nagle stała się rzecz niebywała. Zupełnie jakby ktoś przekłuł wielki czarny balon, jakby orzeźwiający powiew wiatru rozwiał mgłę i dym spowijający krainę: świat wokół nagle... przestał być straszny. Drzewa nie wyglądały już jak paskudne stwory o szponiastych łapach. Nabrały kolorów, liście im pozieleniały, a dziuple rozciągnęły się w zdziwione „O”.

Boboki też zaczęły się zmieniać. Jeden po drugim znikwały nagle w magicznym „puff”, by objawić się już nie jak przerażające potwory, a zwyczajne, porzucone zabawki, jakich niestety pełno na nielegalnych wysypiskach śmieci w lasach. Był tam pluszowy miś i nogi lalki Barbie, był drewniany dziadek do orzechów i kolekcja nadtopionych plastikowych zwierzątek. Małpki, które kiedyś zasłaniały oczy, uszy i buzię, siedziały zdezorientowane i przyglądały się swoim powyginanym drucianym łapkami. Porzucony szczeniak podjął nieudaną próbę zrzucenia z grzbietu nadgryzionego batona, któremu – pewnie za sprawą kapelusza należącego niegdyś do szmacianego rewolwerowca – wciąż wydawało się, że jest kowbojem...

Królik patrzył na nich wszystkich, po czym pokręcił głową z autentycznym smutkiem i powiedział:

– Nie wiem, jak ktoś mógł być tak okrutny i zrobić wam coś takiego, moi drodzy. Zachował się, jakby nie interesowało go, co macie w środku...

– Ja wate! – zawołał szmaciany kowboj.

– Ja trocinki! – krzyknął miś bez nosa.

– A ja... – powiedział dziadek do orzech... Ej, Loki, co ty robi...

(Kontynuuj i daj mi mówić).

...to znaczy, chciał powiedzieć dziadek, bo Króliczek uniósł pistolet i nim zamachał.

– Zaraz możesz mieć tyle ołowiu, że pójdziesz w kamasze jak każdy ołowiany żołnierz – mruknął przy tym, co oczywiście nie było grzeczne, ale w tych okolicznościach jakby zrozumiałe.

Mógł się troszkę zdenerwować, prawda?

Na chwilę zapanowała cisza, podczas której Boboki przyglądały się nerwowo nowemu... koledze? Przyjacielowi? W sumie, gdyby się zastanowić, ten długouchy, zębaty ktoś wyglądał trochę jak Bobok...

Królik tymczasem znowu uniósł pistolet – uważając jednak, by nie celować w żadne latające mu nad głową stworzonko – i powiedział donośnym głosem:

– Nie chcę nikomu robić krzywdy. Nie teraz, kiedy mam tak wielu wspaniałych przyjaciół!

Jego słowom zawtórował głośny aplauz, wesołe okrzyki i popiskiwanie. Królik poczekał, aż ucichną, i mówił dalej:

– Ale myślę sobie, moi drodzy, że ten, kto kazał wam być takimi paskudnymi, zasługuje, by się go pozbyć na zawsze z naszego lasu, czyż nie?

Znowu zapanował jazgot pełen aprobaty, bo wszyscy, absolutnie wszyscy zgadzali się teraz z Królikiem. Nikt nie chciał być więcej potworem!

– A-a-ale on jest duży i straszny! – Jeden jedyny wróbelek utyłany w resztkach jogurtu nie podzielał entuzjazmu reszty. – Ma szpony i jeszcze te zębiska...

– Pewnie ma. Ale my mamy siebie!



*Dobra, Crane. Chrzanić narrację, te wszystkie reguły i inne bzdety. Coś jest nie tak.*

– Co takiego? – zapytał Cra... *A nie, szlag, wybacz, to z przyzwyczajenia. Nie wiem, o co chodzi, ale mam wrażenie, że nad czymś nie panuję. Zupełnie jakby jakaś siła odebrała mi kontrolę nad opowieścią. Jakby ktoś inny opowiadał ją... inaczej.*

– Zaraz, moment. Przecież ty możesz kreować rzeczywistość! Zrobiłeś to! Zmieniłeś ten las, dałeś nam władzę, zbudowałeś tę twierdzę...

*Tak, ale wtedy nie miałem konkurencji. Wiesz, na zewnątrz mieliśmy fanów. Mieliśmy rząd dusz i nikogo, kto mógłby nas w tym przebić. Tu... za późno to zrozumiałem, ale tu walka toczy się o jeden tylko umysł. Chłopca. A skoro my jesteśmy tylko tu, w środku, to...*

*Crane przyłożył do ust wielki szpon i tym razem przejrzał się w kałuży. Zobaczył swój olbrzymi smoczo-koci łeb, kościaną szyję porośniętą strzępami futr...*

– Miałeś przestać, nie? Przecież to i tak gównieście warto!

*Przepraszam.*

– Nie przepraszaj, tylko powiedz, jak bardzo mamy przesrane – *powiedział Crane, doskonale znając odpowiedź.*

– Ej, Crane...





Huknął strzał.

*Crane, jeszcze przed ułamkiem sekundy wpatrzony w hipnotyzującą czeluść lufy, na widok ognia wylotowego wyprężył się i szarpnął na bok, schodząc z toru pocisku...*

...głową, ale jednocześnie wystawiając swą długą szyję prosto pod wirujący w powietrzu pocisk. Brakowało jeszcze tylko chwili, by ta niechciana przez nikogo, ale jakże sprawiedliwa kula dopadła wreszcie złego smoka, który...

*...którym Crane przecież nie był! Czyżby więc, mimo wszystko, nadlatujący pocisk wystrzelony z tej paskudnej armaty tego paskudnego Królika, tego manipulanta o pozbawionym skóry pysku, o sterczących zębach o...*

...zewnątrznym wyglądzie, który nijak nie oddawał dobroci jego serca. Tej, którą dostrzegli mieszkańcy lasu. Tej, której zawierzili. Wreszcie tej, która przywiodła ich tutaj, pod zamek nikczemnego, paskudnego...

*...wcale nie...*

...smoka wykorzystującego biedne leśne stworzonka i porzucone zabawki. Potwora, który uczynił ten las paskudnym miejscem. Lasem Boboków. Kogoś, kto wcale, wcale nie zasługuje na litość...

*...ależ zasługu...*

...tylko na ŚMIERĆ!

*Kurwa, Crane, nie dam rady dłu...*

Kula sięgnęła celu i wryła się między kręgi szyjne smoka. Następna trafiła już w łeb.

Smok zakołysał się i runął bez życia na ziemię.



Bachus spojrział na Erosa. Ten zerknął w stronę zdumionego Michała, a potem przeniósł wzrok na chłopca i wreszcie znowu na Boga Wina.

– Wygraliśmy? – zapytał. – Tak po prostu?

Bachus powoli podniósł się z klęczek. Strzeliło mu w kolanach, łupnęło w krzyżu, odezwały się też niedawne rany, ale mimo to wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Chyba tak – powiedział. – Bajka to nie kino klasy B. Wróg nie dostaje

trzech szans i nie wstaje po śmiertelnym postrzale... a przynajmniej nie powinien. Dupek fatalnie wybrał sobie pole walki!

Eros przejechał ręką po twarzy, po czym, przechyliwszy głowę, na powrót zaczął się przyglądać wydarzeniom na ekranie i temu, co robią widmowy królik Loki i cała jego ferajna.

– Na wszelki wypadek nie odchodź daleko – rzucił do mijającego go Bachusa.

– Jasne – powiedział tamten już z korytarza. – Ale odlać się muszę.



Kłamca też musiał. Co więcej, chciał, a leżące przed nim truchło kusiło go tak bardzo, że z trudem się powstrzymywał. Zdawał sobie jednak sprawę, gdzie się znajduje i kto na niego patrzy. Wiedział też, że w miejscu jak to wszystko mogło się zmienić w jednej chwili, zależało bowiem od kaprysu dziecka.

Rzeczywistość, w której mały chłopiec jest bogiem i może wszystko. Brzmiało to przerażająco niczym mroczna historyjka rodem ze *Strefy mroku*, ale w tym momencie zupełnie wiarygodnie.

Wiedziony nagłym impulsem Loki zadarł głowę. Czy spodziewał się tam zobaczyć twarz małego Billy’ego Jąkały? A może Bachusa, który – było nie było – właśnie uratował mu skórę? Nie zobaczył jednak żadnego z nich, a jedynie – w oddali, niczym delikatne obrysy chmur, niczym szkic na czarnym, gwieździstym niebie – nieznanne twarze, setki, tysiące pochylone nad nim niczym żałobnicy nad trumną. Gdzieś w głowie kołatało mu się określenie pasujące do tych istot, ale nie potrafił go...

– Auditorium – szepnął mimowolnie.

Wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otworzył mu się umysł i dotarło do niego, kim są albo kim mogą być.

To ostatni, pożegnalny prezent od Crane’a. Widzowie, odbiorcy. Wymagani decydenci każdej popkulturowej historii. Ci, którzy głosują portfelem, komentarzami w internecie i kciukami uniesionymi lub skierowanymi w dół. Byli czy nie, istnieli naprawdę czy też zostali stworzeni przez samozwańczego, narodzonego niechcący pop-boga, teraz oczekiwali, że Loki udzieli im głosu.

Spodziewali się, że pozwoli im podjąć decyzję, przestawić zwrotnicę świata; że da im wybór, a oni prostym gestem, ruchem lekkim jak przewrócenie strony

w książce, zmienia świat. Zmienia wszystko.

Kłamacz się zawahał. Być może była to siła, jaka zawładnęła teraz jego umysłem, a może czysta ciekawość, przekora. Czy istnieje ktoś większy, ważniejszy niż Bóg archaniołów? Czy można było sobie kogoś takiego stworzyć?

– Czego chcecie? – zapytał w końcu głośno, a wręcz wykrzyczał ku zdumieniu skonsternowanych niegdysiejszych Boboków. – Jakiego wyboru pragniecie? Czy chcecie zdecydować, co stanie się z tym tutaj? Czy mam wam go oddać, byście mogli... kurwa, nie wiem, co robi Audytorium złożone z naszkicowanych na niebie gości!

Postacie oczywiście nie odpowiedziały. Jedna czy druga uśmiechnęły się tylko, ktoś podlubał w nosie, myśląc, że nikt go nie... o, przestał, zawstydził się i sobie poszedł. Miejsce po nim natychmiast wypełnił ktoś inny.

Loki stał tak jeszcze przez moment, następnie wycelował w oczodół smoka-Crane'a i wypalił po raz ostatni, a potem powiedział:







w ogóle o nim pamiętał w tym całym zamieszaniu – i zabrał się do zdejmowania króliczego kostiumu. Szło opornie, bo strój przywarł do niego jak druga skóra.

– Serialem się zajmę, jasne – powiedział. – Powcielam się w Crane’a, powiem parę głupot, wkręcę go w dragi i może coś nieprzyzwoitego i powszechnie potępianego. Wynajmiemy speców od efektów, którzy wyjaśnią triki.

Zamyślił się i spojrzął na ekran, jakby widok tego, co ze zwłokami Crane’a postanowiło zrobić Audytorium, miał go zainspirować. W końcu machnął ręką i rozejrzał się za pudełkiem wykałaczek.

– Dobra, pomyślę o tym jutro. Gdzie jest ojciec tego małego?

– F oU UUYDZy – wybełkotał Bachus, plując drobinkami kanapki.

Loki nie zrozumiał, ale machnął tylko ręką.

– Dacie radę to uprzątnąć sami, zanim wróci? – zapytał, ruszając w stronę drzwi. – Możecie zlecić to jakiemuś kurierowi, ale najważniejsze, żeby nie było problemów.

– Jasne, szefie – Eros, nie odrywając wzroku od magazynu, wystawił rękę z kciukiem i palcem wskazującym ułożonymi w kółko.

– Super. – Kłamca zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił. – I jeszcze raz dzięki. Wiszę wam za to po przysłudze. Proście, o co chcecie.

To sprawiło, że Eros się ożywił. Usiadł, odłożył gazetę i spojrzął na Kłamcę.

– Chcę odpowiedzi. Dlaczego wtedy w kawiarni byłeś pod postacią starej murzynki?

Kłamca się zawahał. Otworzył nawet usta, ale ostatecznie tylko pokręcił głową.

– Wszystko oprócz tego – stwierdził. – I na pewno nie dziś.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, a zaraz potem huknęły za nim drzwi wyjściowe.

KONIEC

NO PRZECIEŻ BYŁO, ŻE KONIEC.

[PRZEJDŹ DO STRONY 257](#)

## EMPIRE STATE OPCJA Z SAMOLOTEM

*Samolot z wolna zmienił kurs. Pasażer z miejsca numer 26B – o skórze stanowczo zbyt śniadej, by naprawdę nazywać się MacDonelly, jak mówiły jego paszport i karta pokładowa – wstał i ruszył korytarzem między siedzeniami w stronę dziobu. Skinął lekko głową mijanemu kilka rzędów dalej równie śniademu pasażerowi, a gdy tamten sięgnął, by odpiąć swój pas, MacDonelly wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na małym, elektronicznym urządzeniu, podobnym trochę do breloka do samochodowych kluczyków. Urządzenia, którego zdecydowanie nie powinien mieć na pokładzie samolotu.*

*Nie bał się, był przekonany, że patrzy na niego jego Bóg, że to on każe mu zrobić to, co właśnie zamierzał. W zasadzie miał rację, bo pomylił się tylko w jednym – to nie był ten Bóg, o którym myślał...*

*– Chyba cię powaliło! – przerwał niegrzecznie Crane. – W dupie mam, że niegrzecznie, ale nie ma mowy, byśmy z tak tragicznego wydarzenia jak to wrześniowe, robili filmową kliszę pod film katastroficzny! I tak, wiem, co zaraz powiesz, że były już o tym filmy. Ale to zupełnie nie tak. Wydarzenia jak to wbijają się w ludzką świadomość i stają się częścią popkultury poprzez ich interpretowanie. Ale nie dlatego, że są filmową kliszą, do cholery! Każ temu Arabowi usiąść i zostaw samolot w spokoju!*

*Crane warczał tak, jakby rzeczywiście mówił do kogoś innego niż on sam. A w rzeczywistości...*

*– Każ mu usiąść. A właściwie każ usiąść prawdziwemu facetowi o jego nazwisku na swoje miejsce. I wróćmy do realizowania pierwotnego planu, a nie zmieniania rzeczywistości za pomocą kogoś, o kim nie wiemy nawet, czy istnieje!*

[WRÓĆ NA STRONĘ 91](#)

## LOT NAD KANIONEM OPCJA PODDANIE SIĘ

– No chyba cię pojebało do reszty! – krzyknął Crane, słusznie oburzony na podjętą za niego decyzję.

*To nie był moment na poddawanie się, ani na odpuszczanie. Nie odchodzisz od stołu, gdy masz na ręku karekę cholernych asów.*

– No właśnie! Więc wracamy tam i jakby tej cholernej opcji z wycofaniem nie było!

*Być może sprawił to resztką swej mocy, a może to Audytorium się zreflektowało, że jednak strzeliło gafę, ale koniec końców wrócili do niedawnego punktu wyjścia i było tak, jakby ktoś powiedział: „Po prostu o tym zapomnijmy”. I wszyscy posłuchali.*

[WRÓĆ NA STRONĘ 153](#)

(i nie wygłupiaj się więcej z poddawaniem).





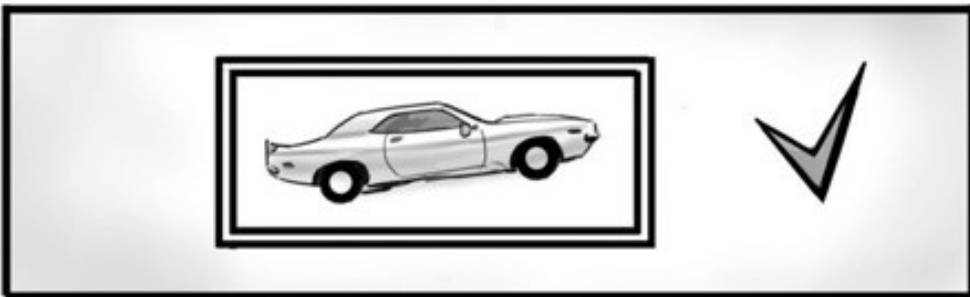
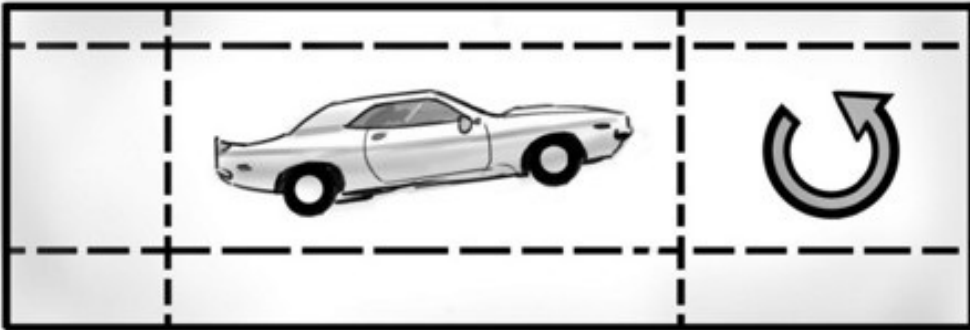
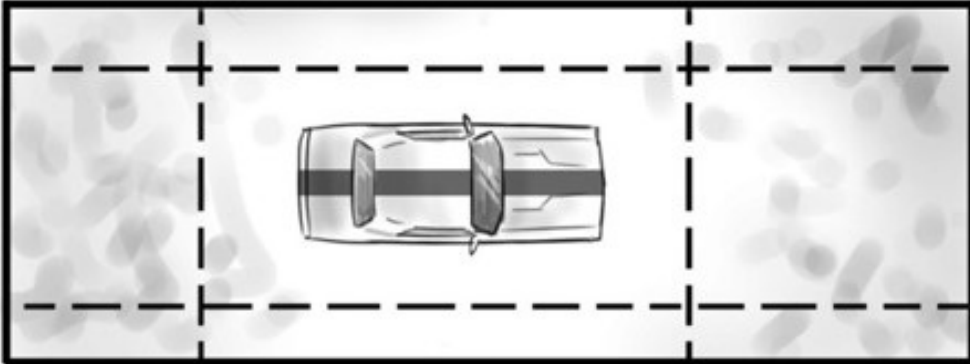
I WTEDY CRANE POJAŁ, ŻE NOWE MEDIUM  
TO NAPRAWDĘ NOWE MOŻLIWOŚCI.

WSZYSTKO  
SPOKO,

TYLKO SOBIE  
NIE MYŚL, ŻE JE-  
STEM NIEWDZIĘCZ-  
NY, ALE NADAL TO  
ON JEST KIE-  
ROWCĄ...

I JAK PRZESTANIE PANIKOWAĆ,  
TO MOŻE NAS JESZCZE WPAKO-  
WAĆ W NIEZŁE GÓWNO.

...POWIEDZIAŁ BÓG MAŁEJ WIARY.







TO NIESAMOWITE. JA FAKTYCZNIE JESTEM BOGIEM.

JESTEŚMY, UZMYSŁOWIŁ SOBIE. I WIESZ, CO JESZCZE?



TO NIE PROBLEM?

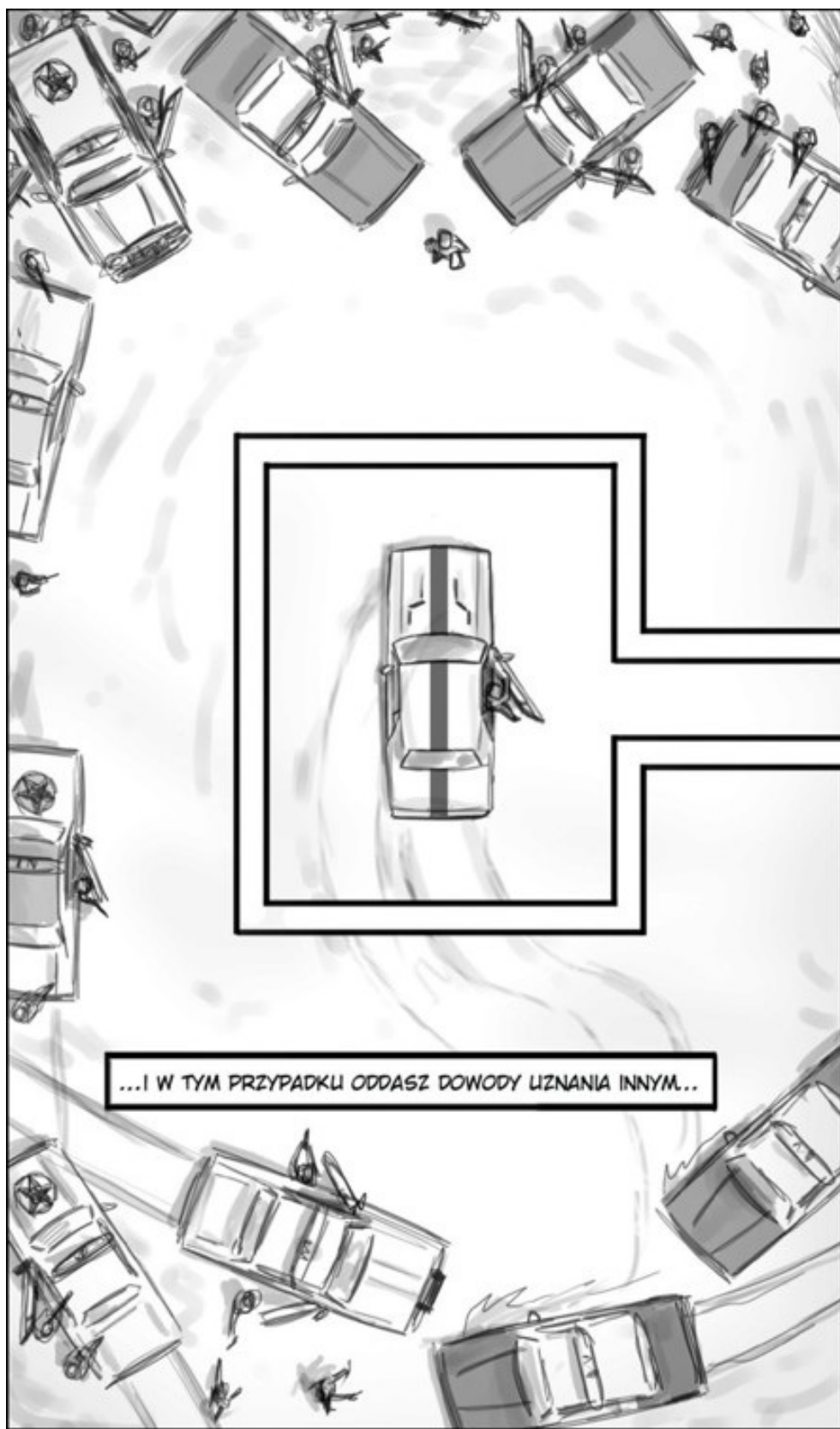
SPÓJRZ, JAKI MAMY KOMITET POWITALNY.



NIE, CRANE. BO NIE JESTEŚ PAZERNY...

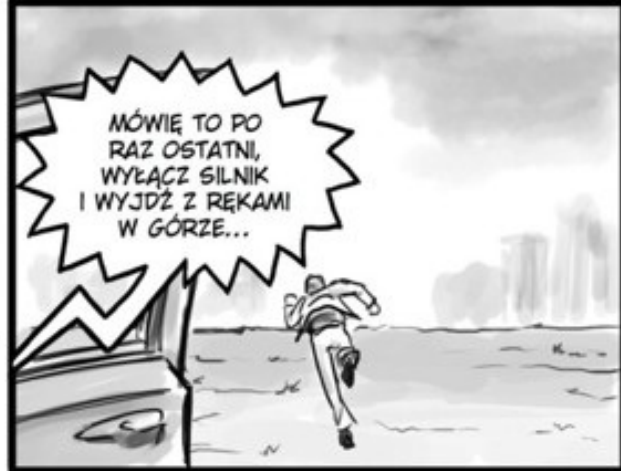
WHOOP!

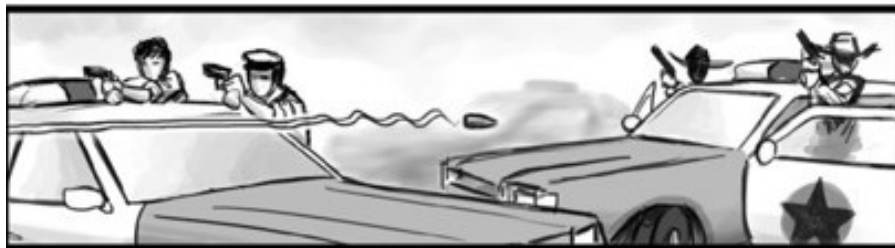
SZRUM!

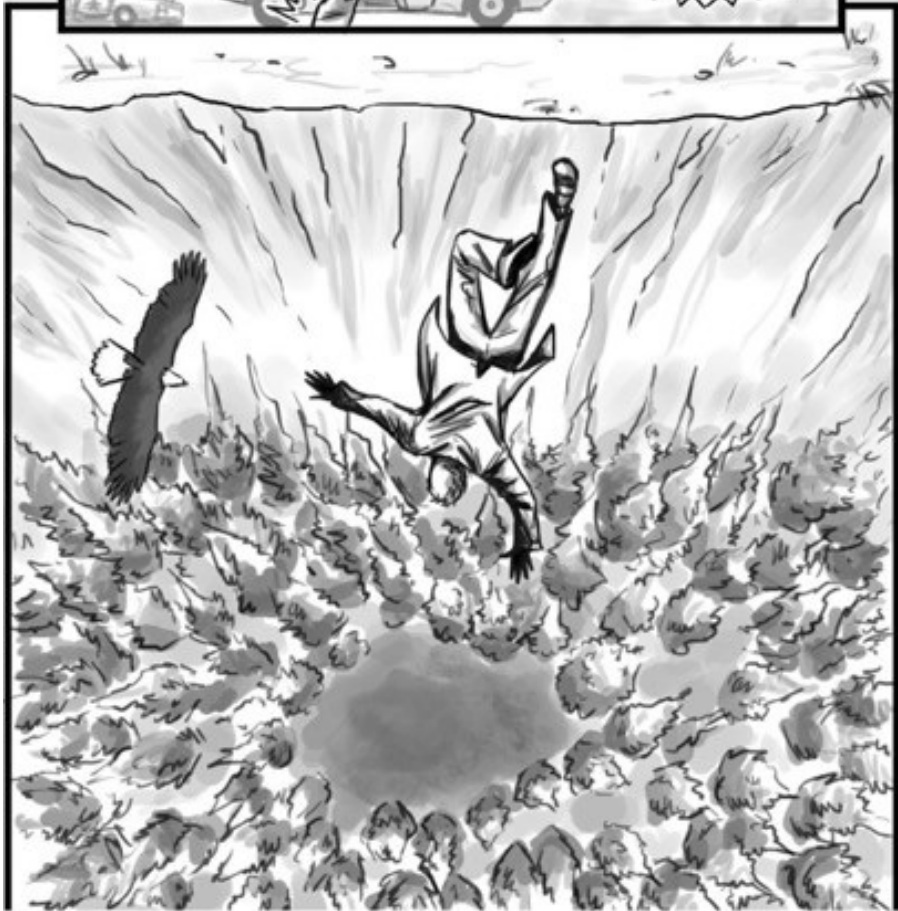












ZRÓB, KURWA,  
TE LINIEEE!



PRÓBUJE, TO ZNACZY PRÓBUJESZ, ALE...







TEGO SIĘ NIE SPODZIEWAŁEM!







PUŚĆ GO!  
TERAZ!

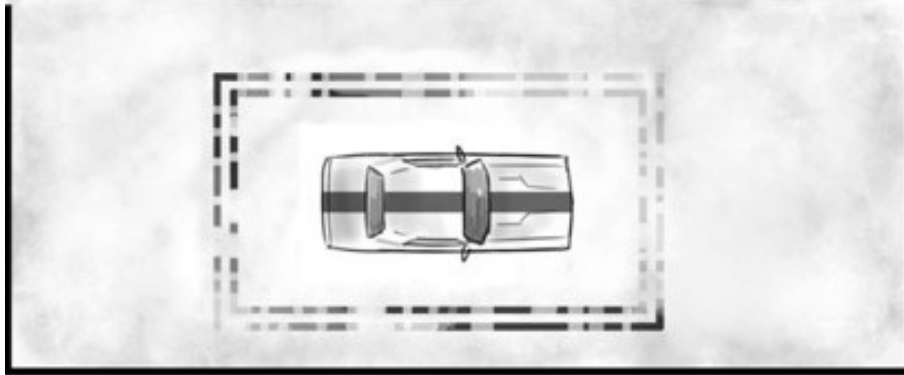




MAŁO  
BRAKOWAŁO.

POWIEDZIAŁ CRANE.

ZAMIAST BRAĆ DUPE W TROKI I SPIERDALAĆ.



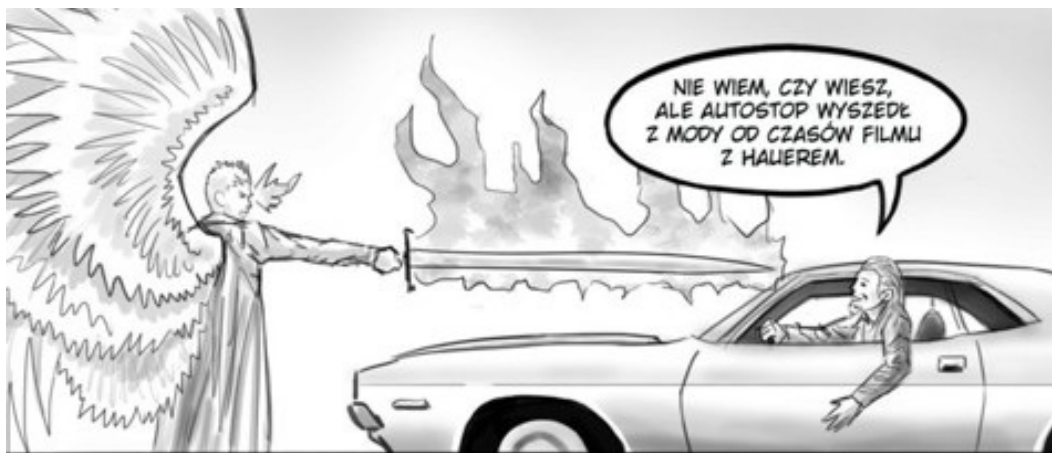














NIE ŻYJE. WŁAŚNIE GO  
ZNALEŻLIŚMY NA DNI  
WĄWOZU.



POWIEDZIAŁBYM: PANIE,  
ŚWIEĆ NAD JEGO DUSZĄ,  
ALE TU ANI PANA, ANI  
DUSZY, WIĘC...

...ZAPYTAM TYLKO:  
JEDZIEMY TAM?



MICHAŁE, A MOŻESZ  
PRZYWRÓCIĆ JUŻ TĘ  
JEBANĄ RZECZYWISTOŚĆ  
DO NORMY?

**PRZEJDŹ DO STRONY 164**

# WSZYSTKO, CO CHCIELIBYSCIE WIEDZIEC O LOKIM...

ALE NIE CHCE SIĘ WAM RUSZYĆ TYŁKA NA SPOTKANIE  
AUTORSKIE

No dobra, oto historia Kłamacy, jak ją pamiętam. Pewnie nie odpowie na wszystkie pytania, jakie macie jako czytelnicy serii, ale ufam, że coś Was tu jednak zaciekawi, coś rozbawi, coś przypomni fajny moment w życiu. W końcu to już dziesięć lat. Kawał czasu, by do czegoś dojść lub przeciwnie, solidnie coś spierdolić.

Zaczynamy?

Miałem sen.

Umówmy się, nie tak brzemienny w skutki jak to, co śniło się Martinowi Lutherowi Kingowi, ale gdy porównać rozmach, mógłbym z nim chyba stawać w szranki. W mojej wizji bowiem w stronę znajdującej się na wzgórzu Valhalla lecieli aniołowie. W zwartym szyku jeden obok drugiego, w ciężkich zbrojach, nadlatywali od strony morza; w powietrzu czuć było zapach mokrych piór.

Aniołowie nucili. Głośne mormorando niosło się echem, odbijało od klifów i pewnie budziłoby niemały popłoch wśród służby, gdyby nie to, że służba Odyna, podobnie jak jego woje, nie znała strachu. Ale nie da się zaprzeczyć, do zapachu piór doszła piżmowa woń testosteronu.

Aniołowie nucili *Cwał Walkirii* Wagnera...

Tak, powiedzmy to otwarcie, przysnęło mi się na *Czasie apokalipsy*. Byłem zmęczony, film widziałem już masę razy, a telewizor włączyłem przypadkiem, bez wcześniejszych założeń, że oto zarwę nockę. No i nie zarwałem, nie dotrwałem nawet, by zobaczyć pułkownika Kurtza, ale filmowa rzeczywistość upomniała się o swoje i tak oto przyśnił mi się ów obrazek. Fajny? Kiczowaty? Trudno powiedzieć, w sumie nigdy nie uważałem, że jedno wyklucza drugie – wręcz przeciwnie. I właśnie to podejście, a także wrażenie, że skoro nigdy nie pamiętam swoich snów, a ten i owszem, to coś w tym musi być, sprawiły, że zdecydowałem: napiszę o tym opowiadanie. Miał to być trzeci tekst o mitologicznym tricksterze pracującym na stałe z aniołami. To właśnie wtedy też zdecydowałem ostatecznie, że będzie to Loki.



Oto jak pierwotnie wyglądał pomysł na *Kłamcę*: Zaświaty to noirowa rzeczywistość bliska skorumpowanemu Chicago. Archaniołowie jako policja, Lucyfer jako odpowiednik Capone, inni wielcy upadli jako mafiozi z innych regionów. Głównym bohaterem jest anioł stróż, czyli typowy mundurowy „krawężnik”. Podstarzały, cyniczny koleś, który wyleciał ze służby za brutalność wobec podopiecznych i złe traktowanie istot mitycznych błakających się po Ziemi. Na te ostatnie nie miałem wtedy zupełnie pomysłu, ale wiedziałem, że tam będą...

Problemy z taką wizją świata były trzy:

1. Kompletnie nie umiałem wyjść z Chandlerowskich historii i większość pomysłów krążyła wokół parodiowania jego fabuł. Oryginalny pomysł miałem jeden i był strasznie krótki – w zapisie trzy strony. Ostatecznie znalazł się w *Kłamcy* jako opowiadanie *Samobójca*. Tekst o tym, jak to mój ex-anioł nagina zasady, zabijając samobójców, by nie zostali wcieleni z automatu, zrodził się nie wiem skąd i, co prawda, dość jasno określał zasady, jakimi kierowała się moja postać, ale zdecydowanie nie robił tego wyczerpująco...

2. Miałem wtedy jeszcze jeden projekt, również mocno podszyty czernią, który – ha, ha, ha, jak to się plecie – był podówczas bliższy mojemu sercu, a potem zupełnie się wysypał. Chodzi o *Grimm City*, o którym z takim entuzjazmem mówiłem jeszcze w pierwszym udzielonym wywiadzie.

3. Ci przekłęci mityczni. Nijak nie pasowali.

Myślałem o tym długo, długo, a po drodze napisałem kolejny tekst. Wtedy już miałem pomysł, że użyję trickstera. Pierwotnie miał być to Hermes. Akurat wybuchła jakaś pedofilska afera wśród księży, więc wyobraziłem sobie, jak to mój bohater, przystojny model o śródziemnomorskiej urodzie, idzie do spowiedzi gdzieś w Rzymie i pod pozorem przyjęcia sakramentu sprzedaje księdzu genialną miejscówkę, gdzie dzieciaki w wieku od lat ośmiu do trzynastu zrobią ci wszystko, czego zapragniesz za grę na Gameboya. Ksiądz oczywiście tam idzie i na miejscu spotyka specjalny rodzaj Furii – takie chroniące nie matki, a dzieci – które wszystkie wyglądają jak Lolity u Kubricka: z obowiązkowymi zakolanówkami, kucykami i lizakami wyśmigany tak, że krawędzią dałoby się obciąć głowę. Lub co innego.

Opowiadanie było strasznie krwawe i obrzydliwe. Pamiętam, że jedna

koleżanka na zlocie harcerstwa w Gnieźnie, gdy je przeczytała, przestała się do mnie odzywać i tylko łypała, bojąc się, czy przyjdę w nocy do jej namiotu z wyostrzonym lizakiem. Było też, o ile dobrze pamiętam, napisane tak słabo, że nawet nie doczekało się konwersji z Hermesa na Lokiego. No ale proszę Was, krew sikająca z obciętego fiuta księdza układająca się w wizerunek Jezusa z Całunu Turyńskiego oraz w dymek ze stanowczym „No!”? Byłoby zabawnie, sami przyznacie? Albo nie, nie przyznawajcie...



Sen jest poniekąd odpowiedzią na pytanie, dlaczego akurat Loki, ale nie do końca. Kluczowe było to, żeby był to macho. I teraz dochodzimy do największego problemu, jaki mam z odpowiadaniem na to powyższe pytanie o Kłamcę. Otóż odpowiedź szczerą i prawdziwą wprowadza nieporozumienia i – pozbawiona dopowiedzenia – umieszcza mnie społecznie w miejscu, gdzie bardzo nie chciałbym się znaleźć. Oto jak brzmi odpowiedź na pytanie, dlaczego akurat Loki: „Bo Hermes był gejem!”. No i sami widzicie. Jeśli po takiej odpowiedzi jeszcze pójdę do fryzjera i ostrzygę się jak zwykle na krótko, jeden z drugim ograniczony debil z nazi-prawicy będzie skłonny wziąć mnie za jednego ze swoich. I to nie paranoja. Kiedyś nawet dostałem od takich koszulkę z napisem „Zakaz pedałowania”. Za darmo, w podzięce za jakieś moje słowa, które ktoś im wyciął z kontekstu, skrócił, przeinaczył i uzupełnił Hitlerem. Wziąłem, a jakże! Powiedziałem, że na mnie trochę za duża, ale mój partner się ucieszy, bo ostatnio nie ma w czym sypiać, a ku mojemu żalowi nie chce sypiać nago. A potem, po chwili niezręcznej ciszy, zwyzywaliśmy nawzajem swoje matki...

Ale naprawdę, szukałem innego trickstera, bo Hermes i w ogóle greckie bóstwa – bo nie herosi – były za mało jednoznacznie macho i hetero. A właśnie taka postać była mi potrzebna, by móc korzystać w pełni z filmowych klisz. Zazwyczaj jest tak, że aby dobrze ograć kliszę, możesz zmienić w niej jeden element. Nieważne, jak będzie on duży. Czy kliszę odwrócisz w całości, czy zmienisz postać na nadprzyrodzoną, czy zmienisz jej orientację lub płeć, zmieniając tym samym zasady. Ważne, by zmiana była jedna, bo inaczej klisza się zatrze. U mnie zmianą względem postaci typu „Cobra” Cobretti, John McClane czy Simon Templar (a także Martin Riggs) było dodanie elementu boskości. Zmiana orientacji byłaby już zmianą drugą.

Ale nawet po tej jednak niełatwej decyzji, że nie będzie to Hermes, decyzja, kto wystąpi zamiast niego, również była trudna. Loki na liście nie plasował się szczególnie wysoko. Ciągnęło mnie ku polinezyjskiemu Maui i w stronę Samediego, ale to ciągle nie było to. No a potem przyszedł sen i pomyślałem: kurde, może rzeczywiście Loki. Napisałem opowiadanie już z nim i pod niego. A właściwie pół opowiadania, bo potem wskoczył mi pomysł, by przerobić moją wersję „zadania domowego”, jakie zadał czytelnikom w *Jak Pisać. Pamiętnik rzemieślnika* Stephen King. No i tak, gdzieś po drodze, powstała pierwsza wersja *Anioła Stróża*. A potem to już *Młot, wąż i skała* i cała reszta. Loki się zadomowił i – jak pewnie pamiętacie z drugiego tomu jego przygód – sprawnie wyeliminował Hermesa, na wypadek gdyby mi się jednak odwidziało.



*Kłamca* nie od początku był planowany jako książka, a to, że ostatecznie się nią stał, zawdzięcza w pierwszej kolejności Ani Kańtoch. Dwie osoby czytały wtedy w ŚKF-ie moje teksty – Ania i ówczesna prezes Ela Gepfert – ale z nich dwóch, udzielających mi ogromnego wsparcia, to jednak Ania dopingowała mocniej. Na Elę spadła niewdzięczna, acz konieczna rola „złego gliny od przecinków”.

Gdy się poznaliśmy, Ania miała już gotową powieść *Miasto w zieleni i błękicie*, ja natomiast stosik opowiadań. No i tak czytaliśmy sobie te teksty nawzajem, aż w pewnym momencie Ania, która właśnie podpisała umowę z Fabryką Słów, zapytała, czy nie chciałbym spróbować jakoś tych tekstów uporządkować, czegoś dopisać i zrobić z tego książki. Pomyślałem, że byłoby fajnie, i rzeczywiście zebrałem, przejrzałem, dopisałem, a gdy nadszedł czas, wysłałem pakę z wydrukiem do Fabryki. Tam przeleżała z półtora miesiąca, aż zadzwonił do mnie selekcjoner tekstowy (Mateusz? Mariusz?) i powiedział, że tekst poszedł dalej, znaczy do szefów. Nie omieszkał dodać, że jemu się nie podobało, ale Ania, której pisanie sobie cenił, przekonała go, że warto z tym spróbować. No więc puścił dalej, a szefom Erykowi Górskiemu i Robertowi Łakucie *Kłamca* przypasował na tyle, że zrobili dwie cudowne rzeczy. Po pierwsze, przysłali mi umowę, a po drugie, wyznaczyli najwspanialszego redaktora, jakiego mógł dostać debiutant – znanego dziś na cały kraj ze swych kryminałów retro Marcina Wrońskiego. Choć oczywiście gdy się poznaliśmy, wcale, ale to wcale tak nie uważałem.



Strasznie chciałem tu wkleić pierwszy mail, który dostałem od Marcina, ale niestety się nie udało, bo tamten adres pocztowy jest już od dawna nieaktywny. Szkoda, bo ten list byłby cudowną lekcją pokory dla debiutantów. Pokory, której mnie oczywiście wtedy totalnie brakowało.

Marcin bowiem, z właściwą sobie elegancją, napisał mi, że pomysł świetny i wiele rozwiązań bardzo fajnych, ale będziemy mieli dużo pracy. Wypisał też listę sugerowanych zmian, wśród których było... całkowite wywalenie *Anioła stróża*, a także *Samobójcy*. Zanim się jednak oburzycie, wiedzcie, że mowa o pierwszych wersjach tych tekstów, które również się szczęśliwie nie zachowały. Faktycznie bowiem, jak pamiętam, były koszarne.

Najpierw zareagowałem ostro i buńczucznie, że mowy nie ma, bym coś usuwał, a zmiany mogą być, ale tylko jeśli uznam je za napraaaawdę konieczne. Marcin na to, że owszem, rozumie, a potem tłumaczył tak cierpliwie i rzeczowo – wpisując na przykład dwustronicowy komentarz dla uzasadnienia usunięcia jednego zdania – że ostatecznie dwie trzecie książki napisałem na nowo w oparciu o te same wyjściowe pomysły. Jedyna rzecz, z którą się nie zgodziłem w ogóle, to wyjaśnienie tajemnicy piór. Na tym etapie święcie wierzyłem, że wytłumaczę to kiedyś, w kontynuacjach.

Marcin tłumaczył, co prawda, że to może nigdy nie nadejść, ale się uparłem i w tej jednej kwestii użyłem argumentu: „Rozumiem, ale tak chcę i już”. Jako autorowi było mi wolno.

Poza tym jednak Marcin potrafił mi napisać: „Ta scena do wywalenia, bo Loki by tak nie zrobił”, a ja, choć scena była nośna i śmieszna, usuwałem ją w całości, bo rzeczywiście redaktor chwilami znał tę postać lepiej niż ja. Przy czym, powiedzmy to sobie szczerze, Marcin nigdy nie był fanem Kłamcy, choć chyba z czasem go polubił. Na pewno polubiliśmy się my.



Zdjęcie pierwszej okładki dostałem mailem od Roberta Łakuty, z zastrzeżeniem, bym oczywiście nie ujawniał, ale sobie zobaczył. Właściwie to nawet jeszcze nie była okładka, a sama grafika, w dodatku tak wielka, że w pierwszej chwili



zobaczyłem tylko oczy, ale już wtedy się zachwyciłem. Piotr Cieśliński odwalił wtedy kawał dobrej roboty. Choć zrobił do tej pory sporo naprawdę dobrych okładek, kilka wybitnych, uważam – podkreślając, że to moje, mocno subiektywne i zniekształcone owym „pierwszym wejrzeniem” zdanie – że nigdy potem nie zbliżył się nawet do pierwszego *Kłamcy*. Jakikolwiek by były obecnie moje z Piotrem relacje, jestem mu wdzięczny za to, że jego praca sprzedała pewnie sporą część pierwszego nakładu. Nie oceniaj po okładce MY ASS – tyle mam do powiedzenia na ten temat.

A teraz anegdota dotycząca mojego wpływu na okładki.

Gdy Piotr zadzwonił do mnie, żeby pogadać o okładce drugiego tomu, byłem akurat na wakacjach w Zakopanem. Łaziłem sobie między straganami i opowiadałem mu o fabule, postaciach i tak dalej. On wtedy czytał tylko kawałek tekstu, zajawkę dla grafika, no i właśnie czasem dzwonił. Wtedy to zrodził się pomysł, by na drugiej okładce były dwie postacie: Bachus i Eros. Potem, na ewentualnej trzeciej, trzy – archaniołowie, a dalej by się zobaczyło.

„No to jak wyglądają ci dwaj?“, zapytał Piotrek, a ja mu rzuciłem wizją skrzyżowania Blues Brothers z Julesem i Marcusem z *Pulp Fiction* – garnitury, dymiące spluwy, okulary, wtręty mitologiczne. Pasowało do fabuły i mogłoby być spoko. Zgodził się, obiecał oddzwonić, jak przemyśli, i się rozłączył.

Zadzwonił bodaj dwa dni później, że ma pomysł. Ubierze ich w polowe mundury, jeden będzie kucał z manierką, drugi dostanie snajperkę z tłumikiem i...

„Ej, zaraz! Jakie mundury?! Jaka snajperka?!”

No to mi zaczął tłumaczyć, że snajperka to u Erosa zamiast łuku, że mundury, bo zawsze spoko, że coś tam. Ja mu na to, dlaczego jednak nie, że nie pasuje, że charakter postaci, bla, bla, bla. Piotr powiedział, że pomyśli i oddzwoni. Pewnie zrobił to pierwsze, natomiast drugiego już nie. Potem się dowiedziałem, chyba z maili, że zmienił koncepcję, że będzie sam Loki i że już go robi. No i zrobił.

Niby Loki, ale: bez brody, z papierosami zamiast wykałaczek – dobrze, że choć właściwa marka – w wojskowej kurtce i coś mu tam wystaje zza ramienia. Co? Pewnie znawcy poznają, ja nigdy się w to nie zagłębiałem. Niemniej okładka dwójki nigdy do mnie nie przemówiła inaczej niż: „Pierdol się, Ćwieku. Masz coś do wojskowych ciuchów?”. Pyskata, kurwa, okładka!

A, dodam jeszcze, że przy trójce pracowaliśmy z Piotrkim nad wspólną wizją i efekt jest zbliżony do tego, co chciałem. Raz tylko wtrącił się Robert, że za słodkie i zbyt pedalskie, i zamiast koniczynek są znikąd łapy zombie i

porwana marynarka. No ale i tak było to bodaj najbliższe wizji tego, co chciałem tam zobaczyć. No i co? No i fani oczywiście zjechali okładkę z góry na dół. Czasem mam wrażenie, że strasznie się, Kochani, nie rozumiemy.



Pierwszy *Kłamca* pojawił się w listopadzie 2005 roku. Pamiętam, że miał być dostępny na Falkonie, lubelskim konwencie fantastyki. A ponieważ Fabryka była – i w jakimś stopniu wciąż jest – lubelskim wydawnictwem, dość oczywistym było, że konwent zaprosi mnie jako gościa. No i zaprosili, tylko pojawił się jeden problem. Książka nie wyszła na czas i jej premiera opóźniła się o przeszło tydzień. Dlatego ludzie podczas tego konwentu mogli wiedzieć o mnie jedynie to, że niebawem wydam książkę i że ta książka będzie mieć fajną okładkę. Niemniej byłem gościem konwentu. A że bujałem się wówczas po nim z Anią Kańtoch oraz Piotrem W. Cholewą – PWC-em, moim fantastycznym przyjacielem, wybitnym tłumaczem, legendą i współzałożycielem Fandomu – to zwracałem uwagę. Nie aż taką, by ktoś, prócz tych najbliższych i orgów przyszedł na moją prelekcję, ale i tak konwent wspominam fajnie. Poznałem masę świetnych ludzi.

Pamiętam też, że nie dało się przejść paru metrów, by jakaś świetna laska nie wieszła się PWC-owi na szyi, krzyżąc orgiastyczne „Peeewuuuc!”. Powiedziałem mu wtedy, że go nienawidzę, a on wziął to za komplement. Uznałem, że to całkiem niezłe podejście, i teraz robię tak samo – biorę to za komplement.



Oprócz Ani Kańtoch z tekstami o Lokim pomogło mi jeszcze dwoje znakomitych pisarzy: Anna Brzezińska i Andrzej Pilipiuk. Tu warto wspomnieć z wdzięcznością, że moje pierwsze teksty opiniował też i opatrzył komentarzami Andrzej Sapkowski, ale ponieważ nie były to opowiadania o Kłamcy, to sobie odpuścimy to odgałęzienie drzewa anegdota.

Ania przeczytała trzy teksty: *Anioła Stróża*, *Samobójcę* i *Egzorcystę*. Jedno jej się podobało, jedno w ogóle. Trzecie, uznała, miało znakomite motywy, ale czegoś w nim było brak, jakiegoś dystansu, spojrzenia z boku. Stąd właśnie taka

a nie inna końcówka *Egzorcysty*. Ostatecznie zawyrokowała, że na dwoje babka wróżyła, ale że to może być hit. Stwierdziła też, że powinienem pogadać z Pilipiukiem. Powiedziałem, że już z nim koresponduję.

Faktycznie, z Andrzejem, który, podobnie jak Ania Brzezińska, zawitał u mnie w Głuchołazach na harcerskich „Warsztatach z gawędziarstwa”, pisaliśmy do siebie od jakiegoś czasu. Andrzej cierpliwie uczył mnie fachu. Po Marcinie Wrońskim to gość, który pokazał mi najwięcej trików i sztuczek do wykorzystania na przyszłość. On też, będąc u absolutnego szczytu sławy – z którego dziś zstąpił ledwie o schodek – jeździł na spotkania z ludźmi z egzemplarzem mojej książki, by ją pokazywać, gdy go pytali, co czyta. Połowę pierwszego nakładu sprzedała mi więc okładka, a drugą połowę – Pilipiuk.

Potem zrobił taki numer z promowaniem jeszcze parę razy, ale ja zapamiętałem tylko jeden – z Michaliną Olszańską, wówczas bodaj szesnastoletnią. Przy okazji spotkania Andrzej zamachał mi jej książką przed nosem i powiedział: „Przeczytaj. Widać, że to wprawka i jeszcze masa pracy przed nią, ale jak się zdecyduje na pisanie, to z jej talentem rozerwie nam gardła”.

Miśka nie zdecydowała się na pisanie, przestała po drugiej książce. Obecnie jest aktorką i bardzo się lubimy, choć z racji zawodów widujemy stanowczo za rzadko. Ale przynajmniej gardło wciąż mam całe.



Pierwszą recenzję *Kłamcy* napisał Paweł Deptuch dla serwisu Carpe Noctem. Szefem serwisu był wtedy Przemek Romański, który to sam napisał z kolei pierwszą recenzję papierową, dla „Nowej Fantastyki”. Obie te recenzje były pozytywne, a zarówno z Pawłem, jak i Przemkiem poznaliśmy się na żywo i do dzisiaj utrzymujemy kontakt, a nawet współpracujemy. Z Pawłem na serwisie Dzika Banda, dla którego obaj piszemy, natomiast Przemek jest... współwłaścicielem wydawnictwa Sine Qua Non, czyli wydawcą tej książki. Nie sądzę, by któryś z nas dziesięć lat temu myślał, że tak się to wszystko potoczy.

Pierwsza recenzja negatywna przyszła do mnie mailem i była naprawdę solidnym wiadrem pomyj. Do tego zostałem wzięty z zaskoczenia, ponieważ człowiek, który ją spłodził i opublikował na forum miłośników Sapkowskiego Wieża Błaznów, we wspomnianym mailu napisał coś takiego:

*Szanowny Autorze,*

*z przyjemnością pragnę donieść, co o twojej książce myślą czytelnicy.  
(i tu link)*

Przeczytałem, chwilę mnie nosiło, wyszedłem zapalić, pospacerować, odreagować, poboksować drzewa. W końcu wróciłem i stwierdziłem, że trudno, trzeba się będzie przyzwyczać, bo pewnie ta recenzja nie będzie ostatnią w tym duchu. Oczywiście miałem rację, choć po latach faktycznie nauczyłem się nie przejmować aż tak bardzo i nie złorzeczyć recenzentom, zwłaszcza że czasem mieli rację.

Ten gość z Wieży Błaznów jest jednak wyjątkiem. Wspominam go, ilekroć oglądam *Clerks 2* i scenę z osłem, ilekroć słyszę dźwięk wzbierającej flegmy albo gdy ktoś się spierdzi w windzie. Nie miałem bowiem nic przeciwko temu, że napisał recenzję, że nawet pofatygował się, by jakoś zdobyć mój mail. Ale ta wredna pseudouprzejmość nijak niepasująca do samej ohydnie wrednej recenzji świadczyła wyraźnie, że koleś to dupek...



Pierwszy egzemplarz *Kłamcy*, który widziałem, i jednocześnie pierwszy, który kiedykolwiek podpisałem, należał – a może wciąż należy – do mojej klubowej koleżanki Joasi Petruczenko. Książki nie było wtedy jeszcze w księgarniach, ale *c'mon*, co to za problem dla stoisk na Centralnym w Warszawie? Zastanawiam się, czy to, że je zlikwidowano, zastępując Starbucksem, drogerią czy biletomatami, nie było ogromnym ciosem w polską naukę. Zamiast tego należało te stanowiska przebadac specjalistyczną aparaturą na okoliczność zaginania czasu – u nich naprawdę wszystko było sporo szybciej. Ani chybi ściągali książki z przyszłości.

Egzemplarz ten podpisałem w klubie i chyba jest jedynym, który pod dedykacją ma podpis w takim kształcie. Teraz podpisuję się już trzecią wersją autografu, ale pierwsza, prototypowa i natychmiast zmieniona, znajduje się tylko w tej jednej, Asiowej książce.

Jeszcze ciekawostka, bo wtedy to liczyłem: podpisałem czterdzieści sześć egzemplarzy *Kłamcy*, zanim trafiły do mnie moje egzemplarze autorskie i mogłem powiedzieć, że oto mam swoją książkę.



Moje pierwsze księgarskie spotkanie autorskie odbyło się we wrocławskim Empiku na rynku. Przyjechaliśmy tam większą ekipą, bo był to czas, gdy bardzo aktywnie działali *Słudzy Metatrona* – nasza grupa teatralna. Przygotowaliśmy dla fanów specjalną niespodziankę: wraz z Piotrem W. Cholewą wystawiliśmy w wersji scenicznej *Samobójcę*, najkrótsze opowiadanie z tomu. Piotr grał tytułowego Samobójcę, ja – wówczas długowłose – wcieliłem się w Lokiego. Całość trwała kwadrans i – lubię o tym mówić – była spektaklem multimedialnym. Owa multimedialność polegała na tym, że dźwięki tła mieliśmy z taśmy (gwizdek czajnika, odgłos splukiwanej wody, strzał), a okno w tle było obrazem z rzutnika. Nad koordynacją wszystkiego czuwali Ela Gepfert i Marek Nelec. Chyba jakoś to wszystko wyszło. My w każdym razie bawiliśmy się przednio i potem wystawiliśmy owo przedstawienie jeszcze raz, w Katowicach, w Empiku w Silesii.

Później już do niego nie wracaliśmy, choć mieliśmy trochę planów. Między innymi, by nagrać ów spektakl, zmontować i zarobić miliony dolarów na azjatyckich rynkach, gdzie podobno spodobał się serialowy *Wiedźmin*. Potem jednak odpuściliśmy, uznawszy, że równanie do tej produkcji w jakimkolwiek względzie jest poniżej naszej godności. Tak naprawdę to oczywiście przywały nas inne projekty, które podówczas bawiły nas znacznie bardziej.

Jeszcze jedna ciekawostka odnośnie do spotkania we Wrocławiu. Gdy się tam zjawiłem, pani z Empiku powiedziała mi, że moja książka sprzedaje się świetnie, wręcz lepiej niż najnowszy Sapkowski. Przypominam, że było to jakiś miesiąc po pokazaniu się *Kłamcy* na rynku, więc możecie sobie wyobrazić, jak już w myślach wydawałem swe zarobione miliony na koks i najlepszą tequilę. Nie kupiłem jednak za dużo jednego ani drugiego, bo ten „Sapkowski”, od którego sprzedawałem się tak bardzo lepiej, to książka będąca wywiadem rzeką, jaki z Andrzejem przeprowadził prof. Stanisław Bereś.

No ale, kurwa, nie pozwól prawdzie zepsuć dobrej historii, mówił serialowy Nucky Thomson. A ta stanowczo była dobra, więc nie poprawiajcie mnie, gdy opowiadam, że już po miesiącu przeskoczyłem sprzedażowo mistrza polskiego fantasy, OK?



Spotkanie we Wrocławiu, o którym wspominam wyżej, poprowadził Michał Cholewa. Choć stres go zżerał straszliwie, poradził sobie bardzo dobrze. „Stary, jak profesjonalista”, powiedziałem wtedy. Jak się okazało, nie mogłem się bardziej pomylić. Oto bowiem niewiele późniejsze spotkanie w Katowicach poprowadził właśnie zawodowiec, jakiś dziennikarz, którego nazwiska zupełnie teraz nie pamiętam. Czas na anegdotkę.

Przyjechaliśmy wcześniej, żeby przygotować się do spektaklu, bo to w końcu nasz teren, będzie pół Klubu i tak dalej. No więc jest godzina do spotkania, siedzę na zapleczu, Ela zaplata mi śliczny, cienki warkoczyk, Piotr nerwowo powtarza kwestię, Marek ćwiczy sekwencje odpalania dźwięków i tak dalej. Mimo że premiera we Wrocławiu poszła nam świetnie, to nagle każdy przypomniał sobie, że coś tam nie poszło, że coś można było lepiej... Wszyscy się trochę spinamy i denerwujemy. Bo ej, zobaczą nas „nasi”. Jakoś tak na piętnaście minut przed rozpoczęciem wyglądamy i, tak jak się spodziewaliśmy, sala wypełniona po brzegi, wszystkie krzeselka zajęte, ludzie stoją wsparci o półki. SKF dopisał, ale było też – ku naszemu zaskoczeniu – bardzo dużo ludzi zupełnie nam nieznanym. Czyli dobrze.

Brakuje jeszcze tylko prowadzącego, ale wierzymy, że się zjawi, w końcu zgodnie z deklaracjami organizatorów spotkania jest bardzo pro, w dodatku opłacony, zaopatrzony zawczasu w książkę i tak dalej, i tak dalej. „Będzie dobrze, nie ma się co martwić”, mówi nam pracownik Empiku coraz mniej pewnym głosem.

W końcu, gdy jest już pięć minut po czasie, stwierdzamy, że zaczniemy z przedstawieniem, a potem się zobaczy. I wtedy dziennikarz się zjawia. Wita się, zamieniamy parę słów, a później my z ekipą idziemy na scenę, a on na krzeselko, by zobaczyć przedstawienie.

Poszło fajnie, ludziom się podobało, wtopy jakiejś specjalnej nie pamiętam. Oklaskani zniknęliśmy na zapleczu, a ja po chwili wróciłem, już bez płaszcza Lokiego, by pogadać o książce, sobie, inspiracjach i o tym, co tam jeszcze można pytać debiutanta.

Wtedy też dowiedziałem się, o co można. O blurba. Dziennikarz, któremu zapłacono za to spotkanie i odpowiednio wcześniej przesłano książkę, nie przeczytał nawet jednej strony. Po prostu wziął ją do ręki w trakcie naszego

przedstawienia, przeczytał te kilka słów z tyłu okładki i poleciał z wywiadem.

„Odkąd nie ma Boga, aniołowie nie grają *fair*”. Tak mniej więcej brzmiało pierwsze zdanie owego tekstu na okładce – piszę w podróży, nie mam jak sprawdzić, ale coś takiego. No więc pierwsze pytanie brzmiało: „Odkąd nie ma Boga, aniołowie nie grają *fair*”. Mógłbyś rozwinąć, co miałeś na myśli?

W następnym zdaniu owej zajawki było o Nietzschem – znaczy, że wbrew temu, co mówił, Bóg nie umarł, a tylko zniknął – więc pytanie brzmiało, czy rzeczywiście, inaczej niż słynny filozof, uważam, że Bóg nie umarł, tylko zniknął?

I tak dalej, pytanie po pytaniu, aż wreszcie ktoś, bodaj Maciek Smykowski, podniósł rękę. Prowadzący przyjął to z ulgą i udzielił mu głosu, ale pytanie nie było do mnie, tylko właśnie do prowadzącego, o to, które opowiadanie podobało mu się najbardziej. Przypominam, kilka minut wcześniej jedno z nich zostało w całości wystawione, co zresztą powiedzieliśmy, i mógł, a nawet powinien słyszeć. Ale zamiast uderzyć w tego pewniaka, zaczął się wić, kręcić, aż wreszcie przyznał się, że książki nie czytał, bo rzekomo dostał ją za późno.

Resztę spotkania uratowali klubowicze swoimi pytaniami, ale zapowiedź „spotkanie będzie prowadzone przez profesjonalistę” przez bardzo długi czas wywoływała u mnie tiki nerwowe, a koniec końców poskutkowało tym, że nauczyłem się być na spotkaniach samowystarczalny i przejmowałem kontrolę, gdy nie szło. Dopiero po latach zacząłem trafiać na prawdziwych zawodowców i złe wrażenie się zatarło.



O ile moje pierwsze spotkanie w Empiku w Katowicach nie było jakieś super-hiper, o tyle drugie, zrealizowane w salonie na Piotra Skargi (gdzie parę lat wcześniej spotkałem Terry’ego Pratchetta) udało się koncertowo. Prowadziła je Ela Gepfert, a swoją obecnością uświetnił zespół Anima Liberti, w którym grał Maciek „Kor” Korzeniewski – poznany za sprawą Eli miłośnik Pratchetta. Maciek dostał kiedyś ode mnie tekst piosenki o Kłamcy, który tak mu się spodobał, że namówił zespół, by go nagrać.

Nagrali. A potem tarabanili się z całym sprzętem z Częstochowy, by go zagrać między empikowymi półkami. Rany, ale to było fajne spotkanie! A jak jeszcze wymyślili sobie, że teraz zagrają wersję hiphopową, a ja wspomogę wokalistę Rafała przed mikrofonem... Czad po prostu.

Swoją drogą lata później Anima przyjechała do Głuchołaz na dni tego miasta i dała koncert. Zagrali też *Lokiego*, dedykując go mnie, a wszyscy w mieście byli bardzo zaskoczeni dlaczego. Cóż, nikt nie jest prorokiem... i tak dalej, i tak dalej.



Słudzy Metatrona wystawiali każdego roku jeden duży spektakl i kilka mniejszych, zwykle z jakiejś specjalnej okazji. W 2006 roku Seminarium Literackie SKF-u poświęcone było wybitnemu polskiemu pisarzowi, patronowi naszej fandomowej nagrody, Januszowi A. Zajdlowi. Z tej okazji przygotowałem monodram *Dokąd jedzie ten tramwaj?* na podstawie jednego z jego opowiadań. Przedstawienie podobało się na tyle, że zostałem poproszony o powtórzenie go w ramach części artystycznej podczas ogłoszenia nominacji do nagrody im. Janusza A. Zajdla, które odbyło się w czerwcu w Salonie Księgarskim Traffic w Warszawie. I pewnie wszystko byłoby świetnie, gdybym najpierw wystąpił, a potem ogłoszono nominacje, ale nie. Nikt nie zamierzał mi, cholera, niczego ułatwić!

Opowiadanie *Cicha noc* dostało nominację, a ja dostałem takich wypieków, że połowę tekstu potem improwizowałem. Dobrze, że mikrofon działał tak sobie, bo gdyby nie to, co radykalniejsi fani Zajdla całkiem zasłużenie wynieśliby mnie wtedy na kijach i długo bym się tą nominacją nie nacieszył. A tak dożyłem Polconu 2006, gdzie statuetki co prawda nie dostałem, ale przegrawszy ze świetnym tekstem Jarka Grzędowicza – który tamtego roku dokonał pierwszego w historii nagrodowego *double'a* – uznałem, że poległem godnie.

Swoją drogą z tym też wiązała się anegdota, bo po gali siedzieliśmy całym, licznym tłumem w knajpie i ja akurat przysiadłem się na chwilę do Mai Kossakowskiej, by zamienić z nią kilka słów. Jak się okazało, usiadłem na miejscu Jarka, który poszedł po piwo. Gdy wrócił, zmarszczył czoło i powiedział: „Hmmm, to moje krzesło! I moja żona!”. Wzruszyłem ramionami i odparłem: „Zabrałeś mi Zajdla, myślałeś, że ci się upiecze?”. Na co Maja, nominowana w owym roku w kategorii powieść, stwierdziła: „Ej, zaraz, mnie też zabrał”. Ostatecznie zamieniłem krzesło na dwa solidne łyki z piersiówki i piwo. Smakowały jak zwycięstwo.





Rok później na Polconie 2007 w Warszawie również nie dostałem nagrody – nominowane było opowiadanie *Bóg marnotrawny* z drugiej części *Kłamcy* – ale za to poznałem Roberta Pilcha, czeskiego tłumacza i wydawcę, który zainteresował się książką na tyle, by zabiegać o wydanie jej w Czechach. Do czego zresztą doprowadził, a przy okazji poprawił za moją zgodą kilka drobnych błędów. Nie, nie powiem Wam jakich. Nauczcie się czeskiego i sobie porównajcie. Nikt mi potem nie zarzuci, że moje książki nie poszerzają pieprzonych horyzontów!



Komiks *Kłamca. Viva L'arte* został wydany w 2012 roku i był pierwszą okołokłamcową publikacją wydaną przez SQN. Był też pierwszym komiksem, jaki udało mi się opublikować, choć chyba trzecim powstałym. Pewnie w ogóle by go nie było, gdyby nie Paweł Deptuch. On bowiem, wielki fan *Kłamcy*, a jeszcze większy komiksów, nie tylko utwierdzał mnie nieustannie w przekonaniu, że historie o Lokim mają potencjał multimedialny i fajnie byłoby zacząć właśnie od komiksu. On przede wszystkim zabiegał, szukał i nieustannie podrzucał mi prace różnych grafików z zapytaniem: „A może spróbujemy z tym? Albo z tym?”.

Gdy wreszcie pewnego dnia podesłał mi kilka plansz Dawida Pochopienia, wiedziałem już, że to jest to! Wykręcony, dynamiczny, momentami tak cudownie bisleyowski! Paweł skontaktował nas mailowo i po krótkich ustaleniach zaczęliśmy pracę.

Bardzo szybko Dawid jako twórca zyskał moje pełne zaufanie. Do tego stopnia, że gdy opisywałem scenę zadymy w podziemiach, wiedziałem, jak ma się zacząć i czym ma się skończyć, oraz że powinno być krwawo. To, co widać na kartach komiksu przez dobre cztery strony, ta wielka sieka, to niczym nieskrępowana, podparta talentem wyobraźnia Dawida. W scenariuszu, o ile pamiętam, było tylko: „A teraz Loki robi rozpierdol”. Czy coś w tym stylu.

Pierwotnie komiks powstał w całości w czerni i bieli. Mówiąc szczerze, trudno mi dziś powiedzieć, którą wersję wolę bardziej, choć kolory nałożone

przez Grześka Nitę znakomicie pasują do historii.

Komiks powstawał pół roku – tyle zajęło Dawidowi narysowanie go, a potem Paweł zabrał się do roboty, czyli próby sprzedaży. Fabryka podziękowała niemal natychmiast, bo nie zamierzała wchodzić w komiksy (potem im się odwiedziało trochę z Pilipiukiem, ale umówmy się, Andrzej miał większą moc przekonywania, nazwijmy ją „Czarem HiperWysokichNakładów”), a kilka kolejnych wydawnictw wyrażało zainteresowanie, ale potem albo rezygnowały, albo znikwały z rynku. Tak było chociażby z Mandragorą, z którą Paweł rozmawiał najdłużej.

Wreszcie na wydawniczej mapie pojawił się SQN. Komiks im się spodobał, ale zdecydowali, że jeśli ma być wydany, to w kolorze. Pokazano nam próbkę, Dawid się zgodził – jego zgoda była tu ważniejsza, ja jestem mimo wszystko ignorant – i poszło! Premierę mieliśmy na Targach Komiksu w Łodzi i tam miała miejsce zabawna sytuacja. Podpisywałem bowiem dokładnie przed Simonem Bisleyem, który o odpowiedniej godzinie miał mnie zastąpić na krześle. A że jakieś pół roku wcześniej zamówiłem u niego jeden obrazek – którego zresztą do dziś nie zrobił – to, gdy już przyszedł, wstałem i rzuciłem: „Mamy do pogadania, man”. Simon, zamroczony jak to zwykle on, przyjrzał mi się uważnie i zapytał: „Przeleciałem ci matkę?”. „Nie, ale podpadłeś równie mocno”. Klepnął się w czoło: „Aaa, czyli zawałem *deadline*. Spoko, dogadamy się z następnym i tym razem na bank się uda”. No więc się zgadaliśmy, telefonicznie, mailowo. Simon kilka razy dopytywał o szczegóły. Sprawa zdawała się pewna.

To było trzy lata temu. Tak oto właśnie ta książka nie ma niestety ekskluzywnej okładki Simona Bisleya. Serio, kochani, dołożyłem niemal wszystkich starań. Jedyne, co mi zostało, to skoczyć wreszcie do niego do domu ze skrzynką wódki. Adres już mam i tylko czasu brakło...

A, jeszcze jedna zabawna rzecz z tym komiksem i Dawidem. Podczas pierwszego Rock and Read, gdzie promowałem właśnie ten komiks i pierwszych *Chłopców*, opowiadałem o tej naszej współpracy i z rozbawieniem podkreślałem, że choć zrobiliśmy razem komiks, walczyliśmy o niego przez lata i wymieniliśmy dziesiątki maili, to ja nie mam pojęcia, jak Dawid wygląda. Nigdy w życiu się nie spotkaliśmy. Ludzie uznali to za zabawną anegdotę.

A potem podczas podpisywania podszedł do mnie jakiś facet i powiedział: „To ja”.

„To znaczy kto?”

„Dawid”.

„Taaa, jasne”.

Tak właśnie poznałem Dawida Pochopienia.



Lata 2007 i 2008 to czas, w którym ostatecznie przestałem być Kossakowską w spodniach i zostałem polskim Gaimanem. Oba tytuły pasowały jak pięść do nosa, bo Maja jest śliczna, a ja jakoś nie bardzo, a Gaiman – choć również mieszał mitologie – podchodził do tematu jednak skrajnie inaczej. Mnie bliżej było do Christophera Moore’a i oczywiście *Dogmy*. Co Was pewnie rozbawi – mnie ubawiło setnie: dopiero po długim czasie skojarzyłem, że z filmem Smitha łączą *Kłamcę* nie tylko klimat, humor, kilka zapożyczonych scen i zgodność ideologiczna, ale i... imię głównego bohatera. Tak, możecie się śmiać.

A jeśli to nie rozbawi was wystarczająco, to dołożę anegdotkę z kategorii „ludzie listy piszą”. Otóż był to czas, gdy Michał Bębenek – ksywa Mike Draven – oddany fan *Kłamcy* i kumpel z forum *Carpe Noctem*, postawił mi na sieci blog. Mogłem sobie pisać, co chciałem, i korzystałem z tego prawa z różną regularnością, ale największą przyjemność sprawiało mi zagłądanie do księgi gości i czytanie wpisów od fanów.

Jakiś czas po premierze drugiego tomu pojawił się tam nagle mocno strofujący mnie komentarz od niejakiej Valkirii, której, co prawda, książka się nawet podobała, ale wkurzyło ją, gdy Loki nazwał się zapomnianym bogiem martwej religii.

Otóż, twierdziła Valkiria, ta religia nie jest martwa. Istnieją przecież ludzie – w tym ona – członkowie Wolnych Religii Europy, którzy wciąż wyznają dawnych bogów.

Odpisałem grzecznie:

*Szanowna Valkirio,*

*z przykrością muszę stwierdzić, że Loki ma rację. Ta religia jest martwa, bo osobiście wymordowałem wszystkich jej bogów w pierwszym tomie. A cóż to za religia, bez Boga czy bogów?*

Teraz w sumie mógłbym powiedzieć: dziś, niestety, prawie każda.

A, jeszcze z kronikarskiego obowiązku dodam, że jakoś w tym czasie byłem gościem... konferencji angelologicznej na KUL-u. Wraz z Mają Kossakowską słuchaliśmy wykładów o naszej pisaninie. Czuję się ... dziwnie. Ale fajnie.



*Kłamca 3* ukazał się jesienią 2008 roku i niestety stał się obiektem politycznej rozgrywki między mną a Fabryką. Mój ówczesny wydawca zdecydował, że wypuści tę książkę w najniższym opłacalnym nakładzie, a potem ją zwyczajnie wstrzyma. Tak oto w dwa miesiące po premierze jej cena na Allegro po raz pierwszy przekroczyła stówę. Potem miała tę kwotę jeszcze potroić. Jako autor dostawałem jakieś dwa i pół złotego od sprzedanego egzemplarza. Jak można szybko policzyć, człowiek, który sprzedał książkę za te trzy stówki, zarobił więcej niż ja, gdyby sprzedało się sto egzemplarzy. Zabawne, nie?

Cała ta sytuacja sprawiła, że mimo takiego a nie innego zakończenia *Kłamcy 3. Ochłapu sztandaru* postanowiłem dać sobie troszkę czasu przed napisaniem czwórki. Wiedziałem, że gdybym pisał od razu, na pewno zaszkodziłoby to książce, a chciałem, by powstawała na spokojnie i była przemyślana, bo w założeniu miała łamać parę schematów, i to na każdym poziomie. Ale do tego jeszcze wrócimy.



W kolejnych latach jako dość aktywny spotkaniowo autor ośmiu książek – w tym jednej popularnej serii i jednego zbioru opowiadań pod, jak się okazało, wielce kontrowersyjnym tytułem *Gotuj z papieżem* – zacząłem dostawać to, co nazywa się korespondencją od fanów. Czasem były to listy i paczki drogą tradycyjną, zwykle jednak maile czy prywatne wiadomości na forach, na których byłem wtedy aktywny. Korespondencja owa dzieliła się zasadniczo na trzy rodzaje:

1. Życzenia i obrazki z okazji rozlicznych świąt i okoliczności pomniejszych. Dostawałem maile z okazji świąt, urodzin, imienin wszystkich Jakubów w roku, dnia chłopaka, dnia mężczyzny, dnia pisarza, a nawet dnia pluszowego misia. Te ostatnie miałem jednak przekazać Kłamczuchowi. Bardzo długo odpowiadałem na wszystko, co do mnie dotarło, dziś już tylko czytam, ale zawsze z przyjemnością, toteż jeśli wysłaliście mi kiedyś maila i nie popieprzyliście nic w adresie albo nie podpadliście dzikiemu Gmail Mojo, to dzięki za okazję do uśmiechu.

2. Klątwy, obelgi i zapewnienia, że za moją bezczelność Bóg już dawno by mnie spalił siarką jak każdego sodomitę – którym z pewnością jestem – gdyby nie to, że piszę tak chujowo, że nie warto się tym przejmować. Szkoda, że jednak na tyle dobrze, by warto było pisać do mnie maila.

3. Prośba o zaopiniowanie tekstu lub od razu o przesłanie go wydawcy, by ten go wydał. Do tej kategorii wliczam też wszystkie: „mam pomysł, ale zajmuję się poważnymi sprawami, więc ja ci go podam, ty napiszesz i podzielimy się kasą i sławą”.

Trzeba tu jednak powiedzieć, że większość maili była miła, grzeczna i latami starałem się pomóc, jak mogłem. Aż zebrało się tego tyle, że przestałem wyrabiać i publicznie, na Facebooku, przeprosiłem, że nie będę w stanie już więcej opiniować tekstów.

By zachować jako taki porządek w programie pocztowym, miałem więc specjalne foldery, by przerzucać do nich maile. Ten dla grupy drugiej nazywał się oczywiście Kosz.

No i pewnego dnia przychodzi do mnie wiadomość, a tam:

*dzień dobry,*

*Czy interesują pana cosplaye pana twórczości?*

*pozdrawiam*

*(i tu jakaś bezpłciowa ksywa)*

Odpowiedziałem, że jeśli to jest pytanie o to, czy się przebieram za Lokiego, to z wyjątkiem przedstawień Sług raczej nie.

*dzień dobry*

*nie, chodzi mi o to, czy interesują pana ludzie, którzy robią cosplaye*

*pana twórczości*

*pozdrawiam*

*(i tu jakaś bezpłciowa ksywa)*

No co mogę powiedzieć? Próżność pisarska to akwen, w którym tysiące białych wielorybów służą za pokarm lewiantom. Powiedziałem, że jasne, interesują, i jak ów ktoś będzie miał zdjęcia, to poproszę, może wrzucę na blog.

Miała.

Nie wrzuciłem.

Ale, nie ukrywam, uważnie się im przyjrzałem.

Cosplay przedstawiał Lokiego, ale tego z *Galerii*, gdy w ciele top modelki stoi w samej bieliźnie przed hotelowym lustrem. I jakby to powiedzieć: lepiej bym sobie Kłamcy nigdy nie wyobraził. Co więcej, sądząc po poszlakach, mogę mieć niejasne wrażenie, że to był pierwszy raz, kiedy mój Loki mi się przyśnił.

Tym bardziej mi przykro, że nie pamiętam tej ksywy, a tamten mail i zdjęcia przepadły już dawno temu, więc potraktujcie to trochę jak SPOTTED: KŁAMCA. PAPIEŻ SZTUK.

Droga Cosplayerko, pewnie masz teraz męża, dzieci i wszyscy razem w pocie czoła pracujecie w korpo na Domaniewskiej. Ale jakby co, to wiedz: moja autorska niewinność względem podobnych materiałów należy do Ciebie. No i świetny cosplay. Szczęśliwie, gdy się weźmie pod uwagę finał tego opowiadania, jednak niekompletny.



Zbliżał się czas, kiedy chciałem się zabrać do *Kłamcy 4*, ale jakoś nie umiałem. Miałem szereg projektów, masę spotkań, notatek tyle, że przeczytanie ich wszystkich zajęłoby pewnie z tydzień (ostatecznie trwało trzy dni, kiedy to robiłem notatki z notatek). No ale nadszedł ten dzień!

Byłem wtedy w domu moich fantastycznych przyjaciół Agnieszki i Mariusza Muchów. Tak, to ta Agnieszka obok Tess i Elvisa widnieje w dedykacji w *Kłamcy 4. Kill'em all*. W tamtym czasie Aga była moją menedżerką i zrobili dla mnie wraz z mężem masę, masę dobrego.

Staliśmy w kuchni i Agnieszka, szykując obiad, odwróciła się i powiedziała, wskazując na mnie wielkim nożem: „Kubuś, wiesz, że już czas?”.

Co mogłem sobie pomyśleć, gdy ta śliczna, filigranowa dziewczyna w okularkach mierzyła we mnie nożem wielkim jak cała jej ręka? Powiem Wam, co pomyślałem: „Jezu, mam nadzieję, że chodzi jej o pisanie *Kłamcy*”.

Zgadłem.

Trzy dni później wróciłem do domu i już bez wymówek usiadłem do pisania *Kłamcy 4*.



Ludzie pytają mnie często, czy jacyś moi znajomi trafiają na karty książki. Akurat w *Kłamcy* nie jest ich za wielu. W pierwszym tomie niespełniony seksualnie nastolatek, który jako pierwszy zauważył wybuch w domu na Śląsku (opowiadanie *Cleaner*) to nielubiany przeze mnie dyrektor mojej podstawówki, ale opisany tak, by zauważyli to tylko znajomi. W drugim tomie prawdziwy jest

Paweł Deptuch, który na swoją scenkę zapracował, wygrywając konkurs na najwięcej znalezionych w *Kłamcy* nawiązań do filmów, książek i tak dalej. Potem powtórzyłem ten numer jeszcze raz przy tomie drugim. W drugiej edycji konkursu zwycięzcą został Hubert „Mando” Spandowski, współtwórca serwisu [stephenking.pl](http://stephenking.pl), z którym od lat trzymam sztamę. Miał się pojawić w trójce, ale za cholere mi tam nie pasował, dlatego zapytałem, czy woli coś naprawdę małego w trójce, czy większą rolę w czwórce, na którą już od dłuższego czasu miałem pomysł. Wybrał opcję czwórki i trochę się naczekał... ale chyba nie żałuje.

Wraz z nim w tym wątku pojawili się też: mój przyjaciel Maciej „Elvis” Wanicki, Mike Draven, czyli Michał Bębenek, oraz znajoma o imieniu przepięknym jak ona sama – Taida (tak, naprawdę ma tak na imię!), dla której rola była prezentem „załatwionym” przez jej ówczesnego męża, a mojego kumpla. Pasowała do wątku jak ulał, więc się nie wzbraniałem.

Sam wątek „paryskiej przygody” natomiast... Tu się muszę cofnąć troszkę w opowieści.



Jak pewnie zauważyliście, mocno się tu pilnuję, by wszystko, o czym piszę, wiązało się z *Kłamcą*. Ta historia też będzie, bez obaw. Zacznie się jednak od niezwykłego wydarzenia.

Jest rok 2006 i właśnie zapowiedziano przewidzianą na jesień wizytę... Stephena Kinga. Nie, nie w Polsce, w Europie, a konkretniej w Londynie. King jest na absolutnej shortliście moich autorytetów i pozostaje zdecydowanie najważniejszym dla mnie pisarzem w życiu, dlatego gdy tylko gruchnęła ta wiadomość, natychmiast dołączyłem do rosnącej w zastraszającym tempie listy chętnych, jaka tworzyła się na forum [Carpe Noctem/stephenking.pl](http://Carpe Noctem/stephenking.pl).

Nie wiem, ilu nas tam było, ale im bardziej zbliżała się wizyta, tym coraz więcej osób się wykruszało, aż ostatecznie zostało nas łącznie czterech. I tak, to z tego się właśnie nabijałem trochę w książce, choć niepotrzebnie oberwało się temu chudemu, wysokiemu, czyli Grześkowi „Nocnemu” Tupikowskiemu, bo on akurat był w Londynie wraz z Markiem „Rychem” Wyszyńskim i wspomnianym już wcześniej Mando.

Chłopaki siedzieli pod księgarnią całą noc, ja z racji tego, że leciałem innym samolotem, dotarłem dopiero około piątej rano. Księgarnię otworzono bodaj o

ósmej trzydzięci, a że był listopad, to wyobraźcie sobie tę armię zombie wtłaczającą się do środka.

Oplącało się jednak, bo byliśmy w pierwszej trzydziestce do podpisów, czego nam potem wszyscy, ale to wszyscy, którzy nie pojechali, zazdrościli straszliwie.

Miało tam też miejsce zabawne wydarzenie, bo oto Mando, wiedząc, że będę, zabrał ze sobą dwa tomy *Kłamcy*. Ludzie więc pytali, kim jestem, i na wszelki wypadek część z nich wzięła ode mnie autografy. Wdzięczny za ich zaufanie mogę dziś powiedzieć z dumą, że tamtego dnia w tej samej księgarni podpisywaliśmy Stephen King i ja. Byłem dla niego małym supportem?

No i dobra, wróciliśmy do kraju, polansowaliśmy się ze dwa lata, aż tu nagle: boom! King będzie w Paryżu! No to oczywiście znowu lista, tym razem wszyscy jadą. Tyle że King jednak nie przyjechał. Jeszcze chyba z dwa razy wizyta miała się odbyć, my w pełnej gotowości, a Kinga ni hu hu.

No to nawiązałem do tego jego potencjalnego przyjazdu, że tym razem już na bank, na pewno i w ogóle, i nic go nie powstrzyma... No chyba że zombie apokalipsa.

Co naprawdę zabawne, półtora roku po wydaniu *Kłamcy 4 King*... rzeczywiście przyleciał do Paryża. Oczywiście byliśmy, i tym razem ekipa dopisała. Zombie nie zauważyłem, chyba że dobrze udawały kloszardów.



Chciałem, by *Kłamca 4* nosił podtytuł *Apokurwalipsa*, ale Agnieszka wybiła mi to z głowy, mówiąc, że może to wpłynąć na dostępność książki w księgarniach. Uznałem, że to zabawne i urocze, że mogę mieć kłopoty z tego samego powodu co Marquez, którego *Rzecz o mych smutnych kurwach* przemianowano wbrew tłumaczowi na *Rzecz o mych smutnych dziwkach* właśnie z powodu tego, jak by to wyglądało na księgarskich półkach. No jasne, bo dzieci uczą się kląć z tytułów książek.

Tak czy owak doszliśmy do wniosku, że taki tytuł nie przejdzie. Szukaliśmy więc innego, wymyślając dziesiątki opcji, przerzucając się nimi przez telefon, aż wreszcie powiedziałem: „Dość. Odpuszczamy i wrócimy do tematu później”.

Pożegnaliśmy się i... wtedy mnie olśniło. Tak cudownie wieloznaczny tytuł, nawiązujący zarówno do żartów z Metalliki, jak i w jakiś sposób do treści, a do tego rzeczywiście będący końcem historii, więc spokojnie można było powiedzieć, że *Kłamca* kończy się na *Kill'em all*. Oddzwoniłem do Agi.



„Masz?”, zapytała od razu.

„Tak”.

Uznaliśmy, że super, i tak poszło. A potem pojawił się pierwszy idiota zarzucający mi zaśmiecanie polskiego języka obcojęzycznymi wtrętami. Tak bardzo mi wszystko opadło, że pewnie z dobry tydzień byłem impotentem. Podobnie działa koks, ale – przynajmniej na mnie – nigdy tak długo. Wniosek? Idiotci w sieci są gorsi niż kokaina.



Ideą *Kłamcy* od początku było bardzo głębokie wchodzenie w schematy i klisze, po to, by finalnie skonfrontować tę rzeczywistość z naszym światem i zaskoczyć wszystkich. To taka idea w stylu: John McClane ratuje cały świat, bo przełącznik jest ustawiony na *epic world*, ale nagle, gdy właśnie ma się spotkać z żoną, ktoś przestawia go na *reality* i bohater ginie pod kołami kierowcy wariata, bo wszedł na przejście dla pieszych na czerwonym.

Do tego potrzebowałem oczywiście nawiązań, które od początku były wyznacznikiem serii. Tym razem postanowiłem pobawić się nimi jeszcze bardziej, układając je bardziej warstwowo. Prowadziło to do zabawnych scen, gdy potem rozmawiali ze mną dziennikarze.

„Naprawdę, nawiązanie do *Matrixa*? Nie mógł pan jakoś bardziej ambitnie?”

„Nikt by nie zauważył”.

„A może jednak czasem warto zaryzykować, a nie obrażać inteligencję czytelnika?”

„Hmmm, droga pani, w scenie, o której rozmawiamy, *Matrix* jest puentą do rozważań na temat snu zaczerpniętych z tekstów Edgara Alana Poego, ogłoszonych lekko tylko uwspółcześnionymi dialogami z Shakespeare’a. Zauważyła pani?”

„...”

Innym razem na spotkaniu autorskim posądzono mnie o *product placement* Apple’a. Kto mnie zna, ten wie, jak jest to zabawne.

Choć oczywiście wszystko wygrało pytanie zadane mi kiedyś na Pyrkonie przez jakieś oburzone dziewczątko.

„Ja nie będę miła – powiedziała oburzona fanka. – Dlaczego tak pan spieprzył zakończenie *Kłamcy 4?!*”

No właśnie, Ćwiek. Dlaczego?

Kajaj się, jebany Arlekinie!

...

...

...

(Tak, to z Arlekinem to też nawiązanie, jakby kto pytał. I nie, tym razem nie do starego, poczciwego Willa).



Jeszcze dwie rzeczy odnośnie do pisania *Kłamcy 4*. Czasami przychodziły takie momenty, gdy musiałem coś na szybko sprawdzić w poprzednim tomie, bo czegoś nie byłem pewny. Miałem oczywiście na podorędziu książki, miałem nawet pliki DOC, ale najszybszą i najpewniejszą metodą było zadzwonienie do Anny „Tess” Gołębiowskiej. I to niezależnie od pory czy dnia tygodnia.

Tess zresztą zastąpiła Agę na stanowisku mojej menago i chyba do dziś zna te książki najlepiej na świecie. Założyła też firmę Tess-shirt, produkującą koszulki z moimi postaciami, w tym, rzecz oczywista, kilkoma wzorami z *Kłamcy*.

Drugą postacią, która pojawiła się przy mnie akurat przy okazji tej książki, był Tomek Hoga, który na stanowisku mojego stałego redaktora zastąpił Marcina Wrońskiego. Podchodzi do swej pracy zupełnie inaczej, ale to dobrze, bo zmieniły się też moje potrzeby jako autora<sup>\*</sup>. Z Tomkiem jako duet zrobiliśmy do tej pory osiem książek, ta jest dziewiąta.



No dobra, to w takim razie jeszcze jedna anegdotka, bo się nie mogę powstrzymać. Otóż na jednym Falconie podeszła do mnie Maja Kossakowska i z filuternym uśmiechem zapytała, czy czytałem już pierwszy tom jej świeżo wydanego *Zbieracza burz*. Powiedziałem, że jeszcze nie, a ona na to, żebym przeczytał i czy się nie obrazę. Po takiej rekomendacji pognałem do sklepiku niemal natychmiast, gdy tylko Maja zniknęła mi z oczu.

Czytać dużo nie musiałem, bowiem już na początku była scena, o którą chodziło. Abbadon walczy tam z rudym cwaniakiem, który dostaje wpierdziel

mimo próby oszustwa. „Nie ta liga, Loki”, powiedział mu wtedy Abbadon, wygrywając starcie.

Byłem naprawdę wzruszony – ja, niegdyś przecież Kossakowska w spodniach – z tego jakże ślicznego nawiązania. Obiecałem, że w stosownym momencie podziękuję małym rewanżem. Tak, teraz już wiecie, skąd ten Abbadon w finale czwórki.



Masa ludzi zarzuca mi, że zrobiłem skok na kasę i złamałem dane powszechnie słowo, wracając do *Kłamcy* po tym, jak powiedziałem, że tego więcej nie zrobię, bo historia jest skończona. Wiele razy o tym myślałem i nadal nie mogę się nadziwić. Tyle razy mówiłem przecież na spotkaniach, że zwykle nie trzeba kłamać, by ludzie uwierzyli, w co chcesz. Najlepsze kłamstwo to takie, które staje się nim w głowie odbiorcy.

NIGDY nie powiedziałem, że nie wrócę do postaci *Kłamcy*, a jedynie, że nie będzie kontynuacji, czyli *Kłamcy 5*, bo ta historia jest skończona. Czyli: ma koniec. Ale ile przy tym razy mówiłem, że jest masa historyjek gdzieś pomiędzy tomami, które mogą być fajne, zabawne i ubogacające opowieść?

Ale tacy już są ludzie, najpierw słuchają co drugiego słowa, a potem wanna z lodem i blizna w miejscu nerki.

Mimo to nie planowałem *Kłamcy 2,5*. Przymierzałem się za to już od jakiegoś czasu do tego, co właśnie przeczytaliście – książki jubileuszowej. Wtedy jednak pojawił się pomysł *Kłamcianki*, czyli gry karcianej opartej na postaciach i wątkach z moich książek.

Rzucony jako luźny pomysł na żyzny grunt umysłów Aleksandra Daukszewicza i Pawła Jurgiela (członków grupy larpowo-planszówkowo-erpegowej *Lans Macabre*) zaraz przerodził się w konkretny projekt. A gdy na pokład udało się jeszcze wciągnąć Roberta „Bele” Sienickiego, znakomitego komikarza o kapitalnej, przezabawnej kresce, wiedziałem, że może być naprawdę fajnie.

Problem był w wydawcy. Fabryka jako dzierżawca praw do czterech tomów była pierwszym strzałem, ale – tradycyjnie – kompletnie nie byli zainteresowani angażowaniem się w projekt choćby odrobinę ryzykowny. Przynajmniej dla mnie.

Poszedłem więc do SQN-u, gdzie Przemek natychmiast powiedział: „Jeszcze

tęgo nie robiliśmy, ale... lubimy nowe wyzwania”. Umówiliśmy się, że udzielię licencji i moja rola sprowadzi się tylko do opowiadanka w instrukcji. A gdy wszystko było przyplute i przyklepane, zabraliśmy się do roboty.

Problemem było to, że ja już dość dawno wszedłem na drugi etap bycia pisarzem. Zdaniem mojego przyjaciela Michała Cholewy podział ten przebiega na linii trzydziestu tysięcy znaków. Na pierwszym etapie sprowadza się do: „Trzydzieści tysięcy znaków. Czy uda mi się napisać coś tak długiego?”. Na drugim etapie mówi się natomiast: „Trzydzieści tysięcy znaków. Czy uda mi się napisać coś tak krótkiego?!”.

Dość szybko okazało się, że to opowiadanko staje się nowelką, i to taką na sto trzydzieści stron. Czyli trochę za dużo na instrukcję do gry, a za mało na miniksiążkę. Otworzyłem więc notes i znalazłem dwa pomysły na opowiadania odłożone na... powiedzmy na później. Jedno bardzo króciutkie, drugie nieco dłuższe. Napisałem oba i tak powstała książeczka, która – zawsze to podkreślam – jest dodatkiem do gry karcianej stworzonej przez Lans Macabre, ale też integralną częścią kłamcowego uniwersum.



Gdzieś w międzyczasie powstał jeszcze film – krótkometrażowy *Samobójca* w reżyserii Młodego, czyli Mateusza Zatynnego. Nie będziemy o tym obrazie dużo pisać, bo sam reżyser by sobie tego nie życzył, ale ja uważam, że nie ma się specjalnie czego wstydzić, choć on jójczy jak baba. No i najważniejsze: gdyby nie ta produkcja, to nie wiem, czy Mateusz, syn mojej kuzynki, stałby się dla mnie Młodym, bratem i jednym z najlepszych przyjaciół w życiu.

*Notabene*, gdy piszę te słowa, Młody siedzi w Gdyni u Marka „Lamberta” Okroja, przyjaciela ponad wszystko, który jednak, tak się zabawnie i dziwnie składa, nie ma swojego miejsca w tej opowieści. W *Dreszczu*, w *Chłopcach* wręcz kluczowe, a tu jakoś nie. Widać średnio się z Lokim lubią...



Przy okazji *Kłamcy 2,5* po raz pierwszy wziął tę postać w obroty Iwo Strzelecki. Chociaż nie, to nie do końca prawda, bo jego pierwszy rysunek *Kłamcy* powstał na potrzeby konkursu ogłoszonego przy okazji premiery komiksu. Iwo wygrał w

cuglach i zaprosiliśmy go wtedy do współpracy przy *Chłopcach*. Gdy okazało się, że *Machinomachia* idzie w SQN-ie, nawet się nie zastanawialiśmy. Tak Iwo wszedł na pełnej kurwie<sup>\*\*</sup> w rzeczywistość Lokiego. I tu już zostanie, bo go nie puszczę.

Magda Babińska, druga ilustratorka tej książki, znalazła się w niej gościnnie, bo prywatnie jestem ogromnym fanem jej pracy, przyjaźnimy się, a do tego zrobiliśmy razem dwie książeczki dla dzieci (z czego jedna, *Świetlik w ciemności* już wyszła, a *Mój Dziadek zamienia się w słonia* ukaze się wkrótce). Gdy wpadłem na pomysł, że ta opowieść kończyć się będzie bajką, nie miałem wątpliwości, kto powinien zrobić ilustracje do tego kawałka. Magda się zgodziła, bo chciała „odpocząć od różowych króliczków i kwiatuszków”.

Przemilczałem, bo pierwotnie tak właśnie wyglądał mój pomysł – Loki w stroju króliczka wchodzi do magicznej krainy i brzydsko przeklina<sup>\*\*\*</sup>. No ale jak się nie da... Nie chcę przecież wkurzać Magdy ani narażać jej na stresy. No i wtedy zobaczyłem w głowie scenę, jak to Loki zamawia sobie kostium króliczka, a Bachus przynosi mu wdzianko psychodelicznego królika z *Donniego Darko*. Trafiłem! Magdzie tak się spodobało, że wszystkie ilustracje powstały w parę godzin. I są taaak dobre!



To chyba tyle. Oczywiście na razie, bo przygoda trwa. Ludzie piszą o Kłamcy matury, licencjaty, magisterki, a gdzieś tam podobno nawet doktorat. Postać przenika do popkultury coraz mocniej, tym bardziej w zestawieniu z Lokim Marvela.

A co ode mnie w temacie? Teraz jest ta książka, a w trybach produkcyjnych i crowdfundingowych mamy szalone słuchowisko, gdzie znowu Loki ładuje w kłopoty siebie i wszystkich wkoło. Co dalej? Może kolejne komiksy? Może wreszcie pełnometrażowy film?

Wraz z Agatą „Arą” Rudniewską napisaliśmy treatment scenariusza i jest tak cudownie szalony, że już się jaram. No, ale to przyszłość...

Ej, co wy wszyscy robicie w mojej przyszłości?!

Chociaż wiecie co, w sumie możecie zostać...

\* Jego praca polega między innymi na pilnowaniu, żeby autor nie przegadywał dowcipów i nie rozwlekał puent, albo na mówieniu po polsku czegoś, co autor koniecznie chciałby sprowadzić z zagranicy (nie, redaktor nie jest odpowiedzialny za epizod z impotencją), bądź też na pilnowaniu, żeby Ćwiek za bardzo nie przeklinał. Cóż, może jego potrzeby jako autora się zmieniły, ale w tych i innych względach wciąż jest takim samym upartym... [przyp. red.].

\*\* No widzicie? Musi, cholera. Musi. [przyp. red.]

\*\*\* Jakże by inaczej... [przyp. red.]

KŁAMCA  
PAPIEŻ SZTUK

Copyright © Jakub Cwiek 2015  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015

Redakcja – Tomasz Hoga  
Korekta – Joanna Mika  
Opieka redakcyjna – Przemek Romański  
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc  
Przygotowanie okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl  
Rysunek na okładce – Iwo Strzelecki  
Rysunki w komiksie – Iwo Strzelecki, Marta Stefaniak  
Liternictwo komiksu – Joanna Pelc  
Pozostałe rysunki w książce – Magda Babińska

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015  
ISBN EPUB: 978-83-7924-379-2  
ISBN MOBI: 978-83-7924-378-5

*Jakub Cwiek*

[www.jakubcwiek.pl](http://www.jakubcwiek.pl)  
[www.facebook.com/JakubCwiekOfficial](https://www.facebook.com/JakubCwiekOfficial)



[www.wydawnictwosqn.pl](http://www.wydawnictwosqn.pl)

Szukaj naszych książek również w formie elektronicznej 

**Q** DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

-  /WydawnictwoSQN
-  /SQNPublishing
-  /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA [www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp, czyli zasady gry](#)

[Papież sztuk](#)

[Strona redakcyjna](#)



Szukaj w dobrych księgarniach i na

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

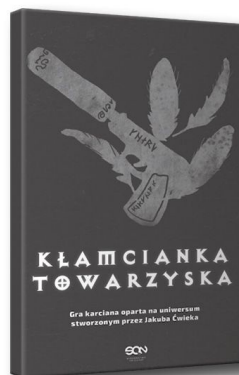
W nowych opowiadaniach, grze karcianej i komiksie!

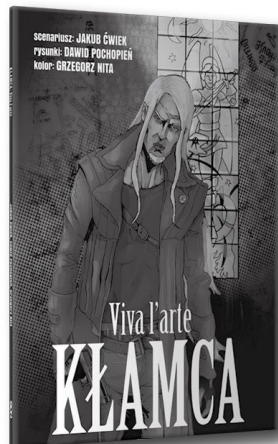
Przeczytaj o tym, co robił Kłamca, gdy byłś przekonany, że odpoczywał na plaży z drinkiem. Następnie zajrzyj do komiksu, w którym nordycki bóg stara się rozwikłać zagadkę kryminalną. A na koniec zagraj ze znajomymi w jedyną w swoim rodzaju grę karcianą osadzoną w świecie Kłamcy.

**Prawdziwa gratka dla fanów Kłamcy!**



**NAJWIĘKSZY KŁAMCA WRÓCIŁ!**





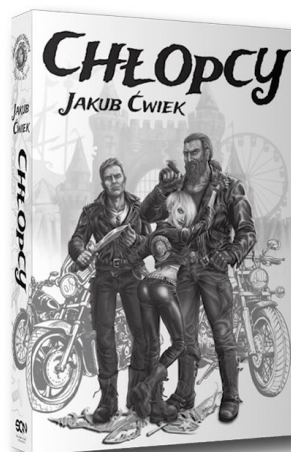
Szukaj w dobrych księgarniach i na

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

**SON**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON



## **PIOTRUŚ PAN I ZAGUBIENI CHŁOPCY WRACAJĄ W ZUPEŁNIE ZWARIOWANEJ ODSŁONIE**

Rykiem silników, hukiem wystrzałów i głośnym: BANGARANG! – tak zwiastują swoje przybycie Zagubieni Chłopcy, najbardziej niezwykły gang motocyklowy na świecie. Niegdyś wierni towarzysze Piotrusia Pana, dziś odziane w skórzane kurtki zakapiory pod wodzą zabójczo seksownej Dzwoneczek. Zrobią wszystko, by przetrwać... i dobrze się przy tym bawić. Bez

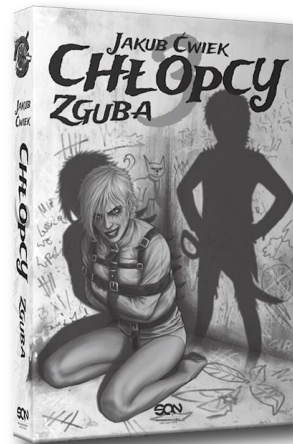
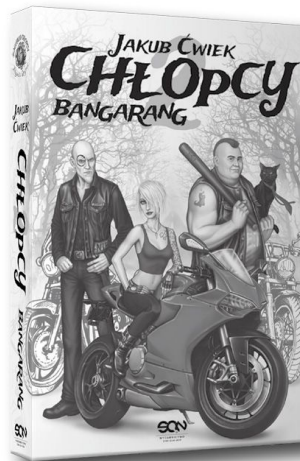
względu na cenę.

Już

jesienią

2015

**4 tom *Chłopców:*  
*Największa z przygód***





WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

f/WydawnictwoSQN

🐦/SQNPublishing

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

Nasza księgarnia internetowa:

[www.labetiga.pl](http://www.labetiga.pl)



